

ANALIZA „DO RZECZY”

Ziemkiewicz: Kto odpowiada za aferę
z rakieta pod Bydgoszczą



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 21/528 22-28 MAJA 2023

CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

ZBIGNIEW ZIOBRO

W SPECJALNEJ ROZMOWIE Z „DO RZECZY”

Premier we wszystkich decyzjach unijnych się pomylił

Ucieczka w spisek - opozycja
szykuje się na przegraną



ŚWIECKA
KOMUNIA,
CZYLI
ZAPEŁNIANIE
RELIGIJNEJ
PUSTKI

ESG - unijna pętla niszczy
gospodarkę - tłumaczy Warzecha



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

epressa.pl 0506060606

SZTAFETA POKOLEŇ V

AKCJA DLA DZIECI Z DOMÓW DZIECKA I PLACÓWEK OŚWIATOWYCH

KONKURS PLASTYCZNY

Sztafeta Pokoleń to międzypokoleniowy projekt kierowany do dzieci z domów dziecka oraz placówek oświatowych w całej Polsce. **Pragniemy, aby dzieci poznawały historię prawdziwych bohaterów i brały z nich przykład.**



ORGANIZATOR AKCJI:

RED IS BAD™
FUNDACJA

PARTNERZY AKCJI:



 PFR Fundacja

fundacja  **arp**



FUNDACJA
BGK



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

USA i UE: wspólna tęczowa sprawa

Rytuał od lat się nie zmienia. Co roku w połowie maja kilkudziesięciu ambasadorów w Warszawie ogłasza list, w którym to upominają się o prawa rzekomo dyskryminowanych w Polsce mniejszości seksualnych. Liczba poruszonych dyplomatów stopniowo rośnie, choć na razie pułap wynosi 47 – tylu podpisało się pod deklaracją w obronie LGBT+ 17 maja 2023 r. W tym roku organizacją podpisów zajęła się Norwegia, w zeszłym były to Stany Zjednoczone.

To zresztą Amerykanie są od lat głównymi promotorami podobnych działań nie tylko w Polsce, lecz także w całej, ich zdaniem nieoświeconej i zaściankowej, części Europy. „Jestem dumnym sojusznikiem społeczności LGBTQI+ w Stanach Zjednoczonych, Polsce i na całym świecie” – stwierdził teraz ambasador USA w Polsce, Mark Brzezinski. Podobnie mówił inny dyplomata USA, Christopher Hill, w Belgradzie, kiedy to udało mu się (a ściślej: sukces osiągnął tu sam Waszyngton) złamać opór Serbów – zakaz ministra spraw wewnętrznych i sprzeciw prezydenta – i doprowadzić do marszu równości w Belgradzie. Rzeczywiście, jeśli chodzi o przełamywanie oporów i wymuszanie uznania dla tęczowej rewolucji, to amerykańscy ambasadorowie od czasów drugiej kadencji Baracka Obamy są w awangardzie i nikomu nie dają się wyprzedzić – pokazał to doskonale Greg Delawie, dyplomata, dzięki któremu w 2017 r. doszło do marszu tęczowej równości w pierwszym państwie muzułmańskim, w Kosowie.

Ambasador w Warszawie, tłumacząc swoje zaangażowanie, powołuje się na Deklarację praw człowieka: „Wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi w swej godności

i w swych prawach”. Naprawdę trzeba mieć dużo tupetu (a może poczucia osobliwego poczucia humoru), żeby z faktu równości praw przysługujących wszystkim ludziom wywieść obowiązek uznania perwersji i wynaturzenia za normę. Deklaracja praw człowieka ani nie wypowiada się na temat tzw. prawa do małżeństw osób jednej płci, ani nie wspomina o prawie do konstrukcji własnej tożsamości płciowej czy do zamawiania sobie dzieci u surrogatki. Gotów jestem zresztą założyć się z ambasadorem, że gdyby jej autorzy w latach 40. XX w. wiedzieli, jak zostaną wykorzystane przygotowane przez nich zapisy przez aktywistów LGBT+, odczuliby zgrozę i przerażenie.

Listy listami, marsze marszami, ale ludziłby się ten, kto myśli, że na tym wzmoczenie elit postępowej ludzkości się kończy. O nie, gesty to zdecydowanie za mało. Deklaracje i podpisy to jedynie instrument, wdzięcznie nazywany z angielska shamingiem – zawstydzaniem – który ma doprowadzić polskie władze do zmiany stanowiska. Polska ma się znaleźć pod pręgierzem, ma zostać wskazana palcem, napiętnowana w oczach świata. Temu służą też różnej maści badania i sondaże, które mają wykazywać, jak to bardzo Polacy odstają i jak daleko im jeszcze do znalezienia się „po dobrej stronie historii”, do czego z właściwym sobie wdziękiem nawoływała kiedyś polski lud poprzedniczka ambasadora Brzezińskiego, pani Georgette Mosbacher.

Można to też powiedzieć inaczej: listy, badania i deklaracje to miękkie środki perswazji. Jeśli one nie skutkują, to można użyć bardziej – jak by to powiedzieć – bezpośrednich. Najprostszy i najbardziej skuteczny jest szantaż, którą to metodą posługują się zręcznie eurokraci.

Co ciekawe, nawet się z tym nie kryją. Nie, bez żadnego skrępowania potrafią publicznie się przechwalać, że tym, którzy nie chcą iść w rytmie postępu, odbiorą należne im środki.

Oto doskonały przykład: tego samego dnia, kiedy w Warszawie pojawił się list ambasadorów, „wiceprzewodniczący intergrupy ds. LGBTI+ Parlamentu Europejskiego Pierre Karleskind” (jak widać, już nawet tu wkracza ideologiczny żargon) ogłosił, że „strefy wolne od LGBT+” nie dostaną z UE pieniędzy. To się nazywa prawdziwie bolszewicka szczerość: „Komisja Europejska w liście potwierdza mi, że spełniła swoje groźby: żadnych pieniędzy UE bez poszanowania wartości”. Nic dziwnego, że „Gazeta Wyborcza”, która jest w tej sprawie jedynie medialnym narzędziem propagowania genderyzmu, może triumfować i opisywać rejtaderę polskich samorządowców w różnych regionach Polski. Pozostawieni samym sobie, bez wsparcia rządu, mając na karku z jednej strony tęczowych oficerów z Brukseli, z drugiej medialne jacejki na miejscu, krok po kroku wycofują się z niedawno przyjętych uchwał.

W tej sprawie mamy do czynienia z bezpośrednim i trwałym sojuszem USA i Unii. Wbrew opiniiom tych polskich znawców, którzy przeciwstawiają sobie „złą, tęczową” Unię i „dobrą” USA, Waszyngton i Bruksela idą, co się tyczy tęczowego zamordyzmu, ręką w rękę. Tym bardziej należy docenić postępowanie tych państw Unii, które presji nie ulegają i których ambasadorowie w waszyngtońsko-brukselskiej, tęczowej szopce nie uczestniczą. Przypominają oni tych ludzi, którzy przed laty potrafili się odważyć oprzeć naciskom do udziału w pierwszomajowych komunistycznych pochodach. © ©



TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRO
**CZAS POKAZAŁ, KTO MA RACJĘ:
MY CZY PREMIER**
Mamy wrogów Polski
na zewnątrz i wewnątrz

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
W KOGO TRAFI RAKIETA
Polityczne konsekwencje przed wyborami

25 PIOTR SEMKA
„800+” MINUS OPOZYCJA

28 JAN FIEDORCZUK
W ODMĘTACH SZALEŃSTWA

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
**ŚWIECKA KOMUNIA,
CZYLI ZAPEŁNIANIE PUSTKI**

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
W IMIĘ DZIECKA

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
HISZPAŃSKI ŚWIAT
Iberyjscy mistrzowie

38 PIOTR GOCIEK
W DRODZE DO PRZYSZŁOŚCI

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 WOJCIECH GOŁONKA
TĘCZOWA US ARMY
Powrót cesarza Heliogabala

49 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KARA SŁUSZNA I SPRAWIEDLIWA

52 TOMASZ ROWIŃSKI
**KAROL WIELKI
W GROBIE SIĘ PRZEWRAÇA**

HISTORIA

54 ROZMOWA Z WACŁAWEM
HOLEWIŃSKIM

**ROSYJSKA
RULETKA KAROLA
JAROSZYŃSKIEGO**
Zapomniany życiorys
polskiego krezusa



ŚWIAT

58 WITOLD REPETOWICZ
ZŁY SCENARIUSZ DLA ZACHODU
Erdoğan nie odda władzy?

61 MACIEJ PIECZYŃSKI
OPRICZNIK PUTINA

64 PIOTR WŁOCZYK
NIEWYPAŁ RUSSIAGATE

EKONOMIA

68 ŁUKASZ WARZECHA
ZNISZCZYĆ FIRMY
Kolejna unijna operacja socjotechniczna

71 JACEK PRZYBYLSKI
AI ZABIERZE CI PRACĘ?

ŻYCIE I NAUKA

74 ADAM ZUBEK
**POMRUK
MORSKIEGO NIEDŹWIEDZIA?**
Trzęsienia ziemi w Polsce i w regionie

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzczy.pl, www.DORZCZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukierlik, Krzysztof Czabanski, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchryk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZCZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadarowski (dobrać zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Tomasz Radzik/SE/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Klor

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzczy.pl.

„Zwodnicza ścieżka geopolityki”, Jan Fiedorczuk, „DRz” 12/2023

Szanowni Państwo,

[...] Dlaczego wypowiadając się na temat geopolityki, Autor opiera swoje sądy na kilku popularnych w Internecie postaciach, które formułując chwytliwe hasła, robią po prostu w ten sposób kariery polityczne? Dlaczego Jan Fiedorczuk nie dostrzega, że geopolityka, oprócz tego, że jest wykorzystywana jako trampolina do kariery, jest przede wszystkim subdyscypliną nauki [...]. Zniechęcając do geopolityki, Jan Fiedorczuk używa argumentów, które nie odnoszą się do geopolityki jako nauki. [...]

Geopolityka jest nauką ważną, bo dotyczy najistotniejszych dla rozwoju społeczeństw kwestii, a jej symbolem (za razem narzędziem i produktem) jest mapa ukazująca układ regionów i miejsc, spośród których niektóre posiadają znaczenie strategiczne. O kontrolę nad nimi ubiegają

się podmioty polityki międzynarodowej, tak jak szachiści starający się opanować pola szachownicy, które są ważne dla osiągnięcia przewagi. Te strategiczne miejsca i regiony „[...] stanowią przedmiot konfliktów, a o ich znaczeniu decyduje obecność pewnych zasobów, obiektów produkcyjnych, magazynów paliw i krytycznych

surowców, skupisk ludności, baz wojskowych, oraz ich lokalizacja w stosunku do linii komunikacyjnych, tras przewożonych lub szlaków masowych migracji [...]. Bez zrozumienia zależności istniejących między obiektami i polami geopolitycznej szachownicy wszelkie wyobrażenia o współczesnym świecie będą ułomne, co powodować będzie nieporozumienia w debacie publicznej i błędy w życiu politycznym, prowadząc do zaburzeń

w stosunkach międzynarodowych” (cytat pochodzi z przedmowy do książki „Regiony świata. Geografia i geopolityka” wydanej w 2021 r.).

Z najlepszymi pozdrowieniami
Witold Wilczyński,

Polskie Towarzystwo Geopolityczne, Kraków

Od autora

Tekst dotyczył „geopolitycznych showmanów”, a nie geopolityki jako takiej. Ta oczywiście, co zaznaczam w tekście, jest przydatna przy analizie sytuacji międzynarodowej. Musimy jedynie pamiętać, że jest narzędziem, a nie celem polityki (o czym zapominają owi „showmani”).

Jan Fiedorczuk

„Jedenaście chybień, czyli polemika ad personam”, Agnieszka Bugała, „DRz” 20/2023

Odpowiedź Pani Bugały na moją polemikę przeczytałem ze smutkiem i rozczarowaniem. Dziennikarka nie odniosła się bowiem do żadnego z moich merytorycznych zarzutów, skupiając się na gierkach słownych i przytaczaniu zapisów Kodeksu etyki PTH, które najczęściej nijak mają się do kwestii, które podniosłem. Jedyną war-

tością tekstu p. Bugały jest fakt przyznania się przez Autorkę, że nie ma pojęcia o analizie źródeł historycznych. Najbardziej kuriozalne brzmią słowa Pani redaktor: „Artykuł był dziennikarskim portretem, nie kolejną biografią” – jest portretem ks. Gulbinowicza, ale sfalszowanym, wybiórczym i hagiograficznym.

Oczywiście chętnie sięgnę do zapisków kard. Gulbinowicza, jeśli staną się dostępne dla historyków (o ich jak najszybsze udostępnienie badaczom apeluję), bo nie należę do tych, którzy ignorują źródła lub odmawiają wiedzy. Zapiski hierarchy nie mają jednak mocy unieważniania innych źródeł, w tym dokumentów aparatu bezpieczeństwa czy Urzędu ds. Wyznań. Co wie każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o badaniu źródeł historycznych.

dr hab. Rafał Łatka, profesor UKSW

Polacy... wszędzie Polacy
z obsesją Niemiec...



o e z a t y z t y s t o r z



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pozory **nic nie dadzą**

Czy króla Karola III koronował heretyk? Tego zdania są przywódcy 13 Kościołów protestanckich reprezentujących Czarną Afrykę. Zebrali się oni niedawno na synodzie biskupów afrykańskich Kościołów anglikańskich, aby stwierdzić wyraźnie, że wieloletni Justin Welby, arcybiskup Canterbury, honorowy lider wspólnot anglikańskich, jest odstępą od zasad wiary anglikańskiej.

Kroplą, która przełała czarę goryczy, była decyzja arcybiskupa o stworzeniu liturgii błogosławienia związków osób tej samej płci. Cała sprawa mogłaby być traktowana jako ciekawostka z życia świata postkolonialnego, gdyby nie jedna istotna okoliczność, ważna także dla sytuacji w Polsce. Oto bowiem od dłuższego czasu wśród części publicystów katolickich lansowana jest opinia, że trzeba nauczyć się żyć z różnicami doktrynalnymi w łonie Kościoła katolickiego. Opinię taką wyraża np. Tomasz Terlikowski, który wskazuje, że taki rozłam doktrynalny faktycznie istnieje już od początku lat 70. Wtedy to katolickie Kościoły – niemiecki czy szwajcar-

ski – nie przyjęły do wiadomości encykliki Pawła VI „*Humanae vitae*” i faktycznie zaakceptowały antykoncepcję. Teraz – jak wskazują zwolennicy „pluralizmu” – stajemy wobec sytuacji, w której papież Franciszek faktycznie zaakceptował tendencję w Kościele niemieckim, np. do błogosławienia w kościołach związków homoseksualnych.

Zwolennicy „wielorakości” wskazują, że to się po prostu już dzieje i należy nauczyć się żyć razem, ze świadomością, że różnice będą. Że trzeba przyjąć do wiadomości, że w niemieckim Görlitz ksiądz będzie błogosławił homoparom, a po drugiej stronie Nysy Łużyckiej, w polskim Zgorzelcu, będzie to (na razie) nie do pomyślenia. Sam zresztą Terlikowski pięć-sześć lat temu potrafił bardzo trafnie przestrzegać przed groźbą tzw. anglikanizacji Kościoła katolickiego. Dziś wydaje się akceptować ten stan rzeczy i na zasadzie „realisty” zachęca katolików do uznania nowego status quo.

Jednak ostry rozłam między anglikańskimi Kościołami a afrykańskimi oraz „białymi” Kościołami z północnej półkuli pokazuje,

że taka sztuczna jedność bardzo szybko się pruje. Akurat w tym wypadku pierwsi postavili weto prawowierni hierarchowie tych Kościołów anglikańskich, które reprezentują jeszcze żywotność. Jednak przecież mogłoby być dokładnie na odwrót. W świecie, gdzie wszystkie Kościoły chrześcijańskie tresuje się „pedagogiką wstydu”, można wyobrazić sobie sytuację, w której liberalne media egzaminują biskupa Canterbury z tolerowania homofobii swoich afrykańskich braci w biskupstwie.

W dyskusjach dotyczących Kościoła katolickiego na razie dominuje słodki ton „różnijmy się pięknie”. Ale za jakiś czas, gdy już ten pluralizm dokona wewnętrznej erozji w Kościele katolickim, postępowcy zaczną przeproszać za swoich nietolerancyjnych kolegów, którzy np. wzdragać się będą przed błogosławieniem małżeństw osób tej samej płci. Co wtedy powiedzą dzisiejszy postępowcy katolicy? Nie wiem. Pewnie wymyślą jakieś zgrabne wytłumaczenie postępowej urawniłowki. Swady retoryczne im nie brakuje. ©

PÓŁNOCNE WŁOCHY POD WODĄ

Największe od stu lat ulewy spowodowały powódzie w wielu miejscowościach regionu Emilia-Romania w północnych Włoszech. To część kraju zamieszkała przez wielu migrantów z Polski. Pod wodą znalazły się m.in. miasteczko Lugo oraz część nadmorskiej miejscowości Cervia. W sumie powódzie nawiedziły 37 miast i gmin. W ubiegłym tygodniu odnotowano śmierć co najmniej dziesięciu osób. Domy musiało opuścić aż 13 tys. ludzi. **(luz)** ©



FOT. MICHELE LARINI/BLONDBERG/GETTY IMAGES

Koniec projektowania, niebawem czas budowania.

CPK wchodzi w nową fazę

Już ponad 1,2 tys. mieszkańców z terenu przyszłego lotniska zgłosiło chęć sprzedaży swoich nieruchomości spółce CPK. Jeszcze w tym roku planowane jest tam wbiecie pierwszej łopaty, a równocześnie rozpędzają się inwestycje kolejowe. Spółka przedstawiła właśnie wariant inwestorski Kolei Dużych Prędkości na odcinku Poznań – Sieradz, a wcześniej: Warszawa – Łódź, Łódź – Wrocław, Katowice – Ostrawa i Łętownia – Rzeszów. To oznacza, że w fazie projektowania jest już cały słynny „igrek”



Lokomotywa o nazwie CPK rozpędziła się na dobre. Pełnomocnik rządu zapowiedział, że jeszcze w tym roku rozpocznie się budowa portu lotniczego pod Warszawą. Na wykupionych nieruchomościach obszaru lotniska od kilku tygodni trwają już rozbiórki.

W mediach coraz częściej słychać informacje o zagranicznych inwestorach, którzy chcą wyłożyć pieniądze i być mniejszościowym udziałowcem spółki zarządzającej portem lotniczym CPK. Swoje zaangażowanie w trwające postępowanie na partnera finansowego ujawnili już publicznie południowokoreański zarządca Lotniska Incheon i francuska grupa kapitałowa Vinci (jeden z największych operatorów lotnisk na świecie zarządzający 65 portami w 12 krajach). W spółce, która będzie operowała nowym lotniskiem, 51 proc. udziałów pozostanie w rękach Skarbu Państwa.

Rozpędu nabierają także inwestycje kolejowe. Ostatnio spółka ogłosiła wariant inwestorski dla odcinka Sieradz – Poznań, który z łącznicami będzie miał w sumie po-

nad 220 km. Inwestycja jest częścią unijnej sieci priorytetów transportowych TEN-T i skróci podróż koleją, np. ze stolicy Wielkopolski do Warszawy o ponad godzinę.

Spółka CPK ma już także warianty inwestorskie dla ok. 140-kilometrowego odcinka Kolei Dużych Prędkości między Warszawą i Łodzią, dla ok. 200 km między Łodzią i Wrocławiem, dla 40 km w rejonie Rzeszowa, a od końca marca dla 70-kilometrowego odcinka Katowice – Ostrawa.

Priorytetem inwestycyjnym jest trasa Warszawa – Łódź, która pozwoli włączyć nowe lotnisko w system kolejowy. To wymagający projekt, bo na zachód od stolicy zakłada powstanie 10-kilometrowego tunelu drążonego tarczą zmechanizowaną TBM. Kolejny tunel, tyle że o połowę krótszy, planowany jest na wyjeździe do Łodzi. Dzięki inwestycji podróż między tymi miastami skróci się z 90 do 45 minut. Jeszcze większe zmiany odczuwają podróżujący z Warszawy do Wrocławia. To kolejny z priorytetowych odcinków CPK, a tym razem przejazd skróci się z ponad czterech godzin do mniej niż dwóch godzin.

CPK wybuduje w całej Polsce prawie 2 tys. km nowych linii kolejowych, w tym KDP, a dla ponad 1,5 tys. km z nich opracowywane są już studia wykonalności. Wykluczone komunikacyjnie od lat miasta, jak np. Łomża (60 tys. mieszkańców) czy Jastrzębie-Zdrój (90 tys.) znów zyskają połączenia i szansę na rozwój.

Zaawansowanie prac oznacza, że już za kilka lat powstanie tzw. igrek, czyli połączenie Warszawy z CPK i Łodzią, a dalej z Wrocławiem i Poznaniem. To niezwykle ważny dla Polski projekt, który powinien powstać już dawno, ale 12 lat temu został wstrzymany. Dziś wpisany jest do sieci bazowej TEN-T, więc ma bardzo dużą szansę na znaczące dofinansowanie ze środków unijnych.

Bruksela z zasady wspiera kolej jako transport ekologiczny i bezpieczny. Z instrumentu „Łącząc Europę” CEF Reflow spółka CPK uzyskała już ponad 108 mln zł, a ubiega się o kolejne dotacje. Choć linie kolejowe CPK będą niskoemisyjne, to mimo wszystko bardzo szybkie, bo pociągi mają się rozpędzać do 250 km/h z opcją prostej rozbudowy do 350 km/h.



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ciemny jasnogród

Nie za to ojciec syna bił, że przegrał, ale że się chciał odegrać – mawiali przodkowie. Analogicznie należy dziś napiętnować TVN nie za to, że puścił na antenie głupiego suchara, ale za sposób, w jaki za niego przeprosił – czy raczej „przeprosił”.

Mowa oczywiście o wtopie Krzysztofa Daukszewicza, który chciał – jak się zdaje – zakpić w „Szkle kontaktowym” z Jarosława Kaczyńskiego, ale wyszła mu kpina z pracownika stacji Piotra Jaconia. Redaktor Jaconi ma dziecko, już dorosłe, które dotknięte zostało zaburzeniem zwanym przez medycynę „dysforią płciową” i przeszło tzw. tranzycję, czyli zmianę płci. W efekcie tej sytuacji osobistej, czy może wykorzystując ją, Jaconi

stał się propagatorem „praw osób transpłciowych”, a mówiąc ściślej, tej ich części, która identyfikuje się ze „środowiskiem LGBT”.

Wbrew twierdzeniom tego środowiska, jakoby broniło ono „transów” przed dyskryminacją, jego działalność – dotyczy to też redaktora Jaconia – samym dotkniętym problemem ze swą seksualnością niesie więcej szkody niż pożytku. Radzenie sobie z dysforią płciową jest bowiem sprawą skomplikowaną i lansowane przez ideologów łatwe, szybkie i bezproblemowe „uzgadnianie płci” bynajmniej cierpień z tym związanych nie uśmierza, tylko je potęguje. Mówił o tym ostatnio w głośnym wywiadzie prof. Zbigniew Lew Starowicz i trudno coś do jego fachowej wiedzy dodać.

Niemniej Jaconi dla swej działalności ma szczególny immunitet i w tej sprawie wykorzystał go bezlitośnie, epatując publiczność opowieściami o łzach, które miał w oczach po pytaniu Daukszewicza, „jakiej jest dzisiaj płci” – tym samym czołgając bezlitośnie tego ostatniego w oczach tefalenowskiej gawiedzi. Potem zaś nie omieszczał połączyć całej sprawy z atakiem na Kaczyńskiego i PiS. Tym śladem podążył też redaktor Sianecki, wylewnie przepraszając, ale ze wskazaniem, że wszystko przez Kaczyńskiego, Czarnka i Dudę.

Pozostaje jeszcze zrobić z Daukszewicza PiS-owca i operacja wyprowadzenia widzów TVN z „dysonansu poznawczego” zakończy się pełnym sukcesem. ©©

OD POCZĄTKU

Suwerenizm i suwerenność



MAREK JUREK

Samo słowo – to pierwsze użyte w tytule – jest zabawne i bardziej się nadaje do słownika rewolucji niż do opisu poglądów. To tak jak używana już „heteronormatywność” lub czekający na wejście do użytku „monogamizm”. Trudno, jest, jak jest, norma stała się „poglądem”.

W każdym razie suwerenizmu i suwerenności nie należy mylić. Tak jak wyborów i polityki. W obu wypadkach pierwsze jest funkcją drugiego.

Sinn Féin, Agencja Żydowska, Indyjski Kongres Narodowy miały formalny mandat społeczny trochę, a czasami wiele lat przed uzyskaniem niepodległości. Wszystkie te ruchy zrealizowały

swój narodowy cel nie dlatego, że go chciały, ale dlatego, że prowadziły na jego rzecz politykę.

To samo dotyczy dziś Polski, w obliczu systematycznej konfiskaty suwerenności przez nowe ponadnarodowe Imperium przekonane o uniwersalnej misji, o swym demokratyzmie i mające zwolenników w każdym zdominowanym kraju.

Oczywiście warunkiem prowadzenia polityki suwerenności jest posiadanie władzy chcącej ją wykonywać i chronić. To jasne, tym bardziej im większe poparcie mają zwolennicy podległości. Jednak w strukturze takiej jak Unia Europejska ważne są zarówno zdolność suwerennego sprzeciwu,

jak i budowanie szerszych (przynajmniej względnie stabilnych) porozumień, wspierających naszą suwerenną politykę.

Nie wiadomo jeszcze, jaki będziemy mieli wybór w nadchodzących wyborach. Czy będziemy mogli głosować na konkretne postulaty suwerenności. Na dziś wygląda, że będziemy mogli jedynie poprzeć „suwerenistów”, bez gwarancji, że ich polityka wyjdzie poza retorykę. Możliwości polityki – jak sami twierdzą – mają ograniczone, bo „atakują ich ze wszystkich stron”. Na ogół dlatego, że wszczynają spektakularne konflikty, trochę pod wpływem własnych emocji, a w dużym stopniu dla wyborczej mobilizacji elektoratu. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Ho Tota za piúnet tylko chleje
i bije zony. Tżeba im dai
osiemset!!!



PIECZEŃ RZYMSKA

Z dziejów publicznej telewizji RAI



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Po całej Italii niesie się płacz i zgrzytanie zębów lewicowych elit, bo nowy prawicowy rząd chce im odebrać ukochaną zabawkę – telewizję publiczną.

Oczywiście nie całą. Po 20 latach popularny, bardzo dobrze prowadzony przez aktora Fabia Fazia program „Jaką mamy pogodę?” otrzymał nakaz eksmisji i przenosi się z RAI do TV9 Discovery Italia. Ten program był, jest i będzie wyrafinowanym narzędziem świetnie podawanej postępowej propagandy. Tuzy lewicowego intelektu, artyści i politycy obozu postępu, nie posiadają się z oburzenia, bo od lat uważają publiczną TV za swoją własność.

Było tak: włoska klasa polityczna doszła do wniosku, że w Italii pępowiny między TV a polityką przeciąć się nie da. Opowieści o niezależnej publicznej TV włożyli między bajki i niemal pół wieku temu zamiast bić się o wpływy i awanturować, postanowili podzielić się łupem, czyli antenami: RAI1 przypadł chadekom, RAI2 – socjalistom, a RAI3 – komunistom. Ten ostatni kanał złośliwi Włosi w czasach, gdy w Afganistanie panoszyli się ruscy, przezwali nie bez racji „Telekabul”. Zresztą RAI3 bolszewizuje do dziś.

Kiedy wydawało się, że problem został raz na zawsze rozwiązany, nagle pojawił się ze swoimi trzema prywatnymi kanałami TV Silvio Berlusconi. Na dodatek jesienią 1993 r. stworzył partię Forza Italia,

a w maju następnego roku był już premierem. Zupełnie niespodziewanie pobita w wyborach włoska lewica stwierdziła, że skoro Berlusconi ma swoje trzy kanały TV, to jej się też należą trzy kanały, a więc cała TV RAI. I po krótkiej walce całkowicie skolonizowała i zwasalizowała telewizję publiczną.

Stąd pohukiwania gwiazd lewicy i jej żalosnej prasy, które już się nie da czytać bez leków uspokajających, że doszło do zamachu na publicznego nadawcę i powszechnej czystki, mogą jedynie budzić pusty śmiech i zdumienie rozmiarami hipokryzji. Choć uważam, że prawica zamiast eksmitować Fazio i jego program, powinna próbować stworzyć w RAI konkurencyjny własny. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

WSZYSTKO
ZA ATENCJĘ?

Niby nieważne, co mówią – ważne, żeby nie przekreślali nazwiska. Ale czy aby na pewno? Obserwując niektóre obliczone na uwagę akcje celebrytów, można się poważnie zastanawiać. Tytuł „gwiazdobzdury tygodnia” należy się zdecydowanie Marcinowi Millerowi z discopolowego zespołu Boys. Wokalista opublikował na Instagramie „sesję” zdjęciową ze szpitala. Mamy więc fotografie w łóżku szpitalnym, z wenflonem na dłoni i przy kroplówce. Zdjęcia zrobiono w Szpitalu Uniwersyteckim w Zielonej Górze. Fani Millera, zaniepokojeni całą sytuacją, dopytywali, co się stało. „Bardzo lubię, jak ludzie współczują. Wiem o tym, że wystarczy jedno zdjęcie i ludzie sami dopiszą całą historię, a ja lubię prowokować. Jedno zdjęcie wystarczy, żeby zrobić ruch. Dyrektor tej kliniki jest moim bardzo dobrym znajomym. Byłem z żoną u rodziny i odwiedziłem znajomego. Jestem zdrow jak ryba!” – napisał w końcu beztrudno autor hitu „Jesteś szalona”, co wywołało (całkiem zrozumiale) falę krytyki. „Właśnie przeczytałam, że to taki żarcik. Naprawdę? To jest powód do żartów?



FOT. MATEUSZ CROCHOW/LEAST NEWS

Nie życzę, aby musiał Pan doświadczyć pobytu na onkologii” – stwierdził jeden z oburzonych obserwatorów.

LUDZIE DZBANY

O „aferze” zrobiło się na tyle głośno, że głos zabrał zielonogórski szpital. Co ciekawe, okazało się, że wersja Millera nie jest prawdziwa – w szpitalu był jako pacjent. „Znacie piosenkę »Jesteś szalona«? Każdy słyszał! Marcin Miller (BOYS), lider i wokalista zespołu disco polo BOYS, gościł, jako pacjent, w naszym szpitalu! Dziękujemy za miłe słowa skierowane do naszego szefa Klinicznego Oddziału Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej dr. hab. n. med. Dawida Murawy. Życzymy zdrowia!”. W takiej sytuacji Boys nie mógł ponownie nie wydać oświadczenia. Dalej jest mgliście, choć można ustalić, że faktycznie muzyk przebywał w szpitalu, a „sesja” to efekt dogadania się z jednym z lekarzy. – Tak, byłem pacjentem [...] jedną dobę, leżałem na oddziale onkologicznym, ale miałem zabieg ogólny gdzie indziej [...]. Profesor zapytał mnie, czy mógłbym zamieścić zdjęcie z podziękowaniem, zaznaczyć jego osobę, bo idzie teraz inną drogą, bo potrzebne jest mu teraz wsparcie medialne. Więc zrobiłem to zdjęcie [...]. Zadzwonił do mnie „Super Express”. Wolałem nie mówić wszystkiego, bo nie ma się czym chwalić, że jest się w szpitalu. Potem napisano, że drwie z raka i udaje chorego – relacjonuje oburzony Miller w instagramowym nagraniu. Na jego profilu pojawiło się też kolejne zdjęcie ze szpitala, z wiele mówiącym opisem: „Dawidzie [chodzi o lekarza – przyp. red.], zgodnie z Twoją prośbą, tak jak chciałeś (koledze nie odmówię, chociaż wiedziałem, jak dzbany to skomentują), jeszcze raz serdeczne dzięki za miłe spotkanie i jak najbardziej będziemy Cię wspierać na Twojej nowej drodze ku lepszej Polsce”. To teraz jeszcze warto przetłumaczyć z celebryckiego na nasze – „dzbanami”, na których pomstuje Miller, są wszyscy krytykujący „aferę szpitalną”, która de facto okazała się nieudolną promocją lekarza, prawdopodobnie rozpoczyna-

jącego karierę polityczną. Ręce nie mają gdzie opadać.

MAŁGORZATA
NA PREZYDENTA!

Skoro mamy już za sobą historię absurdalną, to teraz, szanowni państwo, samo życie. Aktorka Małgorzata Potocka podzieliła się wrażeniami z podróży PKP. O Polskich Kolejach Państwowych można



FOT. WOJCIECH OSZANKA/LEAST NEWS

by napisać tragikomedię, ale oddajmy głos pani Małgorzacie. „Co się stało z PKP? Od jakiegoś czasu przesiadłam się z auta do pociągów. Taniej, bezpieczniej i czas na myślenie, czytanie, pisanie. Tylko pociągi u nas to tragedia. Spóźnienie to norma, ostatnio w Rzepinie o północy 1,5 godziny spóźnienia i nawet poczekalni nie ma, pociąg bez bufetu. Nawet IC nie mają bufetów. Napisane w Internecie, że wózek jeździ. No nie jeździ. Toaleta co druga zepsuta. Co to jest, żeby w tej epoce nie było bufetów. To może chociaż szafy z napojami? Czy ktoś w ogóle myśli o pasażerach?” – pyta retorycznie aktorka w facebookowym wpisie. „Nie ma żadnego biletu, na chłama wdzieram się do pociągu, a on prawie cały pusty. To też norma. Czy nie potrafią tej strony biletowej usprawnić? [...] Siedzę już trzecią godzinę bez wody i nie wiem, czy nie zdechnę za chwilę. Gdzie tu skargi wносить?” – dopytuje oburzona Potocka. Jako częsta użytkowniczka polskich kolei nie moge się nie zgodzić z panią Małgorzatą. Podzielać wręcz wszystkie jej zarzuty. Aż chce się zakrzyknąć: Małgorzata na prezydenta! Choć może to zbyt wiele. No dobrze, to chociaż: Małgorzata na ministra infrastruktury! @



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie milkną liczne echa wokół serialu „Kleopatra”, w którym królowa Egiptu została przedstawiona jako osoba pigmentalnie uposażona. Of kors jest to przykład strasznego obскурantyzmu i efekt wieloletniej białej supremacji, iż przypomnijmy, że nie zachowało się żadne zdjęcie królowej Kleopatry i tak naprawdę nie wiemy, jakiego koloru skóry ona była.

W ogóle tak sobie teraz myślimy, że awantura o kolor skóry aktorki (my of kors nie dostrzegamy takich rzeczy, ale skoro mentalne podkarpacie wywołało ten temat...) to przykład na to, jak wiele czeka nas jeszcze pracy i jak daleka droga przed nami do osiągnięcia postępu w filmach biograficznych.

Przeciesz nie o tym w ogóle powinna być dyskusja. Tak na dobrą sprawę przecież nikt z nas nie widział nigdy ani Kleopatry, ani Juliusza Cezara, ani innych królów i władców. Dlatego tak naprawdę wszystko zależy od nas. Nie widzimy osobiście żadnych przeszkód, aby np. zrobić film biograficzny o Mieszku, którego zagrałaby osoba o azjatyckich rysach twarzy, będąca waginoosobą.

Dla nas, obecnie żyjących, przykładowy „Mieszko” to tylko słowo, z którym możemy zrobić to, co podpowiada nam twórcza intuicja. Dlatego mamy nadzieję, iż dyskusja wokół królowej Kleopatry to dopiero początek i przed nami długa i fascynująca podróż z filmami biograficznymi pisanymi według nowych zasad.

Tuż przed wyborami uświadomimy, że nie dyleje, nie tłucze żony, i w ten sposób poglązy my go w oczach pśowskiego elektoratu ...



C E Z A R Y U S T Y C Z E T O R

Tego się spodziewaliśmy. Kaczafi wziął i zapowiedział „800+” w miejsce „500+”, a więc podniósł świadczenie o ileś tam procent, i to tylko po to, iżby ludzie najpierw na niego zagłosowali, a potem od nowego roku im da. Jest to oczywiście tani populizm, kupowanie głosów, brak troski o budżet państwa, działania proinflacyjne i rozdawnictwo, które ma promować nierobów i leni kosztem osób aktywnych i przedsiębiorczych, no jakżeby inaczej.

Dlatego cieszy nas propaństwowa i rozsądna propozycja Donalda Tuska, godna osoby stanu i chłodnego, racjonalnego polityka, iżby „800+” zaczęło obowiązywać już od czerwca. W oczywisty sposób jest to bowiem propozycja, która ma na względzie przede wszystkim dobro polskich rodzin, ma pobudzać popyt i wesprzeć Polaków w tym trudnym inflacyjnym czasie. Wprowadzenie jej jeszcze przed wybo-

rami w żaden sposób nie wpłynie na ich wyniki, gdyż, jak wiadomo, wyborca ma pamięć złotej rybki i jesienią nie będzie pamiętał, kto i co dał mu w czerwcu.

Widzicie teraz wyraźnie, jakie są różnice między obiema tymi propozycjami i co należy o nich myśleć oraz którą popierać? W naszym kolektywie osoby nieposiadające dzieci aż zamarzyły sobie, żeby je mieć i dostać takie „800+” proponowane przez Tuska.

Wogóle w tej propozycji uderza nas jedno – brak wsparcia na psiecko. Starszym i niewykształconym tłumaczmy: psiecko jest to tzw. psie dziecko, a więc dziecko będące osobą psią, którą modni single z wielkich ośrodków przyjęły na wychowanie.

Posiadanie psiecka to również wydatki, obowiązki, troski i zmartwienia, ale przede wszystkim okazja do błyszczenia w mediach społecznościowych, iż jest się osobą wyzwoloną do tego stopnia, iż zamiast zwykłego dziecka (jak na Podkarpaciu) posiada się psa.

Rozumiemy, iż nawet nowoczesne opozycyjne projekty muszą brać poprawkę na rzeczywistość, w której żyjemy, ale jak już się uda odsunąć PiS od władzy, to jakieś przynajmniej „800+” na psiecko będzie koniecznością, bo to się tym wszystkim osobom (i psim, i ludzkim) po prostu należy. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Balon pilnie poszukiwany

Panie generale, ja się pytam, gdzie jest balon!

Który balon, panie ministrze?

Idiotę pan ze mnie robi? Ten z Białorusi, a niby który?!

Ale który z Białorusi?

No jak to: który? A niby ile ich do nas wleciało?

No właśnie... Liczyliśmy w sztabie ostatnio i wyszło nam, że pięć...

Że co?!

To znaczy – pięć z Białorusi i jeszcze dwa z obwodu kalinin... Przepraszam, królewieckiego.

I co wy z tym robicie?

Trwają intensywne i wytężone poszukiwania! Panie ministrze, dobrze się pan czuje? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kaczyński oprócz 800 plus obiecał koniec wolnych mediów”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

dwaj panowie g



Zycia prawdziwych mężczyzn. Wielu się spodziewało, że podczas posiedzenia Biura Bezpieczeństwa Narodowego w minionym tygodniu może dojść do mordobicia między ministrem Mariuszem Błaszczakiem a gen. Rajmundem Andrzejczakiem. Oczywiście w przenośni. Nie doszło. Panowie prezentowali wobec siebie zimną uprzejmość, jak nam powiedziano. Cokolwiek to znaczy. Czekamy na ciąg dalszy, bo zemsta też ponoć najlepiej smakuje na zimno.

Zimno było też w niektórych miejscach skądinąd gorącej konwencji programowej PiS. Nie z powodu tego, co się działo na niej, lecz przed nią i obok niej. Chodzi, widzicie, o rządową kasę na różne stadiony. O ile da się obronić pomysł dofinansowania rozbudowy stadionu Rakowa Częstochowa, bo to mistrz Polski, więc wizerunek, godność itepe, itede, o tyle wcześniejsza obietnica kasy dla Ruchu Chorzów już wywołała wrzenie w wielu miejscach. Nie chodzi o niechęć do Chorzowa, tylko o to, że nagle w innych miastach odezwali się prezydenci, że też budują, więc też chcą kasę. Oczywiście wszyscy nie dostaną. A kto będzie musiał jeść żabę? Lokalni działacze. Stąd ich zimne uśmiechy na konwencji.

Apropos niechęci do Ruchu Chorzów. Natychmiast po obietnicy premiera Mateusza, który za wszelką cenę chciał pokazać, że Tusk nie dał, a on da, odezwali się do nas działacze ze Śląska. Co ciekawe, byli to działacze PiS. Mają chopy pamięć jak Jarosław Kaczyński, bo zaczęli nam opowiadać, jak na meczach Ruchu wywieszano transparenty z napisami „Naród śląski” oraz „Oberschlesien”. Stąd złośliwe pytania lokalnych PiS-owców, czy akurat koniecznie ten nurt kibicowania należy wspierać. Mamy dla działaczy radę – zadajcie to pytanie opiekunowi województwa śląskiego w PiS. A on niech zapyta premiera Mateusza. Czyli upraszczając: niech Mateusz zapyta Mateusza.

Skoro o sporcie. W warszawskich knajpach widywany jest niejaki Łukasz Mejza. Nie przesiaduje w nich sam. Ma towarzystwo urzędującego ministra sportu Bortniczuka Kamila. Nie sądzimy jednak, by pomogło to Mejzie uzyskać miejsce na wyborczej liście.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Polecamy uważne przyjrzenie się billboardom wzywającym na wielki marsz PeŁo 4 czerwca. Brak na nim jakichkolwiek adnotacji prócz podpisu „Donald Tusk”. No i jest biało-czerwona

flaga. Najbardziej z tego powodu zadowoleni są źli ludzie z PeŁo, a takich trochę tam znaleźliśmy (rozpoznajemy ich po tym, że chcą z nami gadać). „Jak marsz średnio wypali – mówią źli ludzie – to się powie, że to była prywatna inicjatywa Donalda, a partia to co innego”. Też dobre.

Wrozterce są świnki i kurki, czyli sojusz Peezelu z Szymonem 2050 (przypominamy: greps o trzodzie i drobiu wymyślił Piotr Zgorzelski, więc proszę do nas nie mieć pretensji o obrazę). Ale bardziej kurki. Ludowcom z terenu nie chce się jechać do Warszawy i w nosie mają Donalda. Ale kurki, zwłaszcza ze stolicy, bardzo chciałyby zamanifestować, jak bardzo nienawidzą PiS. Podpowiadamy: Zły Donald szykuje dla was ponurą niespodziankę. Bo co by było, gdyby tak ze sceny o wspólną listę zaapelowała płomiennie jakaś była kurka?

Na marszu spodziewamy się morza biało-czerwonych flag, bo takie zalecenia już obowiązują na mityngach PeŁo w terenie. Co wbija nas w rozterkę, bo lubimy flagi, ale nie lubimy hipokrytów. Skoro jednak ma być wedle Donalda i patriotycznie, i antypisowsko, to podpowiadamy odpowiednią przeróbkę hymnu. Coś w stylu „Marsz, marsz, Donaldzie, na Kaczora najbardziej!”. I koniecznie: „Co PiS-owska władza dała, szablą odbierzemy”.

Apropos dawania i odbierania. Niewiele jest rzeczy jasnych w polskiej polityce, tym bardziej trzeba doceniać nieliczne chwile jasności. Doceniamy więc szczerość Tomasza „Siemanko” Siemonia, który ogłosił, że PeŁo nie realizowała obietnic, gdyż miała koalicjantów, którzy przeszkadzają. Ponieważ szanse na to, że PeŁo kiedyś wygra wybory z taką wielkością, by rządzić samodzielnie, są mniej więcej takie jak Zbyszka Ziobry na tron Anglii, możemy dzięki szczerości Siemanka ogłosić oficjalnie: Platforma nigdy żadnej obietnicy nie realizuje. Co było do udowodnienia.

Wracając do sojuszu świnek z kurkami – podjęły one decyzję, że oficjalna nazwa koalicyjnego komitetu wyborczego to „Trzecia Droga – Polska 2050 i Polskie Stronnictwo

Ludowe”. W skrócie TDP2050iPSL. Ładnie, krótko, chwytliwie. Nazwalibyśmy ich „trzeciakami”, ale za bardzo szanujemy Sergiusza Trzeciaka, którego nazwisko brzmi podobnie, a z tą menażerią nie ma nic wspólnego. No to zostaje ta nazwa, którą już wymyśliлиśmy wcześniej: „Świniokur”. Z dodatkiem „Trzecia Droga”.

Przypominamy, że w naukach politycznych Trzecia Droga to coś pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem. W sumie blisko. W przypadku naszych świnek i kurek też przecież najważniejsze jest słowo „pomiędzy”. Tyle że chodzi o coś pomiędzy nepotyzmem a egotyzmem. Tak, Szymon, to ostatnie to o tobie.

Wracając na chwilę do sportu – może ktoś nie zauważył, ale z futbolowej Ekstraklasy z hukiem spada Lechia Gdańsk, ulubiony klub Donalda Tuska. Głupia sprawa, ale znamy poważną frakcję w PeŁo, która jest z tego powodu szczęśliwa. To oczywiście frakcja legionistów. Jednym z najbardziej znanych jest Andrzej Halicki, który nawet zwykł prowokować na wyjazdach do Gdańska, łącząc pod stadionem Lechii w szaliku Legii. Wracając do Tuska – on z ekstraklasy spadł już bardzo dawno.

Jak sport, to i kultura. Pisaliśmy już, że po swoich wyczynach w filmie „Zielona granica” o rzekomych

zbrodniach reżimu PiS na migrantach Agnieszka Holland nie ma szans na uzyskanie kasy na swoje najnowsze dzieło poświęcone Franzowi Kafce. Dziś ciąg dalszy. Otóż kasy z PISF nie będzie, ale scenariusz jest. Udało nam się poznać jedną z recenzji napisanych na potrzeby Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Najbardziej nam się spodobało użycie w tej recenzji słowa, którego od dawna nie słyszeliśmy. A mianowicie: „minoderyjny”. Używała go jedna z naszych ciotek. Bardzo dystygnowana dama, która nigdy nie kłęta. Natomiast nie znosiła osób fałszywych, a jednocześnie przytulających się do wszystkich. Taka osoba była przez nią określana „minoderyjną pipą”. Nie ukrywamy, że słowo to jak ulał pasuje do dzieł Agnieszki Holland z ostatnich lat.

Skoro już zrobiło się ponadnarodowo, to informujemy, że doszło do zażegania sporu o ambasadorów między Pałacem a Gmachem, czyli między MSZ a prezydentem Andrzejem Sebastianem. Prezydent zgodził się klepnąć prawie wszystkie kandydatury. Ale „prawie” robi duża różnicę. Wiceminister Piotr Wawrzyk będzie niepokieszony, bo osoba głowy państwa nadal blokuje jego protegowanego na placówkę w Islandii.

Z ciekawostek – wciąż też nie klepnięto kandydatury na placówkę w Tel Awiwie. Tutaj jednak

powód jest inny. Po tej jeździe, którą wykonywali Izraelczycy po faktycznym wydaleniu Magierowskiego, istnieje zgodna opinia, że powinni jeszcze trochę odpokutować. Dodajmy, że ta strategia jest skuteczna, bo nawet niezbyt nam przychylna media izraelskie zauważają, że Polska, która zawsze na forum międzynarodowym głosowała przeciw antyizraelskim rezolucjom, ostatnio zaczęła się wstrzymywać od głosu. A to robi się dla Izraela coraz poważniejszy problem.

Z dalszych ciekawostek – na placówkę w Dżakarcie jedzie o. Jana Kanthaka. Zawsze mówiliśmy, że to nie jest polskie nazwisko. A propos nie polskich nazwisk: przypomnieliśmy nam się anegdota bp. Nossola. Otóż kiedy SB po raz kolejny spotkała się z odmową podjęcia tajnej współpracy przez owego duchownego, ubek wysyczał pod jego adresem: „Nossol, przez dwa ess!”. Chodziło, że niby Niemiec i że jak SS. Biskup odparł rezolutnie „Tak, zupełnie tak jak marszałek Rokossowski”.

Z najdalszych ciekawostek – Łukasz Jasina, rzecznik MSZ, ma w swoim gabinecie niezwykle mebel: otomanę. Tak ją uwielbia, że nadał jej nawet imię. Przy okazji jednak dementujemy – Jasina nie wybiera się w ambasadory. To znaczy na razie się nie wybiera. ☹

REKLAMA

Chcę pójść do szkoły. Pomóż mi.

Tysiące dzieci w Zimbabwie nie chodzą do szkoły z powodu biedy.

www.sosafryka.org



SOS WIOSKI
DZIECIĘCE





Suwerenność lasów stale w niebezpieczeństwie

Ostatnie wydarzenia wokół Lasów Państwowych, związane z próbą odebrania Polsce prawa do zarządzania lasami, to nic nowego. Zakusy na Lasy Państwowe trwają już od dawna

Jest rok 2010. Alejami Ujazdowskimi w Warszawie maszeruje kilka tysięcy leśników. Protestują przeciwko pomysłowi ówczesnego rządu, by Lasy Państwowe włączyć do sektora finansów publicznych. Pomysł spotkał się z ich ostrą krytyką. Wiedzieli, że kryje się za nim coś więcej – demontaż sprawnie działającej organizacji, po to, by uczynić ją niewydolną, doprowadzić do destabilizacji, a następnie niechaynie oddać w obce ręce.

ZDESTABILIZOWAĆ, SPRYWATYZOWAĆ

– Lasy Państwowe musiały kłuć w oczy różne neoliberalne środowiska, i to nie tylko krajowe. Jeszcze w latach 90. pojawiały się idee, by potraktować grunty w zarządzie naszej organizacji jako zamienne mienie reprivatyzacyjne. Lawina koncepcji na zmiany, a w istocie na zamach, ruszyła od 2010 r. – wspomina Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Wtedy ze wsparciem ruszył nieodżałowany prof. Jan Szyszko. Zmobilizował środowisko leśne do sprzeciwu przeciw włączeniu finansów Lasów Państwowych do sfery budżetowej – czyli de facto ich pauperyzacji – a od listopada 2010 r. ru-

szyła akcja zbierania podpisów w obronie polskich lasów.

Profesor Szyszko nie miał wątpliwości, że chodzi o prywatyzację, czyli dobrze znaną powtórkę scenariuszy początku lat 90. – Doprowadzić do upadłości, a potem kupić za grosze i to jeszcze w atmosferze wybawiciela, który ratuje przed ostatecznym upadkiem – przypomina słowa męża Krystyna Szyszko, żona i depozytariuszka spuścizny tego wielkiego Polaka.

NIEUSTAJĄCA MOBILIZACJA SPOŁECZNA

W połowie października 2010 r. profesor przedstawił też projekt uchwały w sprawie ogłoszenia referendum na temat propozycji rządu dotyczącej włączenia Lasów Państwowych do jednostek sektora finansów publicznych. Oczywiście obóz władzy pomysł storpedował.

Podpisy przeciwko prywatyzacji lasów zbierali pracownicy Lasów Państwowych, studenci, uczniowie, pracownicy organizacji pozarządowych, koła Radia Maryja, Polski Związek Łowiecki, organizacje kombatanckie i wojsko. Po roku podpisów było pół miliona.

Mobilizacja społeczna była potrzebna, bo to, co nie udało się w 2010 r., miało

zostać zrealizowane rok później – w sposób niezwykle miękki. Chodzi o postulat Rady Programowej II Europejskiego Kongresu Finansowego, który mówił o Funduszu Majątku Państwowego. Byłby on wykorzystany do stworzenia Funduszu Gwarancyjnego Rozwoju Infrastruktury. Miał tam trafić majątek Skarbu Państwa, a więc i Lasów Państwowych.

– Szczęśliwie i ten pomysł udało się zdusić dzięki mobilizacji społecznej – przypomina Józef Kubica.

HARACZ

Ale zbiórki podpisów nie zaprzestano. W 2014 r. już 2,5 mln Polaków wypowiedziało się w obronie lasów!

– Mąż podkreślał, że podpisy były zbierane w hołdzie Janowi Pawłowi II. Dlatego że stawał on bardzo mocno w obronie polskich lasów – mówi Krystyna Szyszko.

Podpisy i zainteresowanie sprawą polskich lasów przydały się właśnie w tym roku, gdyż rząd PO-PSL przypuścił serię zamachów na Lasy Państwowe. W lutym 2014 r. przeszła nowelizacja ustawy o lasach, która ściagała z LP jednorazowo haracz na łączną kwotę 1,6 mld zł – 800 mln w 2014 r. i 800 mln zł w 2015 r. A następnie nakazywała im przekazywanie od 2016 r. 2 proc. od wartości sprzedaży drewna.

– Nałożony na Polskie Lasy Państwowe haracz jest nie do udźwignięcia – mówił wówczas Radiu Maryja Jan Szyszko. – To



Ostatecznie konstytucji nie zmieniono. Podczas głosowania zaledwie pięć głosów przechyliło szalę.

Ekoterrorysty nie próżnują

A gdy zawodzą narzędzia wpływu politycznego, do gry wkracza pospolite ruszenie. Tak jak w Puszczy Białowieskiej w 2016 r.

Dyrektor Kubica: – Lasy Państwowe opiekują się Puszczą Białowieską od blisko 100 lat. Staraniem leśników utworzono Białowieski Park Narodowy, a potem liczne rezerваты; to oni odnawiali Puszczę po dewastacyjnych wyrębach Niemców, Rosjan czy brytyjskiej kompanii The Century. Przywrócili Puszczę, a potem innym polskim lasom, żubra; chronili Puszczę przed różnymi zagrożeniami i gospodarowali w niej według zaleceń naukowców, by odtwarzać jej jak najbardziej naturalny, zróżnicowany charakter; pozyskiwali też drewno dla lokalnej społeczności, nie zagrażając przy tym trwałości i bogactwu przyrodniczemu Puszczy.

Ale część aktywistów ekologicznych, naukowców i mediów próbowała wmówić Polakom, że to leśnicy niszczą Puszczę Białowieską, pomawiali ich o najgorsze intencje i postęпки. Przykuci do maszyn, drzew, zablokowali jedyną skuteczną możliwość walki z gradacją kornika drukarza.

– W ten sposób, zamiast w porę usunąć kilkadziesiąt, kilkaset zainfekowanych drzew, doprowadzili do tego, że w puszczy obumarło kilka milionów drzew. Pod kuratelą Unii Europejskiej zdezwuowano dorobek Lasów Państwowych i wielu pokoleń leśników i sprowadzono na puszcze zagładę – mówi Kubica.

Zamach i atak hybrydowy

W sierpniu ubiegłego roku tylko szczęście uratowało leśnika w Nadleśnictwie Cisna przed poważnymi obrażeniami, gdy piłą natrafił na wbity w drzewo gwoździ. Fragmenty metalu zostały dostrzeżone stosunkowo wcześniej. Brakowało chwili, by pędzący łańcuch eksplozował i zranił pracujących wokół ludzi. Zranił albo uśmiercił. Po sprawdzeniu okolicznych drzew detektorami metalu leśnicy znaleźli jeszcze cztery jodły z ponabijanymi gwoździami. Niektóre miały wbity metal wysoko, co poszerzało krąg potencjalnych ofiar ekoszańców o pracowników

tartaku i stolarzy, gdyby takie drzewo do nich trafiło.

Pseudo miłośnicy natury nie mają obiektywności, by wbić gwoździe w rosnące drzewa. Gdzie mają wówczas deklarowaną „miłość do przyrody”?

– Agresja pseudoe ekologów zagraża już bezpośrednio zdrowiu i życiu leśników. Nasilenie ich przestępczych działań to także wynik przyzwolenia na takie zachowanie ze strony oficjalnych organizacji ekologicznych, które już nie tylko rozpowszechniają nieprawdziwe lub zmanipulowane informacje o działalności Lasów Państwowych, ale także same zaczęły przekraczać prawo – podkreśla rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski.

Wtedy leśnikom wydawało się tylko, że przeciwko Lasom Państwowym rozpoczęły się zaplanowane działania hybrydowe, mające narzucić polskiej opinii publicznej, że leśnicy, stojący przecież na straży naszych lasów od prawie stu lat, są zagrożeniem dla polskiej przyrody i należy te przedsięwzięcia zlikwidować.

– Dziś już nie mamy najmniejszych wątpliwości – podkreśla Michał Gzowski. – Wykorzystywane są do tego polskojęzyczne media i popularne serwisy społecznościowe. Lasy Państwowe nie kryją bowiem swojego sprzeciwu wobec unijnych planów wprowadzenia katastrofalnego dla polskiej gospodarki pakietu klimatycznego „Gotowi na 55”, którego konsekwencją będzie m.in. upadek przemysłu drzewnego, bezrobocie dla prawie pół miliona osób i wprowadzenie zakazu wstępu do co 10. lasu w Polsce. My mówimy temu „nie”, dlatego staliśmy się wrogiem numer jeden dla międzynarodowych organizacji ekologicznych.

To dlatego po odbierającej decyzji polskim leśnikom uchwale w Komisji Europejskiej i skandalicznym wyroku unijnego Trybunału Sprawiedliwości potrzebne były kolejna mobilizacja społeczna i kolejna zbiórka podpisów. Polacy, świadomi tego, jakie siły czyhają na polskie lasy, zmobilizowali się nadzwyczajnie. – Przez kilka wiosennych tygodni Polacy zebrali pół miliona podpisów w obronie polskich lasów! Dziękujemy wszystkim zaangażowanym. Nie zawiedziemy was, będziemy bronić suwerenności polskich lasów!

Andrzej Dąbrowski

jest skumulowany zysk czteroletni, który jest przeznaczany na działalność gospodarczą. Sytuacja rzeczywiście jest niebezpieczna. Lasy Państwowe są zmuszane do większego pozyskania drewna. Z drugiej strony nie ma to w tej chwili specjalnego wpływu, dlatego że o ile nie zostanie przekroczony dziesięcioletni plan pozyskania, to wszystko jest w porządku.

Nocna próba sprzedaży lasów

Kilka miesięcy po uchwaleniu nowelizacji rząd PO-PSL chciał wpisać polskie lasy do konstytucji. Pozornie chodziło o zabezpieczenie przed prywatyzacją, ale de facto otwierało to drogę do prywatyzacji.

Pomysł zakładał dodanie do ustawy zasadniczej punktu 74a w brzmieniu: „Lasy stanowiące własność Skarbu Państwa nie podlegają przekształceniom własnościowym, z wyjątkiem przypadków określonych w ustawie”. Głosowanie odbywało się nocą z 17 na 18 grudnia 2014 r.

– Byłem wtedy w Sejmie i dobrze pamiętam trafne pytania, które zadawał profesor Szyszko – wspomina dyrektor Kubica. – Wmawiano nam, że lasy stanowiące własność Skarbu Państwa nie będą podlegały przekształceniom własnościowym, ale chodziło dokładnie o coś innego. „Z wyjątkiem przypadków przewidzianych w ustawie”. W której ustawie? W tej, która dopiero miała powstać i sprywatyzować lasy.



TYSIĄCE IMIGRANTÓW SZTURMUJĄ GRANICĘ Z USA

Tysiące imigrantów z Ameryki Łacińskiej próbują pokonać rzeki, mury, płoty, prerie i pustynie, aby przedostać się na teren Stanów Zjednoczonych. Tłumy zdeterminowanych mieszkańców Meksyku, Haiti, Kuby, Wenezueli czy Nikaragui koczują m.in. w prowizorycznych obozach nad rzeką Rio Grande, szukając okazji, aby przedostać się do wymarzonej części Ameryki. Ogromny napływ nielegalnych imigrantów związany jest z wygaśnięciem dotychczas obowiązujących przepisów znanych jako Regulacja 42 (Title 42), wprowadzonych za prezydentury Donalda Trumpa w marcu 2020 r. i ułatwiających natychmiastowe deportowanie migrantów w czasie pandemii COVID-19. Republikanie walczyli o zachowanie prawa, które zmniejszałoby napływ nielegalnych imigrantów, ale Sąd Najwyższy USA w czwartek oddalił ich wnioski.

W ciągu ostatnich dni amerykańscy strażnicy graniczni każdej doby zatrzymywali ponad 10 tys. osób próbujących dostać się do USA, a nie jest wykluczone, że wkrótce ta liczba jeszcze wzrośnie. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego szacuje w opublikowanym w ubiegłym tygodniu raporcie, że od przejścia władzy przez Joe Bidena co najmniej 1,5 mln imigrantów zdołało niepostrzeżenie wtargnąć na teren Stanów Zjednoczonych. To aż trzykrotnie więcej niż podczas ostatnich trzech lat rządów prezydenta Donalda Trumpa. Zdaniem komentatorów to, jak obecny gospodarz Białego Domu poradzi sobie z kryzysem na granicy, może przesądzić o losach przyszłorocznych wyborów prezydenckich w USA.

Na zdjęciu: grupa migrantów między dwoma płotami granicznymi w okolicy San Diego. (jap) ©





**Ze Zbigniewem Ziobro, ministrem sprawiedliwości,
prezesem partii Suwerenna Polska**
rozmawia Karol Gac

Czas pokazał, kto ma rację: my czy premier

KAROL GAC: Suwerenna Polska zastąpiła dotychczasową nazwę partii. Dlaczego?

ZBIGNIEW ZIOBRO: Takie są główne wyzwania, które stoją przed Polską. Dotyczą narastającego szantażu i ingerencji UE w polskie sprawy. Chcą już nie tylko narzucać, jakie mamy mieć sądy, lecz także decydować, kto może rządzić w Polsce. Narzuca się nam, skąd mamy czerpać energię. Zmusza do zamykania kopalń, wpędzając w kryzys energetyczny. Szantażuje w sprawach światopoglądowych, np. zmuszając do wprowadzenia homoseksualnych „małżeństw”. Wtrąca się, jak mamy wychowywać dzieci. A teraz słyszymy, że celem jest jedno państwo

europejskie, zbudowane na gruzach tych narodowych. Kwestia obrony suwerenności odgrywa więc kluczową rolę.

Zmiana nazwy wydaje się ryzykownym ruchem, biorąc pod uwagę, że do wyborów zostało pięć miesięcy, a Solidarna Polska była rozpoznawalną nazwą. Nie boi się pan, że wpłynie to negatywnie na pana partię?

Jesteśmy partią, którą budujemy wokół wartości. To nas spaja. Nie mamy dotacji z budżetu państwa ani wpływów w mediach, jak PiS i PO. Mamy za to wartości, w które wierzymy. Dlatego podejmowane w przeszłości próby rozbicia naszej partii spełzyły na niczym. Udało się za to rozbić partię Jarosława Gowina.

Dlaczego? Bo była budowana jako partia establishmentu i władzy.

Nie wymyśliliśmy sobie suwerenności dzisiaj. Walczymy o nią od lat. W uchwale z grudnia 2020 r. przestrzegaliśmy, że w efekcie zgody premiera na unijny mechanizm warunkowości i KPO Polska będzie stopniowo tracić suwerenność. O to, a nie o jakieś osobiste ambicje, toczyliśmy spory w rządzie. Czas jest miarą trafności diagnoz. Pokazuje, kto miał rację: my czy premier, który bagatelizował zagrożenie dla Polski wynikające z mechanizmu warunkowości i KPO. Ustępstwa rządu wobec UE przynoszą dobry skutek czy dalsze upokorzenia?



FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

planach budowy jednego państwa europejskiego i płynących stąd zagrożeniach.

Jak zatem określiłby pan relacje łączące obecnie PiS i Suwerenną Polskę? Wydają się one dosyć chłodne, a wzajemnych uszczypliwości ostatnio nie brakowało. Wystarczy przypomnieć tweet Ryszarda Terleckiego dotyczący małej partii i 1 proc. poparcia.

Można powiedzieć, że Ryszard Terlecki „robi różnicę”. Ta różnica polega na tym, że kiedy na swojej konwencji zebrał się PiS, my z niego nie drwiliśmy, ale zyczylimy dobrych obrad. Natomiast pan marszałek wyzłościł się wobec naszego kongresu. Być może maskował w ten sposób swoje własne rozczarowanie polityką europejską premiera, który we wszystkich najważniejszych decyzjach unijnych się pomylił. Od tak prominentnego polityka, jak Ryszard Terlecki, należałoby oczekiwać więcej. Na przykład aby uzasadnił decyzję premiera, gdy ten zgodził się na drakoński pakiet „Fit for 55”, który – jeśli go nie cofniemy – spustoszy portfele milionów Polaków. Bank Pekao SA wyliczył, że Polacy w ciągu 10 lat zapłacą za niego dodatkowo prawie 2 bln zł! Premier Morawiecki bez wątpienia przejdzie więc do historii. Jako ten, który jednoosobowo, arbitralnie, bez jakichkolwiek konsultacji z Radą Ministrów podjął decyzję brzemienną w skutkach na dziesięciolecie.

A co z KPO? Gdzie są pieniądze? Końca ustępstw jakoś nie widać. Jeśli więc partia z rzekomo jednoprocentowym poparciem miała trafne diagnozy, a premier w kluczowych europejskich kwestiach miał mniej niż 1 proc. racji, to na miejscu Ryszarda Terleckiego powściągnąłbym się w uszczypliwościach.

Chciałby pan, aby projekt Zjednoczonej Prawicy był kontynuowany?

A widzi pan na horyzoncie lepszą alternatywę? W przynajmniej jednej sprawie głosujemy razem. Nie jest to momentami przyjemne, ale polityka wymaga pragmatyzmu. Nie stworzyliśmy też własnego klubu parlamentarnego, choć byłoby to dla nas korzystne. Stało się tak, bo myślimy w kategoriach wspólnych celów i trzymamy się umowy koalicyjnej. Zjednoczona Prawica to wartość. Dzięki temu obozowi, w którym największym koalicjantem jest PiS,

zmieniamy Polskę na lepsze i podnosimy poziom życia Polaków. Potrafiłmy stać czoła takim wyzwaniom, jak wojna na Ukrainie. Mądra polityka obronna jest zasługą PiS, na co zwracałem uwagę podczas konwencji Suwerennej Polski, wymieniając Jarosława Kaczyńskiego i Mariusza Błaszczaka. Szkoda byłoby to zaprzepaścić.

Wielu wyborców prawicy obawia się jednak, że wzajemne pretensje i konflikty mogą się skończyć zwycięstwem opozycji liberalno-lewicowej z Donaldem Tuskiem na czele.

Podzielał te obawy, co przynajmniej ze smutkiem. Nie pojmuję pretensji i ataków, które spotykają nas ze strony koalicyjanta. Ten atak szczególnie został wzmożony po konwencji założycielskiej Suwerennej Polski. Skoncentrowaliśmy się na krytyce polityki UE i Niemiec. Przesłaliśmy pozdrowienia koalicyjantom, a zostaliśmy zaatakowani. Najwyraźniej naszą „winą” jest wierność zasadom, na których opieraliśmy się przecież wszyscy, gdy tworzyliśmy Zjednoczoną Prawicę. Niektórzy koledzy z PiS, zamiast wyciągać wnioski z chybionych decyzji premiera w sprawach europejskich, reagują agresją. Ale jeśli obrona suwerenności, niezależności ekonomicznej, polskich kopalń, rodziny i tradycyjnych wartości miałaby być dla PiS problemem w przyszłej kadencji, to problemem stają się też parlamentarzyści SP. Wtedy realnych kształtów nabierze wizja wyborczego zwycięstwa opozycji posłusznej Berlinowi i Brukseli.

Czuje pan żal do polityków PiS, że pozwalają sobie na otwartą krytykę SP?

Może rozczarowanie. Odbieram te ataki jako utratę busoli wskazującej, co naprawdę ważne. Mamy wrogów Polski na zewnątrz i wewnątrz. Powinniśmy się skoncentrować na obronie przed nimi. Skoro jesteśmy obozem „wielkiego namiotu”, jak powtarza premier, to jest tam miejsce dla środowiska akcentującego mocno kwestie suwerenności i wartości chrześcijańskich. Zamiast radości, że w wielu sprawach nam się udaje, jest nakręcanie konfliktu. W konsekwencji rykoszetem dostaje sam PiS, bo nie jest w stanie racjonalnie wytłumaczyć niepowodzeń polityki unijnej Mateusza Morawieckiego.

Dlaczego Solidarna Polska nie zaprosiła na swoją konwencję polityków PiS? Rzecznik tej partii Rafał Bochenek stwierdził, że dobrą praktyką było to, by wzajemnie się zapraszać w ramach obozu Zjednoczonej Prawicy.

Nie byliśmy zapraszani na wszystkie konwencje PiS. Spotkaliśmy się na kongresie we własnym gronie, by zapobiec niepotrzebnym zgrzytom. Ciężko byłoby powstrzymać emocje 2 tys. ludzi, gdyby przedstawiciel PiS wychwalał europejską strategię premiera, czego nie mogliśmy wykluczyć.

Chcieliśmy uniknąć podsycania sporów, a skoncentrować się na wyrazistym przekazie kongresu, czyli na niemieckich

Jak idą zatem rozmowy w sprawie budowania wspólnych list z PiS?

Nie ma przełomu po stronie PiS, który odkłada decyzję o wspólnych listach. Jednocześnie są wypowiedzi, które nie napawają nas optymizmem, co do woli naszego koalicjanta. Pomijam już tu środowisko premiera. Doskonale wiemy, że marszałek Terlecki od kilku miesięcy jeździ po Polsce i na zamkniętych spotkaniach działaczy PiS wyklucza nas z koalicji. Opowiadają nam to uczestnicy tych spotkań, którzy mają inne zdanie. Gdybyśmy mieli jasność co do współpracy, moglibyśmy inaczej artykułować nasze postulaty. Na pewno nie wyrzekniemy się pryncypiów i nie zgodzimy się na politykę, która kawałek po kawałku odziera Polskę z suwerenności. Jeśli mamy być w Sejmie, to właśnie po to, aby zagwarantować, że to się wreszcie skończy. I dlatego jesteśmy problemem dla tych polityków w obozie ZP, którzy nie chcą się przyznać do błędów w relacjach z UE i chcą kontynuacji obecnej polityki.

Pojawiają się nieoficjalne informacje, że Suwerenna Polska domaga się tworzenia koalicyjnego komitetu wyborczego czy też miejsc na listach w każdym z 41 okręgów. To prawda?

Rozmowa o miejscach na listach jest dziś drugorzędna. Kluczowe są kwestie programowe. Jak mówiłem, najważniejsze jest, aby ustalić, czy w tak fundamentalnych sprawach, jak obrona suwerenności, bezpieczeństwa energetycznego Polski czy tradycyjnych wartości, jest nam po drodze. Liczą się czyny, nie słowa. Myślę, że prezes Jarosław Kaczyński dostrzega, iż nasze programowe oczekiwania są do pogodzenia z celami PiS.

Rozmawiamy o relacjach z PiS. Niedawno wasz koalicjant próbował odwołać z Komisji Sprawiedliwości czterech posłów SP i wybrać zamiast nich swoich posłów. To się nie udało, bo razem z SP zagłosowała opozycja. Odwołanie polityków opozycji nie byłoby zaskoczeniem, ale współkoalicjanta już tak. To nie zdarza się często.

Marszałek Terlecki przy odwołaniu naszych posłów liczył na współpracę z opozycją. Tą samą, na którą miota publicznie gromy i nazywa „totalną”. Liczył, że opozycja poprze wyrugowanie z komisji Suwerennej Polski. Ale się przeliczył. Opozycja wyczuła konflikt i postanowiła to rozegrać. W tym sensie humorystycz-

Wykręcanie rąk polskiej suwerenności ma zapewniać Donald „für Deutschland” Tusk

ny jest zarzut, że to my głosowaliśmy razem z opozycją. Przecież nie mogliśmy głosować przeciwko własnym posłom.

Jedna z interpretacji takiego działania PiS mówi, że chodzi o procedowanie projektu ustawy w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. Według propozycji zmniejszona ma zostać minimalna liczebność Zgromadzenia Ogólnego oraz pełnego składu TK, co ma „odblokować” jego pracę. SP poprze tę ustawę?

Będziemy o tym dyskutować. Wolałbym, żeby doszło do porozumienia w Trybunale. Nie jestem zachwycony tym projektem, ale będziemy rozmawiać. SP zastanawia się nad sytuacją w kraju i jej konsekwencjami. W zależności od tego będziemy podejmować decyzje, mając na względzie polską suwerenność.

A jak pan patrzy na to, co się dzieje w Trybunale?

Mogę powiedzieć jedno: nieprawdziwe są informacje, jakoby SP rozgrywała tę sprawę, a sześciu sędziów było „naszymi” sędziami. To fantazja. W Trybunale doszło do realnego sporu, na który nałożył się poważny spór personalny. W interesie państwa jest to, aby TK działał.

Dużo pan mówi o suwerenności. Niedawno kanclerz Niemiec wygłosił przemówienie w Parlamencie Europejskim, w którym domagał się zreformowania UE oraz zniesienia zasady jednomyślności w sprawie podatków oraz polityki zagranicznej.

Już w umowie koalicyjnej niemiecki rząd ogłosił, że jego celem jest, aby Niemcy przejęły przywództwo i wzięły na siebie „odpowiedzialność” za Europę. Próba likwidacji zasady jednomyślności jest tego przejawem. Kanclerz opowiadał o Europie globalnej, a chce totalnej, w której europejskie państwo zastąpi państwa narodowe. Dziękujemy za taką „odpowiedzialność”, tym bardziej że z tą niemiecką mamy jak najgorsze historyczne doświadczenia.

Ostrzegałem premiera i kolegów z PiS, że tzw. warunkowość, KPO i pakiet „Fit for 55” są elementem niemieckiego projektu budowy państwa europejskiego. Nie było przypadkiem, że pomysły te zgłosili Niemcy, gdy objęli prezydenturę

w UE. Uzależniają one Polskę od szantażu Brukseli, pozwalają wpływać na sytuację w kraju i praktycznie decydować, kto ma u nas rządzić. Przecież niemiecka przewodnicząca KE już rok temu wyraziła życzenie, aby Donald Tusk był premierem, gdy następnym razem spotkają się w Warszawie. Nie jestem więc zaskoczony przemówieniem Olafa Scholza, bo to naturalna konsekwencja tych planów. Ich realizację i wykręcanie rąk polskiej suwerenności ma zapewniać właśnie Donald „für Deutschland” Tusk.

Niemcy rządzą w UE i pociągają za główne sznurki. Ich celem jest, aby Polska nie była przeszkodą w realizacji wielkiej germańskiej unii zarządzanej z Berlina. I każda prowadząca do tego droga jest dla nich dobra, także sojusz z antychrześcijańską ideologią LGBT. Z racji swoich historycznych obciążeń nie mogą budować jednego państwa europejskiego, odwołując się do tradycyjnych wartości pravicowych. Jeśli zrealizowaliby swój plan, to polityka zagraniczna, obronna i dotycząca finansów zostałyby przeniesiona z Warszawy do Brukseli. Polska w tych warunkach stałaby się klasycznym protektorem. Niemieckim protektorem. Dlatego chciałbym, abyśmy się porozumieli z PiS.

Niedawno Polska zawiesiła jednostronnie import produktów rolnych z Ukrainy, co wywołało pewien proces. Ostatecznie postawiona pod ścianą KE zareagowała. To chyba pokazuje, że twarda gra o własne interesy jest możliwa?

Oczywiście. Jedną z moich pierwszych decyzji jako ministra sprawiedliwości było weto w kwestii prawa spadkowego. Zablockowałem próbę wprowadzenia tylnymi drzwiami tzw. małżeństw homoseksualnych. Część naszej administracji rządowej odpowiedzialnej za sprawy europejskie alarmowała, że moje weto wywoła wstrząs w relacjach z UE. I co się stało? Nic. To pokazuje, jak ważna jest zasada jednomyślności, którą chcą zmienić Niemcy. Podobnie było z powołaniem Prokuratury Europejskiej, która miała obejmować wszystkie kraje unijne. Powiedziałem: nie.

Mimo gróźb wiceszefowej KE Věry Jourowej, która specjalnie na rozmowy ze mną przyjechała do Warszawy. W efekcie polska prokuratura zachowała wszystkie swoje uprawnienia. Opłaca się twarda polityka. Zwłaszcza że UE beczelnie łamie traktaty. Dlatego jest Suwerenna Polska.

W 2015 r. Zjednoczona Prawica doszła do władzy m.in. z obietnicą zakończenia uległej polityki zagranicznej. Przez osiem lat wiele się wydarzyło. Czy dziś Polska jest bardziej suwerenna niż wtedy?

Jeśli chodzi o politykę unijną, to już się wypowiedziałem. Natomiast pozytywnie oceniam polską politykę zagraniczną dotyczącą sojuszu państw sprzeciwiających się imperialnej polityce Rosji. Szczególnie ważna jest współpraca w ramach NATO z USA. Tu należy się duże uznanie dla polityki forsowanej przez Jarosława Kaczyńskiego. Suwerenna Polska widzi ogromne zagrożenie ze strony imperialnej Rosji, zwłaszcza w sojuszu z Niemcami. W interesie Polski jest porażka Rosji. Historia uczy nas, że nie ma gorszej konstelacji dla polskiej suwerenności i niepodległości niż układ Rosji z Niemcami. A taki był przez ostatnie lata intensywnie budowany przez Berlin i Moskwę. To dlatego w 2007 r., gdy Tusk został premierem, dokonał kompromitującego go resetu relacji z Rosją. Zrobił to na polecenie Berlina.

Jest pan ministrem sprawiedliwości drugą kadencję. Jest pan zadowolony z reformy wymiaru sprawiedliwości czy czuje pan niedosyt? Pytam, bo cały czas widać, że sądownictwo nie działa najlepiej i wciąż pojawiają się w obozie rządzącym zapowiedzi jego zreformowania. Nawet premier Morawiecki ostatnio złożył się na ten temat wypowiedzieć.

Premier mocno chybił. Faktycznie reforma sądownictwa nie wyszła w pełni tak, jak wspólnie zakładaliśmy. Jednak winy za to nie ponosi moje środowisko polityczne. Błędem było weto prezydenta wobec pakietu ustaw przygotowanych w Ministerstwie Sprawiedliwości. Andrzej Duda ugiął się pod naciskiem ulicy i zagranicy. Zaproponował własne rozwiązania, które nie zadowolili Brukseli. Przykro było patrzeć, jak jeździł tam z kolejnym ugodowym projektem. Ogłosił porozumienie, ale Bruksela chciała coraz więcej. Uchronieni przez prezydenta sędziowie wystąpili przeciwko niemu. Rozpoczęli też kampanię przeciwko państwu polskiemu, pokazując swoją bezkarność. Do tego

doszedł unijny szantaż finansowy, którym od lat Mateusz Morawiecki tłumaczy brak swojej zgody na dalszą reformę sądownictwa. Na takie upokorzenia nie zasługują ani prezydent, ani szef rządu, ani tym bardziej nasze państwo. Dlatego byłem zwolennikiem zdecydowanych działań. Gdyby je podjęto, reforma sądownictwa byłaby już z powodzeniem przeprowadzona. Nie byłoby pretekstu, by okrawać naszą suwerenność i wymuszać kolejne ustępstwa.

Wobec apelu premiera raz jeszcze przesłałem mu pakiet moich reform sądownictwa, gotowych do uchwalenia od przeszło czterech lat! Cieszę się, że w końcu Mateusz Morawiecki zauważył, iż szantaż pieniędzmi z KPO służy do blokowania zmian w sądownictwie. Uległość wobec Unii to dalsza degrengolada w sądownictwie, brak należnych nam pieniędzy i ograniczanie suwerenności. Dlatego powtarzam – pokażmy charakter i teraz przeprowadźmy gotowe od dawna projekty.

Czy w tej sytuacji cokolwiek udało się w sądownictwie zmienić na lepsze?

Tam, gdzie nasze działania nie były sabotowane, odnieśliśmy wiele sukcesów. Zastaliśmy sądy analogowe, a zastawimy je cyfrowe. Wprowadziliśmy Elektroniczne Księgi Wieczyste czy e-KRS dla przedsiębiorców. Dzięki temu co trzecia sprawa załatwiana w sądzie ma postać

Chciałby pan dalej być ministrem sprawiedliwości, gdyby Zjednoczona Prawica tworzyła rząd?

Zależy mi, aby powstrzymać spiralę ustępstw wobec UE i zrobić w sądownictwie to, co jest dobre dla naszego państwa, a nie dla Brukseli i Berlina. Nie chcę, abyśmy byli pouczeni o praworządności przez unijnych hipokrytów. Nie godzę się na to, aby byli równi i równiejsi. Mój sprzeciw budzą argumenty, że Niemcom wolno z udziałem parlamentu powoływać sędziów, bo są krajem „wyższej kultury”. A Polakom nie wolno. Nie szanują orzeczeń TSUE uzgadnianych na polowaniach i bankietach z niemieckimi politykami, o czym donosiła francuska prasa.

Ucieka pan od odpowiedzi. Pytam, bo jest pan mocno kojarzony z tym resortem. Był pan jego szefem w pierwszym rządzie PiS i jest pan nim teraz przez dwie kadencje. Czy Zbigniew Ziobro myśli w ogóle o sobie w innej roli?

Nie chodzi o to kto, tylko co. Jestem doświadczonym politykiem i myślę w kategoriach całego państwa. W jego interesie są kompleksowe zmiany w sądownictwie. Jestem za głębokimi reformami i radykalnymi działaniami, bo demoralizacja środowiska sędziowskiego zaszła za daleko. Jestem za tym, aby Sąd Najwyższy utworzyć na nowo. Jestem za wieloma reformami w różnych obszarach, bo program Suwerennej Polski nie ogranicza się do wymiaru sprawiedliwości. Tylko musimy działać suwerennie,

Suwerenna Polska widzi ogromne zagrożenie ze strony imperialnej Rosji, zwłaszcza w sojuszu z Niemcami

elektroniczną. Umożliwiliśmy także zdalne prowadzenie rozpraw. Dzięki temu zaczęliśmy nadrabiać zaległości w wielu dziedzinach. Ukróciliśmy samowolę komorników, na masową skalę zorganizowaliśmy pracę dla więźniów, aby zarabiali na swoje utrzymanie. Tych mniej groźnych objęliśmy elektronicznym dozorem.

Przełomowym dokonaniem były zmiany w prawie karnym i jednocześnie skuteczne działania prokuratury w walce z mafiami VAT-owskimi. Przysporzyliśmy Skarbowi Państwa miliardy, które służą ważnym społecznym celom, jak choćby „500+”. Mamy się czym szczycić.

a nie pod presją i szantażem Brukseli i Berlina. To także kwestia naszej godności. Błędy zdarzają się wszystkim rządóm i premierom. Ale jestem przekonany, że są do odwrócenia, jeżeli będziemy iść razem. W Zjednoczonej Prawicy zgrzytało już nieraz. Jednak siła i osobisty sukces Jarosława Kaczyńskiego tkwią w tym, że nie tylko zbudował tak duży polityczny obóz, lecz także potrafi go utrzymać i wprowadzić z różnych wiryżów. To bardzo doświadczony polityk, bez którego przywództwa obóz Zjednoczonej Prawicy by nie przetrwał.



Rafał A. Ziemkiewicz

Rząd może sobie pluć w brodę, że nie utrzymał w mocy aż do dziś wprowadzonego podczas pandemii zakazu wstępu do lasu. Wtedy nikt nie natrafiłby w lesie pod Bydgoszczą na szczątki rosyjskiej rakiety, która upadła tam w grudniu ubiegłego roku, i PiS nie miałyby na pół roku przed wyborami bodaj najcięższego wizerunkowego kryzysu w tej kadencji

Zarty na bok – w istocie reperkusje sprawy mogą być znacznie poważniejsze niż jej rzeczywiste znaczenie. Tak bywa w polityce: nie to przełomowe, co naprawdę ważne i dla władzy kompromitujące, ale to, co działa na wyobraźnię wyborców. A wizja Polski kompletnie bezbronnej, pogrążonej w takim chaosie, że ruska rakietą, i to z tych, które przenoszą głowice jądrowe, wlatuje tu sobie zupełnie niezauważona, leci kawał drogi nad krajem, aż w końcu zapada w chaszczykach, by pozostać tam na długie miesiące, i o tym wszystkim Polacy dowiadują się od jakichś przypadkowych grzybiarzy – działa. I budzi emocje.

O takich sprawach rozmawia się z sąsiadami i ze znajomymi, a w tych rozmowach wrak przegapionej rakiety urasta do roli symbolu „państwa z dykty”, gargantuicznego bałaganu, kompletnego nieogarnięcia władz, odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa, oraz beztroski ludzi postawionych u steru. W sondażu przeprowadzonym dwa tygodnie po pierwszych informacjach o kłopotliwym znalezisku ponad 90 proc. ankieterów odpowiedziało, że słyszało o tej sprawie – to więcej, niż jest w stanie podać „z głowy” nazwiska premiera i prezydenta. I ponad połowa z nich stwierdziła, że ta informacja przestraszyła ich, obniżając poczucie bezpieczeństwa.

RAKIETA Z MAKIETĄ

Jak się ma zarysowany wyżej stereotypowy odbiór sprawy do faktów? Fachowcy



FOT. TOMASZ CZEL/PAP

od uzbrojenia i procedur wojskowych, indagowani przez liczne media, nie są ze sobą do końca zgodni, ale podstawową wiedzę można z ich wypowiedzi zaczerpnąć. Szczątki pod Bydgoszczą to pocisk manewrujący Ch-55, wprowadzony na uzbrojenie armii sowieckiej w pierwszej połowie lat 80. i pierwotnie przeznaczony tylko do przenoszenia ładunków jądrowych. W latach 90., już w Rosji, część z nich przerobiono do przenoszenia głowic konwencjonalnych. Obie wersje zostały potem zastąpione następną generacją rakiet, Ch-555, których Rosja używa obecnie na Ukrainie. Ta rakietą, która spadła w Polsce, należała do tego pierwszego typu i zamiast głowicy bojowej miała jej makietę.

Laikowi trudno to wszystko zrozumieć. Po co wystrzeliwać rakietę z makietą głowicy? Odpowiedź jest prosta: po to, by zmylić obronę przeciwnika. Kilkadziesiąt „bezglowych” pocisków (by sięgnąć po lapsus zapomnianej już dziś minister) wystrzelonych jednocześnie z kilkudziesięcioma bojowymi znacząco zwiększa szansę na dotarcie do celu większej liczby tych ostatnich.

W panikarskich tekstach prasowych z gatunku „Polska jest całkowicie bezbronna!” podkreślano, że „nie wystrzeliwuje się bez przemyślanego celu” rakietą wartą kilkanaście milionów dolarów – co miało dowodzić, że wystrzelenie pocisku w Polskę na pewno było celową prowokacją Rosjan, która na dodatek się udała. Jest to mącenie ludziom w głowach. Produkcja każdej Ch-55 rzeczywiście pochłonęła kilkanaście milionów, ale przecież nie ma żadnego rynku wtórnego, na którym można by rakietę sprzedać – w związku z czym jej realną wartość wyznaczają możliwości jej aktualnego użycia. Użycie zgodnie z przeznaczeniem, do przenoszenia taktycznej głowicy jądrowej, nie wchodzi w grę: nawet gdyby Putin w przypływie szaleństwa wydał taki rozkaz, obecnie broń taka przenoszona jest za pomocą nowocześniejszych środków (Bogiem a prawdą, nie wiadomo nawet, czy głowice atomowe do starych Ch-55 jeszcze w ogóle istnieją). A do niczego innego bojowo jej użyć nie można, chyba że właśnie jako rakietowe go szrotu dla zmylenia przeciwnika.



trafi rakietą

Hipoteza, że Rosjanie umyślnie wycelowali „bezglową” rakietę w Polskę, dla prowokacji, sprawdzenia naszej czujności albo reakcji NATO, również upada. W takim wypadku pochwaliliby się niezwłocznie sukcesem i próbowali go wykorzystać, co najmniej propagandowo, a nie czekali, aż ktoś w Polsce rakietę znajdzie, co równie dobrze jak pod koniec kwietnia mogło się stać na święty nigdy. Chyba że losy rakiety – o której wiemy, że w grudniu 2022 r. była wykryta i monitorowana przez amerykańską i polską OPL – były przedmiotem jakichś zakulisowych targów. Pojawiła się, i to nie ze strony polskiego rządu, niemożliwa do zweryfikowania wersja, jakoby Rosjanie poufnymi kanałami informowali Amerykanów na bieżąco o „zagubionym” pocisku, obawiając się ewentualnej reakcji NATO.

Teoretycznie można tu doszukiwać się jakichś tajnych ustaleń, ale to raczej dla amatorów wyrafinowanych teorii spiskowych. Wszystko wskazuje na to, że jeden z wystrzelonych nad Białorusią pocisków (Ch-55 wystrzeliwane są z samolotów) wskutek jakiejś awarii poleciał w zupełnie

innym niż zamierzono kierunku. Zważywszy na wiek rakiety, jej prawdopodobny stan po dekadach magazynowania i skalę liczbową rosyjskich ostrzałów, brzmi to prawdopodobnie.

FATALNA REAKCJA

Pojawia się w mediach kolejne pytanie: Dlaczego nie zestrzeliliśmy rakiety lecącej nad polskim terytorium? Dla laika oczywista odpowiedź brzmi: widać nie umiemy! Wojskowi są bardziej powściągliwi. Jeśli do końca nie wiadomo, co leci i jakie będą skutki upadku tego czegoś po zestrzeleniu (co, jeśli przenosi na przykład broń biologiczną albo chemiczną?), a ponadto trajektoria lotu wskazuje na upadek w odludnej okolicy, to lepiej powstrzymać się z reakcją. Dlaczego zatem nie uprzątnięto szczątków rakiety od razu? Byłoby to stosunkowo łatwe w pierwszych godzinach po upadku, przy zastosowaniu termidetektorów, potem jednak, gdy wrak „ostygł”, oznaczałoby konieczność zatrudnienia kilkuset osób do żmudnego przeczesywania wielkiej połaci terenu. Najprawdopodobniej w chwili zdarzenia nie było pod ręką gotowego

do lotu śmigłowca bądź nawet drona z odpowiednim sprzętem, a potem uznano nagłaśnianie całej sprawy (trudno przecież przeczesywać las niepostrzeżenie) za niecelowe: skoro cały incydent szczęśliwie się zakończył, a rozbita makietą niczym nie zagraża, to lepiej nie robić paniki i liczyć, że szczątki zarosnie trawa albo pochłonie błoto.

Dlaczego jednak nie przygotowano wcześniej odpowiedniej „narracji” dla szefa MON i innych polityków na wypadek tego, co się stało, przypadkowego ujawnienia całej historii po kilku miesiącach – tego nie można wyjaśnić inaczej niż odwiecznym polskim „jakoś się uda”, sprawiającym, że nigdy w żadnej sprawie nie przygotowuje się u nas planu B. Gdyby w chwili ogłoszenia znaleziska minister Błaszczak spokojnie i rzeczowo wyjaśnił, że sytuacja przez cały czas jest pod kontrolą, procedury zadziałały, współpraca z NATO się sprawdziła, wiedzieliśmy, że to przypadkowo zabłąkany pocisk makietą, ani przez chwilę nie groziło Polsce niebezpieczeństwo, a incydent nie nagłośniono, bo... bo coś tam, polityka

■ międzynarodowa, prośba sojuszników etc. – to po takiej reakcji, popartej w następnych dniach merytorycznymi wyjaśnieniami i świadectwem amerykańskim, sprawa zniknęłaby pomiędzy ogłaszającymi przez opozycyjne media niemal codziennie „największymi aferami i katastrofami w dziejach” i w ciągu kilku dni zapomniano by o niej, tak samo jak o innych. Przynajmniej jedna osoba z PR MON, tak wyraźnie zaznaczającego swą obecność malowniczym rozstawianiem za plecami ministra pojazdów bojowych i szyków podczas licznych konferencji prasowych, miała tzw. psi obowiązek przygotować karteczkę z kilkoma niezbędnymi тезami i być gotowa w odpowiedniej chwili podsunąć ją szefowi.

Tymczasem minister oznajmił, że o niczym nie wiedział, i winą za to obciążył wojskowych, a personalnie dowódcę operacyjnego sił zbrojnych, gen. Tomasza Piotrowskiego. Publicznie oskarżył generała o to, że nie poinformował go o zdarzeniu, nie zorganizował poszukiwań obiektu i nic nie zrobił, by sprawę wyjaśnić. Żądał też dymisji dowódcy i wszczęcia postępowania wyjaśniającego.

Trudno nie zapytać: Jeśli minister nic nie wiedział i dowiedział się dopiero przed chwilą, z mediów, jeśli dopiero wzywa do przeprowadzenia postępowania wyjaśniającego, to na jakiej podstawie rzuca oskarżenie, że dowództwo operacyjne „nie zrobiło nic”? Minister, zrzucający publicznie winę na swoich – formalnie – podwładnych traci powagę. Poważny lider raczej w chwili kryzysu bierze sprawę „na klatę” i, jeśli rzeczywiście uzna, że podwładni go zawiedli, wyciąga konsekwencje we właściwym gronie i w właściwy sposób. W tym wypadku na dodatek minister nie jest władny takich konsekwencji wyciągnąć, nawet gdyby były do tego powody: mógł tylko zaapelować o zdymisjonowanie generała do prezydenta. Łatwo było przewidzieć, że jeśli ten ostatni apel zignoruje, to minister publicznie wykaże się, najdelikatniej mówiąc, brakiem sprawczości. Łatwo także było przewidzieć, że prezydent generała Piotrowskiego nie zdymisjonuje bez solidnie udokumentowanych powodów, gdyż byłoby to fatalnie odebrane zarówno przez innych wojskowych, jak i – można się domyslić – przez sojuszników, którzy Piotrowskiego (znanego im

przecież już od czasów, gdy kształcił się na NATO-wskich akademiach) i jego pracę oceniają pozytywnie, a chaos w sztabach kraju bliskiego zaplecza toczzonej wojny jest im akurat najmniej potrzebny.

Współpraca cywilnych polityków nadzorujących pracę wojskowych z samymi wojskowymi nigdzie na świecie nie jest wolna od napięć, wynika to z oczywistej rozbieżności między celami jednych i drugich. Należy robić wszystko, żeby utrzymać te napięcia na jak najniższym poziomie. W polskiej armii istnieją powody do niezadowolenia, za nieco cukierkowymi obrazkami kupowanego sprzętu i rosnącej potęgi militarnej kryje się wiele zniechęcenia i rozgoryczenia, objawianego przez oficerów, których wyrazem są niepokojące statystyki odejść ze służby. Nie miejsce tu, by je rozsądzać, nie czuję się zresztą do tego kompetentny. Cywilny minister powinien jednak wystrzegać się

Minister zrzucający publicznie winę na swoich podwładnych traci powagę

wszystkiego, co mogłoby rozjątrzyć rany zadane wojskowym przez poprzednika, nawet jeśli dotyczyły one tylko prestiżu i pogwałcenia respektowanych w wojsku hierarchii. Z tego punktu widzenia atak ministra na dowódcę operacyjnego WP jest po prostu katastrofą, tym bardziej że okazał się kompletnie nieskuteczny.

PANIKA MINISTRA

Trudno zrozumieć, dlaczego Mariusz Błaszczak, który dał się dotąd poznać jako minister bardzo sprawnie administrujący każdym powierzonym mu resortem, postąpił w tak kompromitujący sposób. Wygląda na to, że pod naciskiem mediów, agregujących emocje związane z niepojętą dla przeciętnego Polaka nieskutecznością naszych sił zbrojnych, po prostu spanikował i chciał odsunąć od siebie ewentualne polityczne konsekwencje, przerzucić winę na kogoś innego, bez przemyślenia konsekwencji swego odruchu. Niektórzy twierdzą, że reakcją ministra uwarunkowały tłące się w obozie Zjednoczonej Prawicy i w samym PiS walki frakcyjne – rozumiały w sytuacji,

gdy wszyscy wiedzą, że bez względu na wynik najbliższych wyborów do kolejnych raczej już nie poprowadzi ich Jarosław Kaczyński i że kwestia następstwa stanie na porządku dziennym już niedługo.

Błaszczak uchodzi w tych sporach za przedstawiciela tej samej grupy „aparatu”, co Joachim Brudziński, zaatakowany ostatnio bardzo nieczysto „przeciekami” o rzekomych nadużyciach mieszkaniowych. Wiadomo, że ich frakcja jest w sporze z grupą premiera Morawieckiego, nie tak może spektakularnym, jak w wypadku Suwerennej Polski, ale nie mniej intensywnym: dla PiS-owskiej „pierwszej brygady” Morawiecki wciąż pozostaje ciałem obcym, „kaprysem” komendanta i na dodatek jego złym duchem, odpowiedzialnym za zdradę wielkiej części programu, z którym partia wygrała wybory.

Nie jest nieprawdopodobne, że pojawienie się w mediach oskarżeń o nieudolność, wykazaną jakoby podczas rosyjskiego ataku odebrał minister jako intrygę kogoś z partyjnych konkurentów – możliwe, że działających w zмовie z wojskowymi. Możliwe, że został do tego jakoś podpuszczony. Dywagowanie na ten temat do niczego nas nie doprowadzi, ale trzeba wyraźnie stwierdzić, że skutkiem publicznego ataku ministra na generała jest podważenie wiarygodności obecnej władzy w tak kluczowej dla wyborców sprawie jak bezpieczeństwo. Tym bardziej niebezpieczne, że znalezisko spod Bydgoszczy przywołało w pamięci wciąż nierozliczoną ostatecznie tragedię w Przewodowie. Próba łagodzenia sytuacji, podjęta przez prezydenta, z konieczności obliczona na „przyschnięcie” konfliktu, przypomina trochę klejenie stłuczonego szkła.

Jak bardzo zaszkodziła ta sprawa rządowi i rządzącej partii, zależy teraz wyłącznie od nastrojów społecznych. Szczęśliwie dla PiS, po łagodnej zimie i fiasku forsowanej przez opozycję strategii straszenia bliską apokalipsą, nie są one złe. „Tożsamościowy” elektorat wybaczył już wiele i zapewne wybaczy i przegapią, w powszechnym przekonaniu, rakiety. Ale tego elektoratu do utrzymania władzy nie wystarczy. A perspektywa pozyskania wyborców niezdecydowanych, coraz mniej zdeterminowanych do zajmowania twardego stanowiska wobec toczącej się tuż pod naszym boki wojny, właśnie się gwałtownie pogorszyła.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zapowiedź świadczenia „800+” i reakcje opozycji to dowód na to, że kampania wyborcza weszła w ostry sezon wiosenny. To starcie pokazało silne strony obozu władzy i powtarzający się motyw zaskoczenia działaniami PiS Donalda Tuska, Szymona Hołowni, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Lewicy. Już widać, że kampania polegać będzie na działaniach manewrowych. Kto kogo czym zaskoczy. Kto szybciej i lepiej zareaguje na działania przeciwnika. Ale w dłuższym planie pytanie jest inne: Która narracja – rządowa czy opozycyjna – odpowiada lepiej na aktualne lęki i obawy Polaków?

PSZCZÓŁKI Z PiS

Prawo i Sprawiedliwość wybrało dla swojej konwencji dosyć krótkochwilną nazwę „Programowy Uł”. W założeniu miało być to podsumowanie akcji zbierania opinii Polaków o ich najważniejszych potrzebach, zbierane w ciągu ostatniego pół roku w czasie spotkań z wyborcami. Szef sztabu kampanii PiS europoseł Tomasz Poręba mówił: „Z badań socjologicznych wynika, że jedną z głównych zalet PiS w oczach Polaków jest pracowitość. Sądzi tak również wielu wyborców opozycji. Dlatego w najbliższy weekend czeka nas intensywna praca w ulu”.

Ten sam wątek podjął sam Jarosław Kaczyński, mówiąc w sobotnim przemówieniu: „Uł jest symbolem pracy, a my tej pracy bardzo, ale to bardzo potrzebujemy”. Lider PiS wyróżnił dwie najważniejsze wartości, które są obecnie najważniejsze dla Polski. Jako pierwszy wymienił patriotyzm. Jak mówił: „Musimy uczyć się patriotyzmu, który składa się na dumę z ojczyzny, z gotowości do poświęcenia się dla niej. Ojczyzna musi być oparta na postawach, które tkwią w naszej historii. Chodzi o to, że nasz naród nigdy nie dał się ujarznić. Najważniejszą podstawą dla narodu jest suwerenność, wolność i równość. Nasze hasło »Polska jest jedna« doskonale to wyraża”. Te słowa Jarosława Kaczyńskiego można uznać za swoistą reakcję na zmianę nazwy partii Zbigniewa Ziobry z Solidarnej Polski na Suwerenną Polskę. Można być przekonany, że Prawo i Sprawiedliwość będzie ten wątek mocno eksploatowało w kampanii, oczywiście na zasadzie kontrastu do polityki uległości wobec

innych państw Zachodu, którą PiS utożsamia z Donaldem Tuskiem i PO.

Drugim wyrazistym akcentem spotkania „Programowy Uł” było podkreślanie równości. Kaczyński mówił: „Wszyscy muszą być równi w życiu społecznym i to jest kierunek, który musimy realizować”. Owa równość oznaczać ma według lidera PiS równy dostęp do owoców wzrostu gospodarczego. Wyraźnie też ostrzegł, że Platforma, w odróżnieniu od PiS, co innego mówi w czasie kampanii, a co innego robi, gdy już zdobędzie władzę. I to oczywiście stanowić ma według Kaczyńskiego kontrast z polityką PiS, która realizuje, co obiecywała.

Lipton, a pozostałym pracownikom można kupić tylko taną herbatę Saga. Według Morawieckiego miała to być ilustracja filozofii Platformy, w której byli lepsi i gorsi. „Polska Platformy to była tylko Polska dla VIP-ów” – mówił. I dodał: „Kiedy ta walka z nierównościami się rzeczywiście zaczęła? To właśnie w naszych czasach skończyły się zakupy na zeszyt, a zakup podręczników we wrześniu przestał spędzać sen z powiek polskim rodzinom”.

Przemówienie Morawieckiego pokazywało wyraźnie przesłanie „Programowego Uła”. Na przełomie roku PiS chodziło o utrwalenie twardego elekto-

„800+” minus opozycja



Piotr Semka

Podwyższenie świadczenia „500+” na nowo pokazało, że Kaczyński potrafi narzucać tematy, do których muszą się odnosić jego rywale z opozycji. Jak jej to wyszło?

Wybór formuły konwencji dyskusyjnej podsumowującej wyniki konsultacji z obywatelami wyszedł średnio. Panele nie były miejscem zbyt ożywionej wymiany różnych opinii, ale raczej wspólnego krytykowania opozycji i utwierdzania się w słuszności polityki rządzącej partii. Na tym tle dosyć dobrze wypadł premier Mateusz Morawiecki. Premier zaczął od anegdoty o wąsatym przedsiębiorcy, który przekonuje swojego pracownika Areczka, że zarząd musi mieć herbatę

ratu. Teraz wyrusza ze swoim przekazem do wyborców niezdecydowanych z wyraźnym wskazaniem: „Zastanów się, czy dobrze ci się żyje, przypomnij sobie, jak żyłeś za Platformy, i spróbuj sobie wyobrazić, co będzie, jeśli PiS zabraknie, a Donald Tusk wróci do władzy”.

„800+”, CZYLI POCZĄTEK LICYTACJI

Jarosław Kaczyński jak dobry scenarzysta ogłosił zapowiedź wprowa-

■ dzenia świadczenia „800+” dopiero w drugim dniu „Programowego Ula”. Zapowiedział, że zostanie on wprowadzony dopiero od 1 stycznia przyszłego roku. Czy ten ruch wyborczy mógł być zaskoczeniem? Z jednej strony tak, bo członkowie rządu i przedstawiciele Ministerstwa Finansów, pytani w ciągu ostatnich miesięcy o ewentualne podwyższenie „500+”, uparcie powtarzali, że nie ma na razie takich planów. I pewnie byli szczerzy, bo Kaczyński doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zapowiedź „800+” musi być całkowitym zaskoczeniem. Tylko wtedy spełniłoby to swoją rolę w odniesieniu do potencjalnych wyborców, ale i zaskoczyłoby opozycję. Z drugiej strony trudno było nie przypuszczać, by PiS nie sięgnął po kartę podwyższenia swojej sztabarowej zdobyczy kadencji 2015–2023.

Pytanie tylko, dlaczego wyciągnął tę kartę stosunkowo wcześniej. Być może uznał, że świadomość pewnych propozycji PiS przebiegać się będzie do powszechnej świadomości powoli. A kampania w tym roku nie potrwa zbyt długo. W Polsce polityczny sezon zaczyna się po majówce i kończy się w okolicach 1 lipca. Potem zapada letnie odprężenie i kampania na nowo startuje od 1 września. A wybory najprawdopodobniej będą 15 października. Wiosną mamy więc siedem tygodni kampanii, a jesienią tylko sześć. Oczywiście partie nie będą próżnować w czasie wakacji, ale sztabowcy wiedzą, że to jest okres, w którym do Polaków dociera znacznie mniej treści. Kaczyński mógł też zaryzykować stosunkowo odległy termin wprowadzenia nowego świadczenia, gdyż uznał, że PiS ogólnie zdobył już wiarygodność w tej kwestii. Większość niezdecydowanych ma wrażenie, że akurat w tej materii PiS potrafi solidnie wypełniać swoje zobowiązania.

Na tle podwyżki sumy świadczenia „500+” mniejsze emocje wywołały zapowiedzi darmowych leków dla dzieci i seniorów, o wiele większe zainteresowanie wzbudziła zapowiedź darmowych państwowych autostrad. Publicysta jednego z liberalnych dzienników nazwał nawet ten postulat „autostradą PiS do elektoratu klasy średniej”. I coś w tym jest. Jeśli dodać do tego zapowiedzi, że państwo będzie naciskało na prywatnych operatorów autostrad w celu obniżenia



opłat, to mamy postulaty, które trafiają do ludzi ze średniej klasy, którzy dużo podróżują własnymi samochodami.

Kaczyński z Morawieckim z tajemniczymi minami zapowiadają, że mają w rękawie jeszcze trochę miłych niespodzianek dla Polaków. Liderom PiS udało się kolejny raz narzucić temat, do którego musiała się odnieść opozycja. Jak jej to wyszło?

ZASKOCZENIE I GWAŁTOWNE REAKCJE

Pierwsze reakcje medialne na hasło „800+” były kąśliwymi uwagami, że budżet państwa takiego obciążenia nie wytrzyma. Pytano, skąd Kaczyński weźmie na to pieniądze i w jakim stopniu zwiększy to inflację. „Gazeta Wyborcza” informowała, że według przecieków z Ministerstwa Finansów jej kierownictwo miało być zaskoczone decyzją Kaczyńskiego. Dodatkowo ogłaszano, że

sam Morawiecki miał być przeciwny, ale zwyciężył upór prezesa. Jeszcze w poniedziałek 15 maja Michał Nogaś, dziennikarz „Wyborczej”, ironizował: „Skąd wziąć pieniądze na program, którego koszt zwiększy się do 64 mld zł. W PiS nerwowo, bo prezes zaskoczył swojego podwładnego, czyli premiera, ale przecież nie ma ceny, której Nowogrodzka nie zapłaciłaby za pozostanie u władzy, czyli – jak się oceni – kupienie trzeciej kadencji”.

Ten sposób narracji u większości liberalnych mediów nagle znikł jak kamfora, gdy w właśnie 15 maja Donald Tusk na spotkaniu w Krakowie niespodziewanie poparł pomysł rewaloryzacji świadczenia. Lider PO zaproponował, aby nie czekać do sylwestra i już teraz wprowadzić rozszerzenie świadczenia, wspólnie przegłosowując w Sejmie podwyżkę do poziomu 800 zł przy deklarowanym poparciu głosów opozycji dla takiej ustawy.



wykorzystał Sławomir Mentzen, który natychmiast postawił trafne pytanie: „Po co komu opozycja, która chce chronić to samo, co rząd, tylko wcześniej”. I idąc dalej za ciosem mówił: „Trzeba mieć tupet, żeby domagać się w maju »800+« i jednocześnie zwoływać marsz przeciwko inflacji”.

Trudno nie odnieść wrażenia, że propozycja „800+” tak samo zaskoczyła Tuska, jak Kosiniaka-Kamysza. Jest to o tyle dziwne, że podwyższenia świadczenia „500+” można się było spodziewać przynajmniej od roku

Swoją szansę w polaryzacji na linii Kaczyński – Tusk zobaczył Szymon Hołownia, w myśl dewizy: „Odróżnij się lub zgin”. Hołownia skrytykował ideę „800+” i dosyć twardo zaznaczył, że w budżecie nie ma pieniędzy na taki wydatek. Najwyraźniej, chcąc za wszelką cenę zaistnieć, Władysław Kosiniak-Kamysz rzucił dodatkowe hasło: „800+” tak, ale tylko dla rodzin, w których oboje rodziców pracuje. I tutaj trafił kulą w płot, bo akurat w elektoracie wiejskim jest dużo kobiet, które nie pracują, tylko poświęcają się wychowaniu dzieci.

Bardzo szybko lider PSL doczekał się kaśliwej riposty od Adriana Zandberga z partii Razem, który błyskawicznie zaripostował: „Waloryzacja tylko dla pracujących ładnie brzmi, ale to kiepski pomysł, który wrzuci pod pociąg tysiące dzieci naprawdę potrzebujących wsparcia”. Zandberg poruszył temat, który podnieśli też inni publicyści. Na wsi mieszka stosunkowo dużo kobiet, które zmuszone są do zajmowania się domem i nie mają okazji do podjęcia pracy. Tym bardziej że do żłobka, przedszkola i miejsc pracy najdalej jest właśnie na wsi.

Trudno nie odnieść wrażenia, że propozycja „800+” tak samo zaskoczyła Tuska, jak lidera PSL. I Kosiniak-Kamysz, chcąc jakoś zaistnieć wobec szybkiego

wistu Szymona Hołowni, chciał dorzucić jakiś swój postulat. I trafił kulą w płot. To rozdwojenie między Hołownią a Kosiniakiem-Kamyszem jest złą wróżbą dla skuteczności sojuszu na rzecz trzeciej drogi. Widać, że o wiele bardziej ofensywny Hołownia będzie wyskakiwał z nieuzgodnionymi pomysłami, a Kosiniak-Kamysz będzie musiał robić dobrą minę do złej gry.

Na tle wszystkich tych reakcji zupełnie bez wdzięku było już stanowisko Lewicy Włodzimierza Czarzastego, która zdobyła się jedynie na kwaśną uwagę, że odbiorcom „500+” rewaloryzacja należała się już od dwóch lat, więc PiS powinien odbiorcom tego świadczenia wypłacić jakąś rekompensatę.

BARWY KAMPANII

Podwyższenie świadczenia „500+” na nowo pokazało, że Kaczyński potrafi narzucać tematy, do których muszą się odnosić jego rywale z opozycji. Przy okazji PiS zepchnął na dalszy plan kłopotliwą dla siebie sprawę rakiety rosyjskiej i balonu lecącego z Białorusi. W tle widoczny był wyraźny konflikt między Pałacem Prezydenckim a MON w kwestii odpowiedzialności za brak reakcji na naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej. To starcie zakończyło się remisem. Prezydent nie zmienił swojego stanowiska, a Jarosław Kaczyński bardzo wyraźnie wykluczył możliwość dymisji Błaszczaka.

Sprawę schowano pod sukno, ale jeśli do kontrowersji między resortem obrony a Pałacem Prezydenckim będzie dochodzić nadal, to będzie to dla PiS w kampanii kula u nogi. Wizerunek Polski, która dzięki rządowi Prawa i Sprawiedliwości jest bezpieczna, jest bowiem jednym z leitmotivów tej kampanii.

Kolejne pytanie dotyczy tego, co w swoich szufladach chowa opozycja. Tutaj najwięcej oczekiwań mają wyborcy opozycyjni wobec PO. Tyle że jak w każdej kampanii siła, która jest już o władzy, może z o wiele większą pewnością siebie przekonywać, że wprowadzi dane rozwiązanie. A opozycja jedynie zapowiada pozytywne zmiany. I ta różnica także będzie działać na korzyść PiS. Chyba że Platforma Polaków czymś zaskoczy. Pytanie, czy ma na to jakiś pomysł.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Fiedorcuk

Aby zracjonalizować sobie kolejną porażkę wyborczą, opozycja wraz z jej medialnymi przybudówkami ucieka w spiskowe teorie

Nie ma zgody na kwestionowanie uczciwości wyborów, np. przez lansowanie szkodliwej tezy o konieczności powtórzenia wyborów.

To odmęty szaleństwa – przekonywał dziewięć lat temu prezydent Bronisław Komorowski po wyborach samorządowych, w trakcie których dochodziło do prawdziwych cudów nad urnami.

Dzisiaj to obóz lewicowo-liberalny pławi się w paranoidalnych teoriach. Opozycja przy wsparciu zaprzyjaźnionych mediów próbuje przekonać swój elektorat, że PiS zrobi wszystko, byle tylko utrzymać się u władzy – łącznie ze sfalszowaniem wyborów.

WIELKI STRACH

Wracając do kraju, lider PO był przekonany, że kryzys gospodarczy w połączeniu z ogólnym zmęczeniem społeczeństwa obecną władzą położy kres rządowi PiS. Nie on jeden. Jeszcze kilka miesięcy temu liberalna bańka, w której prym wiodły postaci pokroju Tomasza Lisa czy Radosława Sikorskiego, była wręcz przekonana o nadciągającej porażce Kaczyńskiego.

Dość szybko okazało się, że Tuskowi nie uda się zwasalizować reszty opozycji, co oznaczało, że PiS najprawdopodobniej jednak wygra wyścig wyborczy. Wówczas powstała teoria, że co prawda PO sama (z winy PSL i Hołowni) nie da rady pokonać Zjednoczonej Prawicy, ale bez względu na wynik wyborów Kaczyński i tak nie ma zdolności koalicyjnych, a zatem władza tak czy inaczej wpadnie w ręce Tuska. Znowu – siłą rozpędu, sama z siebie.

W ostatnich tygodniach jednak i ta narracja się rozpadła w związku z nagłym wzrostem poparcia dla Konfederacji, którą w mediach sprzyjających PO przechrzczono już jako półoficjalnego koalicjanta PiS. I nie ma znaczenia, że oba ugrupowania ewidentnie się nie cierpią

W odmętach szaleństwa

Donald Tusk już na początku roku wskazał, że Sławomir Nitras ma być osobą „pilnującą wyborów”

FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP



– liczy się fakt, że pojawiła się sama możliwość powstania konserwatywnej koalicji, co przeczyło snutej od miesięcy narracji opozycji. Dlatego też to właśnie Platforma, a nie Lewica czy PSL, z taką wściekłością przystąpiła do ataków na Konfederację. Trzecia kadencja PiS, która wydawała się niemożliwa, nagle nabrała w ich oczach realnych kształtów.

SPISEK „CHUCHACZY”

W związku z wizją nadciągającej porażki znaczna część opozycji powróciła do narracji znanej sprzed kilku lat, gdy przekonywano, że zwycięstwa PiS były w rzeczywistości efektem wielkiego oszustwa wyborczego. Tak samo teraz, jak twierdzi część polityków, rządzący mają się szykować do fałszerstw, oszustw i manipulacji w celu obrony władzy.

Jak jednak miałooby to wyglądać w praktyce? Tutaj na opozycji nie ma zgody. Na przykład Paweł Poncyłjusz snuł rozważania, że PiS może wprowadzić stan wyjątkowy, aby przesunąć wybory i uniknąć porażki z PO. To jeszcze w miarę umiarkowany pomysł na tle słów np. Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która przekonywała, że PiS jest gotowy dosypać

głosów do urn lub po prostu w razie potrzeby podać inne wyniki.

Te coraz odważniejsze teorie zaczęły dominować w platformerskim mainstreamie, czemu trudno się dziwić, skoro od miesięcy forsuje je sam lider formacji. Na początku roku Tusk nawet wskazał Sławomira Nitrasa jako osobę odpowiedzialną za „pilnowanie wyborów”. – Coraz częściej zdecydowane domysły, artykułowane publicznie obawy, że PiS jest gotowy sfalszować wybory, niestety są coraz bardziej uzasadnione – straszył.

Tusk krytykował wówczas rządzących za pomysł zmian Kodeksu wyborczego w roku wyborczym, przekonując, że „każdy, kto zmienia zasady gry, tuż przed wyborami, gwałci podstawowe zasady demokracji”. Jednocześnie były premier skrzętnie pominął fakt, że w 2011 r. sama PO zmieniała Kodeks wyborczy kilka miesięcy przed wyborami.

Sprawa nowelizacji prawa wyborczego wywołała szerokie poruszenie nie tylko wśród polityków. Na przykład „Fakty” TVN wyemitowały w marcu materiał poświęcony tej sprawie, szczególnie uwagę poświęcając kwestii agitacji wyborczej. – Sejm przyjął zmiany w Ko-



– stwierdził kilka miesięcy temu podczas spotkania w Sandomierzu.

Ten wątek „krzyżkowych oszustów” podchwycił niedawno tygodnik „Newsweek”, który (już pod rządami Tomasza Sekielskiego) wypuścił głośną okładkę z napisem „Sfałszowane wybory”. Cytowany w tekście Renaty Grochal były działacz PiS Marek Zagrobelny przyznawał m.in., że sam pracując w komisji wyborczej, fałszował głosy, i zapewnia, że inni działacze PiS postępowali podobnie. Tezy te brzmią dość wątpliwie, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że liczba głosów nieważnych właśnie maleje w ostatnich latach (w 2011 r. było to 4,52 proc., podczas gdy w 2019 r. – 1,11 proc.), a żeby takie oszustwo miało wpływ, to sfałszować trzeba by dziesiątki tysięcy kart. A to tylko jedna z wielu, wielu nieścisłości, jakie nastrocza tekst Grochal. Choćby sam pomysł fałszowania kart brzmi kuriozalnie. Zdaniem Zagrobelnego spisek PiS-owców polegał na tym, że członkowie komisji mieli na palcach atramentowy krzyżyk, który dostawiali do kart i w ten sposób unieważniali głosy. Jak relacjonował, członek komisji „chucha na ten palec, a wilgotny atrament zostawia na karcie krzyżyk przy liście innej partii”.

Na „Newsweek” po publikacji o spisku chuchających oszustów spadło sporo krytyki, i to nie tylko z prawej strony. Nie brakowało głosów, że tego typu publikacjami tygodnik może wręcz zdemobilizować elektorat opozycji. Bo skoro wybory i tak będą sfałszowane, to po co w nich w ogóle uczestniczyć?

UCIECZKA W SPISEK

Równoległe do narracji o fałszerstwach jest też prowadzona narracja niejako będąca jej zaprzeczeniem – politycy opozycji przekonują, że fałszerstw jako takich może nie ma, ale same wybory są z góry uznane za „nieuczciwe”. Tak samo jak poprzednie były nieuczciwe. Gdyby wybory były uczciwe, przekonywał np. Donald Tusk, to w 2020 r. wygrałby Rafał Trzaskowski, a nie Andrzej Duda.

No dobrze, ale na czym ta nieuczciwość ma polegać? Najogólniej rzecz ujmując, na wykorzystywaniu aparatu państwowego w celu faworyzowania PiS w wyścigu wyborczym. W praktyce jednak główny zarzut pada pod adresem TVP. I jakkolwiek faktycznie obecna Telewizja Polska w walce o lepszą przyszłość wyznacza stan-

dardy nieznane chyba w żadnym cywilizowanym państwie, to przecież sam fakt upolitycznienia publicznych mediów nie jest żadnym novum. Choćby za rządów PO dwie największe stacje telewizyjne były prorządowe, a trzecia była co najwyżej neutralna. I jakkolwiek niektóre działania PiS mogą budzić wątpliwości czy wręcz niepokój (np. nieprawidłowości z głosami Polonii), to narracja o fałszerstwach i oszustwach wyborczych jest niewiele mniej odsklejona od rzeczywistości niż opowieść Sikorskiego, Pińskiego i Giertycha o planach Kaczyńskiego dotyczących rzekomego rozbioru Ukrainy.

Skąd zatem to parcie w – mówiąc Bronisławem Komorowskim – odmęty szaleństwa? Wydaje się, że do opozycji zaczyna docierać, że już za kilka miesięcy może przegrać kolejne wybory z Kaczyńskim, a PiS uzyska trzecią z rzędu kadencję. Narracja o wyborczych fałszerstwach z jednej strony służy racjonalizowaniu porażki, z drugiej ma zdjąć z polityków odpowiedzialność za kompromitację.

Narracja o fałszerstwach przy całej swej absurdalności spełnia jedną ważną funkcję – radykalizuje elektorat

Obecna kadencja PiS była w wielu aspektach równią pochyłą – ujawniły to spór z Brukselą, zachowanie władzy w czasie pandemii, kolejne afery i wpadki. A do tego mamy szalejącą inflację, która dla opozycji powinna być prawdziwym game changerem. I jeżeli Tusk z PO nie potrafią wykorzystać takiego momentu do przejęcia władzy, to w głowach wyborców może się pojawić zasadne pytanie, czy będą oni kiedykolwiek zdolni pokonać Kaczyńskiego. A wówczas może pojawić się pytanie kolejne: Być może czas zacząć szukać kogoś, kto nie przegrał w ostatnich ośmiu latach wszystkich możliwych wyborów? Dlatego narracja o fałszerstwach, przy całej swojej absurdalności, spełnia ważną funkcję – radykalizuje elektorat i nie pozwala mu racjonalnie myśleć. Przy całej swojej nieudolności to jedno udaje się opozycji całkiem nieźle.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Świecka komunia, czyli wypełnianie pustki



Zuzanna Dąbrowska

Wycieczka do Disneylandu, drogie prezenty i à la komunijny strój dla dziewczynki. To niektóre z pomysłów na „świecką komunię”. Niewierzący rodzice próbują w ten sposób wypełnić lukę, która powstaje w życiu ich dzieci w dniu, gdy rówieśnicy przystępują do sakramentu

Jeśli rodzice nie wierzą i nie wychowują dziecka w wierze katolickiej, to najprostszym rozwiązaniem wydawałaby się całkowita rezygnacja z sakramentów i związanych z nimi tradycji. Tak jak wiary i obrzędowości nie ma w życiu na co dzień, tak logiczne

wyduje się, że nie ma ich też w święta (wyjątkiem są głęboko zakorzenione w polskiej tożsamości narodowe święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy).

Jednak zamiast tego, szczególnie w dużych miastach, coraz popularniejsze stają się „świeckie komunie”. Jak przekazuje portal Onet, „sezon komunijny to ważne dla każdego katolika wydarzenie, które jest również trudnym okresem dla osób niewierzących. Zwłaszcza dzieci”. Trudnym, bo dzieci nie dostają takiej uwagi i przede wszystkim takich prezentów, jak ich koleżanki i koledzy przystępujący do komunii.

Hasła o „trudnym okresie dla niewierzących” wracają niczym echo. „Kiedy rodzice podejmują decyzję, że ich pociecha nie przystąpi do pierwszej komunii świętej, dziecku bywa przykro. Może mieć wrażenie, że ominie je ważne wydarzenie z udziałem rówieśników, a do tego nie dostanie prezentów, na które zwykle z tej okazji wykosztowuje się rodzina” – wyjaśnia serwis Edziecko.pl. Z racji

tego, że żyjemy w czasach dobrobytu oraz dogmatu „dobrego samopoczucia” (absolutnie nie można dopuścić, aby dziecku było przykro – nawet jeśli jest to skrajnie niewychowawcze), konieczne jest wymyślenie alternatywy dla wydarzenia, jakim w życiu rodziny jest komunია dziecka.

PARAKOMUNIA

„Ktoś mógłby rzec, że nie powinienem się wypowiadać w tym temacie, skoro jesteśmy niewierzący, a moje dzieciaki nie będą szły do komunii, ale jakoś tak się złożyło, że nie żyjemy w próżni. Zawsza jesteśmy zalewani informacjami na ten temat i nikt nie pyta, czy aby nam to nie przeszkadza. A na dodatek starszemu z chłopaków zorganizowaliśmy komunię, tyle że świecką” – opisywał popularny bloger zajmujący się tematyką ojcostwa, „Zły Ojciec”. Choć wpis pochodzi sprzed roku, to ze zdwojoną mocą wrócił pod koniec kwietnia, na początku sezonu komunijnego. Dla wielu pomysłów blogera

stał się bowiem inspiracją. „Zły Ojciec” podszedł do kwestii „świeckiej komunii” całościowo – postanowił nie tylko wynagrodzić dziecku prezenty, których nie dostanie na komunię, lecz także wypełnić mu cały czas, który rówieśnicy poświęcają na tradycyjne przygotowania do sakramentu. Kiedy więc dzieci chodziły po lekcjach na próby i katechezy, syn blogera uczęszczał na dodatkowe zajęcia, m.in. sportowe. „Zły Ojciec” przekonuje, że miało to charakter wychowawczy – dziecko, mając w perspektywie obiecaną nagrodę, której wręczenie przypadało na dzień komunii, odkrywało nowe pasje. Zwieńczeniem starań była „impreza”, czyli paraprzyjęcie komuniyjne. Wtedy to dziecku podarowano wymarzone klocki.

Bloger wskazuje na zalety niepośyłania dziecka do sakramentu – wybrzmiewają przy tym zgrane i niezwykłe rzadko mające pokrycie w rzeczywistości stereotypy o skandalicznej pazerności księży, którzy nie udzielą sakramentu, jeśli najpierw nie zostaną sownie opłaćeni. „W odróżnieniu od osób idących do normalnej komunii mieliśmy zapas finansowy, bo nie musieliśmy kupować alby, gromnicy, opłacać strojenia kościoła, sponzorować księdza, nagradzać katechetki etc.” – wskazuje autor wpisu.

„WYTRWANIE WŚRÓD KATOLICKICH DZIECI”

Wpis ten wywołał falę komentarzy, które pokazują, że „świecka komunie” staje się coraz bardziej popularna. „Bardzo fajny pomysł. My od lat planujemy na czas komunii zabrać syna do Disneylandu. Chociaż mam wrażenie, że to bardziej rodzice wyrabiają w dzieciach poczucie, że coś ich omija. Trzeba już wcześniej o tym rozmawiać i tłumaczyć, jak wygląda sprawa z sakramentami i Kościołem. I dalej sądzę, że to wszystko jest czystą komercją” – wskazuje jeden z internautów. Ktoś inny opisuje, jak nagroził dziecko za „wytrwanie wśród katolickich dzieci”: „Dokładnie to samo zrobiłam córce – miała wianek i kieckę z tiulu. Dostała pieniądze od świeckich dziadków. Byłam z niej dumna, że wytrwała wśród katolickich dzieci (dziś większość z nich nie uczęszcza na religię). Teraz będzie »komunia« syna i jedziemy na wakacje”. Kolejny komentarz również wyraża entuzjazm wobec pomysłu: „Też swoje-

mu taką zrobiłam. A myślałam, że tylko ja mam tego typu pomysły”.

Dla wielu jednak trend ten jest wyrazem skrajnej hipokryzji. Krytyka wybrzmiewa zarówno z pozycji ateistycznych, jak i „kościelnych”. „Jestem ateistą, i moje dziecko też, to zupełnie ignoruję zwyczaje wierzących, a nie przerabiam je na swoją (nomen omen) modłę. Najpierw zrobią dziecku ateistyczną komunię, a potem będą przy kawce ze znajomymi nabijać się z chrześcijan, że obchodzą święta częściowo przejęte od pogan, sami robiąc to samo” – stwierdza internauta pod tekstem o „świeckiej komunii”. „Świecka komunie» brzmi jak »wegetariański smalec«. To za parę lat świeckie bierzmowanie... – zauważa celnie ktoś inny.

KSIAŻDZ: TO ABSURD

Głos w sprawie zabrał też ks. Tomasz Białoń, wikariusz w parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Krakowie. Co ciekawe, choć kapłan określa „świecką komunię” mianem „absurdu”, to i tak ocenia to jak rozwiązanie lepsze niż profanacja sakramentu przez niegodne przystąpienie do niego. „Świecka komunie. Kolejny absurd. Ale jak ktoś ma taką wiarę, to lepiej, że realizuje takie pomysły, niż miałby profanować Najświętszy Sakrament. W końcu sakramenty nie są dla wszystkich. Sam Pan Jezus napomina: »Nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucacie swych pereł przed świnię, by ich nie podeptały nogami, i obróciwszy się, was nie poszarpały«” – wskazał ks. Białoń na Facebooku. „My w Kościele nie mamy większego skarbu niż sakramenty, dlatego trzeba ich strzec coraz bardziej. Wszystkim niewierzącym i lekceważącym wielkie sakramentalne znaki Bożego działania polecam świeckie komunie i wszystkie świeckie nabożeństwa. A tego, kto ma w sercu pragnienie spotkania Boga w darach sakramentalnych, zapraszam do Kościoła” – zachęca duchowny.

Według filozofa Jarosława Makowskiego, szefa Instytutu Obywatelskiego, odchodzenie od sakramentu komunii na rzecz form świeckich jest przejawem „świadomego wyboru”. – Wydaje mi się, że przemiany religijności idą w kierunku świadomego wyboru, a nie tyranii przyzwyczajęń, z którą do tej pory mieliśmy do czynienia. Że będziemy szli w kierunku, by pozostawiać tę decyzję (o przystąpieniu

do sakramentu komunii) młodym ludziom, kiedy będą już zdolni do tego, żeby sami zdecydować, czy chcą uczestniczyć w życiu religijnym – stwierdził publicysta w Radiu TOK FM. – My już wiemy – w ramach galopującej sekularyzacji w Polsce – że to nic nie daje. Dzisiaj z jednej strony mamy tyranie związaną z tradycją pierwszej komunii, ale z drugiej radosne święto obchodzenia apostazji. Chwalenia się tym w mediach społecznościowych i organizowania z tego powodu imprezy – wskazuje, nie kryjąc zadowolenia.

Markowski przekonuje, że przystąpienie do sakramentu jest wyborem nie dziecka, a rodziców. Warto jednak zaznaczyć, że zgodnie z konstytucją (art. 53 ust. 3) „rodzice mają prawo do zapewnienia dzieciom wychowania i nauczania moralnego i religijnego zgodnie ze swoimi przekonaniami”. Obejmuje to również praktyki religijne.

SIŁA KOŚCIOŁA

Argumenty zwolenników „świeckich komunii” pokazują de facto siłę Kościoła. Po pierwsze dlatego, że sam fakt istnienia luki, którą starają się wypełnić rodzice dzieci nieprzystępujących do sakramentu, jest dowodem na niezbywalne miejsce wiary i absolutu w życiu człowieka. Zwolennicy ateistycznych alternatyw dla sakramentu sami przyznają, że w życiu dziecka pojawia się pewna pustka. Po drugie, najmłodszym nie proponuje się w zamian nic poza dobrami materialnymi – wycieczkami (wspólne spędzenie czasu jest bezcenne, jednak to kategoria niosąca inne korzyści niż wiara), prezentami, udawanymi strojami komuniijnymi i pieniędźmi. Nie ma pomysłu na przekazanie podstawowego zestawu wartości, którego na razie nie udało się uchwycić w sposób bardziej skondensowany i trafny, niż w Dekalogu i moralności chrześcijańskiej, która może stanowić drogowskaz życiowy również dla niewierzących (biblijne „Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego”) jest przecież hasłem całkowicie uniwersalnym).

Po trzecie, „świeckie komunie”, podobnie jak „imprezy z okazji apostazji”, są organizowane w kontrze do Kościoła – a więc gdyby nie on, ich organizatorzy i uczestnicy mogliby mieć problem z określeniem własnej tożsamości.



Łukasz Zboralski

Jeśli jedyną odpowiedzią na zakażenie dziecka jest propozycja wyższej kary dla oprawców w rodzinach, to znaczy, że państwo nie chce przemyśleć systemu, który pozwoli uniknąć takich tragedii. A system powinniśmy poprawić

Ten tekst powinien boleć tak mocno, jak boli polewanie wrzniętym ciałem, jak pieczenie skóry parzona przez rozgrzany piec, jak pięść dorosłego wymierzona w twarz dziecka. Kogo? Wszystkich, którzy od lat godzą się na zarządzanie państwem na zasadzie „dekretów” tworzonych szybko, na polityczną potrzebę odpowiedzi na emocje wzburzonego tłumu. Rozsądna polityka powinna w oparciu o fakty szukać najlepszych rozwiązań i wprowadzać je w życie, by zmniejszały problem, który trzeba rozwiązać.

Czy w sprawie katowanych dzieci możemy zbudować taki system? Jak powinien wyglądać? I dlaczego taka dyskusja w ogóle się nie toczy – za to w mediach zajęliśmy się np. tym, że za pogrzeb skatowanego Kamila w Częstochowie ksiądz otrzymał 800 zł?

NIE TYLKO KAMIL

Ośmioletni Kamil mieszkał w Częstochowie. Jego rodzina zajmowała lokal socjalny. Rodzina, czyli oprócz mamy i ojczyma, także ciocia Kamila z mężem i dziećmi.

3 kwietnia przyszedł odwiedzić go jego biologiczny ojciec. Zobaczył pobite i poparzone dziecko. Zawiadomił służby. Było tak źle, że zamówiono śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, który zabrał zmaltretowanego malca do Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach. Poparzona jedna czwarta ciała, liczne obrażenia, złamania kończyn. Operacja. OIOM. Śpiączka farmakologiczna. Lekarze robili wszystko, co mogli, ale się nie udało. Kamil zmarł.



Ojczym, który zakażył ośmioletniego Kamila w Częstochowie, będzie odpowiadał za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem
FOT. KMP CZĘSTOCHOWA

W imię dziecka

Sprawą zajęła się prokuratura. I dopiero wówczas można było zrozumieć, jaki dramat przeżywało to dziecko. Cztery dni przed tym, zanim próbował ratować go biologiczny tata, Kamil miał stracić ze stołu telefon ojczyma. Ten za to bił go, kopał po całym ciele, przypalał papierosami, polewał wrzniętym i parzył go, sadząc na rozgrzanym piecu węglowym.

Niestety, nie tylko jeden Kamil zamiast domu ma piekło. Zaledwie kilka dni po tym, jak ośmioletek z Częstochowy zmarł w szpitalu, policjanci zostali wezwani do budynku w Tomaszowie Mazowieckim. Otrzymali informację, że może tam dochodzić do znęcania się nad dziećmi.

Na miejscu zastali kobietę z półtoraroczną córeczką i dziewięciomiesięcznym synkiem. Chłopiec miał na ciele obrażenia. Wezwano lekarza, a ten zdecydował o przewiezieniu niemowlaka do szpitala. W tym czasie policjanci znaleźli ojca dziecka – ukrywał się przed nimi w jednej z komórek na posesji.

Prokuratura – po przesłuchaniach i opiniach medycznych – uznała, że dziewięciomiesięczny Nikodem był „potrząsany, uderzany i ściskany”. Miał otarcia naskórka na szyi, siniaki na policzku. Ojciec usłyszał zarzuty znęcania się nad dzieckiem i nieudzielenia mu pomocy. Matka odpowiadać będzie za narażenie na

niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia. W tej sprawie prokurator wystąpił do sądu o zabezpieczenie dzieci w pogotowiu rodzinnym. Okazało się też, że 35-letnia kobieta urodziła w sumie ośmioro dzieci. Sześć już wcześniej zostało jej odebranych – czworo jest pod opieką babci, dwoje pod opieką biologicznego ojca.

NIEDOSTRZEGALNE

Według lekarzy starsze obrażenia i złamania Kamila z Częstochowy mogły pochodzić nawet sprzed miesiąca. Żadne nie było leczone. To oznacza, że ośmioletek od dawna był maltretowany i nikt tego nie zauważał, nikt nie próbował mu pomóc. Sam o tę pomoc zapewne nie umiał poprosić – uczył się w szkole specjalnej, słabo mówił. Z pewnością trudno byłoby mu nawet opowiedzieć o koszmarze, który przeżywa.

W domu, oprócz oprawcy, miał jednak mamę (aktualnie w ciąży, spodziewającą się narodzin siódmego potomka). Śledczym wyznała, że nie reagowała, bo „bała się męża”. Najpierw zarzucano jej narażenie dziecka na niebezpieczeństwo utraty życia i zdrowia oraz pomoc w znęcaniu się nad synem. Po śmieci malca zarzuty zmieniono na pomoc w zabójstwie. Ojczym usłyszał zarzut zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem. Oboje są tymczasowo aresztowani.

Na krzywdę Kamila nie reagowali też wujek i ciocia. Śledczy zarzucili im, że nie udzielili pomocy dziecku. Nawet nie wezwali pomocy medycznej. Grozi im do trzech lat więzienia.

Daje to obraz mocno dysfunkcyjnej rodziny. Takiej, nad którą nadzór powinniśmy sprawować jako społeczeństwo. I formalnie sprawowaliśmy. Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w Częstochowie zajmował się rodziną Kamila od dwóch lat. Miała „wsparcie” pracownika socjalnego. Jak się okazało, w dniu, w którym doszło do tragedii – 29 kwietnia – pracownik MOPS był w mieszkaniu tej rodziny. Rano. Gdy chłopiec był w szkole.

Okazało się też, że MOPS w czerwcu ubiegłego roku zawiadomił sąd o sytuacji tej rodziny. Do pisma dołączono wniosek o przeniesienie dzieci z tej rodziny do pieczy zastępczej. Jednak powody były inne niż przemoc. Sąd nie wydał postanowienia w tej sprawie. To będzie zresztą wyjaśniane. – Niezależnie od zadań, które

będzie realizować prokuratura w tej sprawie, również jako minister sprawiedliwości w trybie nadzoru administracyjnego zdecydowałem się wystąpić do rzecznika dyscyplinarnego sędziów celem wszczęcia postępowania wyjaśniającego, inicjując niejako postępowanie dyscyplinarne w stosunku do sędziów Sądu Rejonowego w Częstochowie i Sądu Rejonowego w Olkuszu – zapowiedział minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro.

Minister Ziobro wymienił Olkusz nie bez powodu. Rodzina Kamila przeprowadziła się tam w 2022 r. Tam kilka razy policja interweniowała w domu. Tam również – jak w Częstochowie – wdrożono wobec rodziny procedurę Niebieskiej Karty i miejscowy MOPS zawiadamiał sąd o zaniedbaniu dzieci.

– To jest częsty problem z takimi rodzinami, które nam się jakoś systemowo wymykają – mówi Magdalena, nauczycielka z Warszawy. – Podam przykład. Kiedyś trafił do jednej z pierwszych klas chłopiec, który zaczął powodować problemy. Trochę niedostosowania, bicie innych. Zajęło nam chwilę, by się zorientować, jakie jest tego podłoże. Okazało się, że mama z tatą znęcali się nad nim, np. za karę wystawiając go w slipach zimą na balkon. Oczywiście jako szkoła wszystko to zgłosiliśmy w MOPS, ale ta rodzina szybko się przeprowadziła. W kolejnej szkole z pewnością znów zajęło to czas opiekunom, by się zorientować w tym, co przeżywa ten chłopiec i dlaczego.

ZDĄŻYĆ PRZED TRAGEDIĄ

Po śmierci Kamila premier Mateusz Morawiecki zapowiedział, że zlecił ministrowi sprawiedliwości „wzmocnić w Kodeksie karnym zapisy, które mówią o znęcaniu się nad dzieckiem”. – Dla przestępstw ze szczególnym okrucieństwem, z taką premedytacją, wobec tak niewinnych ofiar ja jestem zwolennikiem przywrócenia kary śmierci – dodał. I tak przekierował dyskusję o tej tragedii na populistyczne tory.

Tymczasem tym, o czym powinniśmy dyskutować, jest system pomocy maltretowanym w rodzinach dzieciom. Jak wygląda? Poza sytuacjami zagrożenia życia – czyli skrajnymi – policja czy opiekun socjalny mogą od razu zabrać dziecko z rodziny. W innych sytuacjach zawsze potrzebne jest do tego orzeczenie sądu.

Mamy więc w kraju procedurę, w której sąd opiera się na informacjach zbieranych m.in. przez pracowników ośrodków pomocy społecznej. Nie są to świetnie opłacani, wysoko wykwalifikowani fachowcy. Dostrzeżenie zagrożeń jest więc problematyczne już na tym poziomie. Stąd procedura – nie dość, że długotrwała – jest trudna.

Problemem jest też „dobro dziecka”, z którego powodu sąd mógłby odebrać je rodzicom. Przecież pochopne odebranie malca, nawet na pewien czas, gdy okazuje się, że okoliczności są jednak inne, także będzie naruszeniem tego dobra.

Alternatywą dla polskich sądowych postępowań są działające w innych krajach urzędy ds. dzieci i rodziny. To np. Jugendamty w Niemczech czy Austrii. Taki urzędnik może rodzinie odebrać dziecko bez decyzji sądu. W Niemczech pracownik Jugendamtu ma obowiązek umieścić dziecko w opiece zastępczej (par. 42 SGB VII): gdy dziecko o to poprosi; gdy umieszczenie w pieczy zastępczej jest uzasadnione nagłym zagrożeniem dla dobra dziecka, a osoba uprawniona do opieki się temu nie sprzeciwia albo nie można w odpowiednim czasie uzyskać orzeczenia sądu rodzinnego; gdy dziecko przybywa do Niemiec bez opiekuna i nie zatrzymuje się w Niemczech u osoby uprawnionej do opieki nad nim.

Ten sposób dbania o „dobro dziecka” jest krytykowany w samych Niemczech. I choć do Polski docierały głównie problemy pochopnego odbierania dzieci rodakom migrantom, to niemieckie media zajmują się też przypadkami opiekałości w odbieraniu dzieci. Zatem i ten system nie jest idealny, za to jest bardziej autorytarny niż polski.

Nasz rodzimy system na pewno powinniśmy ulepszyć. Wydaje się, że niewykorzystanym potencjałem są w nim szkoła i nauczyciele. Profesjonaliści przygotowani do opieki nad dziećmi, dobrze znający swoich podopiecznych, mający też do dyspozycji wiedzę psychologów szkolnych, są w stanie wychwytywać problemy przemocy w rodzinach. Nauczyciele wciąż też darzeni są zaufaniem społecznym. Umożliwienie im szybkiej ścieżki reagowania, lepsze włączenie w system zabezpieczający „dobro dziecka”, byłoby na pewno krokiem wartym rozważenia.



Wiesław Chełminiak

Latem 1588 r. flota króla Hiszpanii zmierzała w stronę angielskiego wybrzeża z mocnym zamiarem przywrócenia tam katolicyzmu. Wyspiarzy uratowały przed klęską prądy morskie, silny wiatr i determinacja obrońców. Jednak to było dawno. Obecna inwazja hiszpańskiej sztuki na Londyn kończy się powodzeniem

Gdy relacje francusko-amerykańskie sięgnęły dna, gen. de Gaulle wyprawił z misją pojednawczą za ocean największą gwiazdę Luwru, „Giocondę”. Rychło znalazł naśladowców. Drzewiej arcydzieła podróżowały zwykle wbrew woli właścicieli. Teraz coraz trudniej zastać je w domu. To efekt coraz lepszej współpracy muzeów, a także ambicji rządów, uprawiających różnie rozumianą politykę kulturalną. W 2004 r. Berlin wabił turystów kolekcją prac czołowych artystów XX w., wypożyczoną na osiem miesięcy z nowojorskiego Museum of Modern Art. Czy „wystawa stulecia” złagodziła negatywny odbiór poczynił George’a W. Busha w Iraku? Tego nie wiemy, lecz z pewnością przypominała niemieckim elitom, że oprócz nowoczesnych bombowców i czołgów Stany Zjednoczone dysponują również orężem innego rodzaju.

Brytyjczycy, opuszczając Unię Europejską, liczyli na zacieśnienie więzów z USA. Na razie ich nadzieje się nie spełniły. W sensie gospodarczym, bo w kulturze kolaboracja kwitnie. Jednym z jej objawów było sprowadzenie do Londynu niewielkiej, lecz najcenniejszej części kolekcji Hispanic Society Museum & Library. Status placówki, ufundowanej w 1904 r. przez zafascynowanego iberyjską i latynoską kulturą Archera M. Huntingtona, wzrorowano na British Museum. Co ciekawe, milioner filantrop zakupów dokonywał poza Hiszpanią. Twierdził, że nie chce



Hiszpański

przykładać ręki do „plądrowania” swego ulubionego kraju.

Mimo tej samoograniczającej strategii Towarzystwo zgromadziło 750 tys. obiektów o metryce sięgającej od prehistorii do minionego stulecia, w katalogu zaś można znaleźć takie nazwiska jak Francisco Goya, Diego Velázquez, El Greco czy Francisco de Zurbarán. Na czas remontu siedziby muzeum na Górnym Manhattanie najcenniejsze eksponaty wyprawiono w światowe tournée. Londyn jest ostatnim przystankiem przed ich powrotem do Nowego Jorku.

W CIENIU CZARNEJ LEGENDY

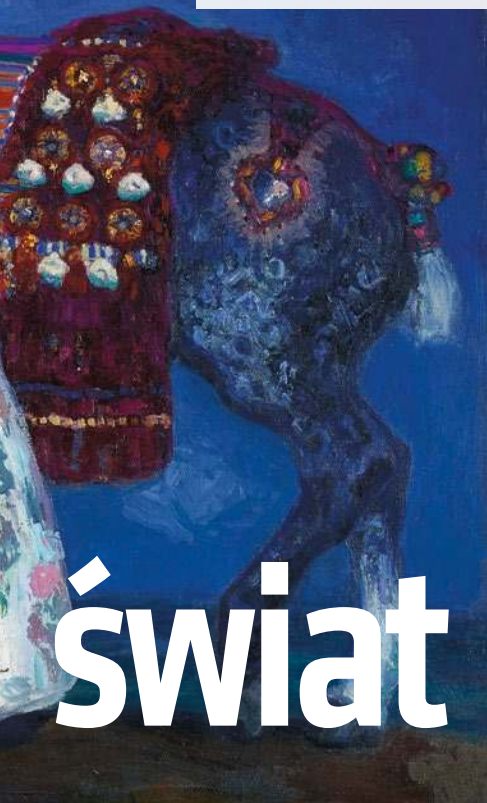
Historię piszą zwycięzcy. Hiszpania przegrała walkę o dominację w Europie. Francuzi i Brytyjczycy okazali się silniejsi. Ostatni cios podupadłemu imperium zadał Amerykaniec, pozbawiając je kolonii na Pacyfiku i Morzu Karaibskim. W kontrze do Madrytu budowali swoją tożsamość Holendrzy, naród mały, lecz bogaty i wielce

wpływowy. Oświecenie umocniło czarną legendę. Hiszpanię powszechnie uznawano za kraj zacofany, zaludniony przez katolickich fanatyków, mających na sumieniu prześladowanie Żydów oraz innowierców. Opowieści o iberyjskim okrucieństwie, wybujałym honorze tudzież wstręcie do uczciwej pracy trafiły nawet pod nadwolszańskie strzechy.

Sztuka, która miała poprawić reputację rodaków Don Kichota, długo czekała na uznanie. Esteci, szukający artystycznych wzruszeń, z reguły wyprawiali się do Italii. Na tle twórczości Rafaela, Tycjana czy Donatella dzieła Hiszpanów zdawały się objawem złego gustu. Ich rzucająca się w oczy odmiennność zaintrygowała romantyków. Delacroix wpadł w zachwyt, ujrzawszy zrabowaną za Pirenejami kolekcję marszałka Soult’a. Magiczna kraina z „Rękopisu znalezionej w Saragossie” zafascynowała wyobraźnię Europejczyków. Teodor Trippin, autor popularnych książek podróżniczych wydawanych w Warszawie w poło-

Hermenegildo Anglada Camarasa, „Dziewczyny z Burriany”, 1910–1911

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



wając rzecz po imieniu: powodem braku akceptacji dla hiszpańskiego dziedzictwa były szerzący się na Zachodzie antykle rykalizm tudzież ekspansja „naukowego światopoglądu”.

SŁOŃCE NIE ZACHODZIŁO

Na ironię zakrawa fakt, że bezcenny zbiór sztuki hiszpańskiej trafił do stolicy państwa, które z niechęci do „papistów” uczyniło rację stanu. Nad Tamizą zbiegały się nici antykatolickiej propagandy. Niejeden londyński wydawca zbił fortunę na rozpowszechnianiu mrozących krew w żyłach opowiadań o sadystycznych praktykach inkwizycji albo ludobójczych wyczynach kastylijskich konkwistadorów. Teraz w salach Royal Academy of Arts Brytyjczycy w skupieniu podziwiają świadectwa żarliwej religijności ziomków Cortésa i Pizarra.

Wystawę ułożono według chronologicznego klucza: pierwszym eksponatem są srebrne bransolety, którymi kobiety Celtów ozdabiały swe ramiona. Odkryto je w Palencji podczas budowy linii kolejowej. Potem idą rzeźby i mozaiki z epoki rzymskiej, pięknie iluminowana hebrajska Biblia, jedwabie z Alhambry, XVI-wieczne kołatki do drzwi, hołdujące afrykańskiej stylistyce, arcydzieła snycerki i sztuki jubilerskiej, monstrancje, mszały, relikwiarze oraz ozdobne pojemniki na lekarstwa z apteki Escorialu.

Hiszpania i Portugalia są ojczyzną azulejos, czyli cienkich glazurowanych płytek ceramicznych. Wbrew legendzie nie wymyślili ich Maurowie, lecz to oni opracowali najbardziej wymyślne wzory, których popularność rosła wraz z postępami rekonkwisty. Talerze, wyrabiane w Manises koło Walencji, już wtedy traktowano jak dzieła sztuki i wieszano je na ścianach. Świadectwem synkretyzmu jest też XV-wieczna chrzcielnica z Toledo: rzeźbiarze użyli jako elementu dekoracyjnego

go wizerunku dwóch otwartych dłoni. A przecież każdy Kastylijczyk wiedział, że to mużułmański talizman.

Bezdiskusyjnym hitem ekspozycji jest mapa świata z 1526 r. autorstwa Giovanniego Vespucciego (siostrzeńca Ameriga) uwzględniająca najnowsze odkrycia geograficzne. Długo była pilnie strzeżoną tajemnicą państwową, oryginał przechowywano w Sewilli, porcie mającym wówczas monopol na handel z Nowym Światem. Ozdobna wersja mapy, którą dziś podziwiają Londyńczycy, najpewniej powstała jako prezent dla cesarza Karola V – władcy, nad którego imperium słońce nigdy nie zachodziło.

DUSZA LATYNOSA

Jankesi zainteresowani iberyjską kulturą nie musieli się wyprawiać do Europy.

Mogli z nią obcować w Ameryce – w wydaniu kolonialnym.

Chryścianizacja podbitych ziem i bogactwo kolonialnych elit stworzyły chłonny rynek, na którego potrzeby pracowało wielu artystów w Sewilli. Niektórzy od razu zdecydowali się na emigrację. Misjonarze zakładali szkoły rękodzielnicze, bo czymś trzeba było wypełnić wnętrza kościołów, klasztorów i rezydencji. Tolerowano elementy indiańskiej tra-

dycji, jeśli nie kojarzyły się bezpośrednio z pogaństwem.

Pamiątkami osobliwego mariażu estetyki hiszpańskiej i prekolumbijskiej są hiperozdobne utensylia. Wzrok przyciąga ją zwłaszcza przenośne biurka używane w jezuickich misjach w Boliwii, naczynia ze srebra, wydobywanego w kopalniach Potosi, oraz seria rzeźb z laki. Ekwadorski artysta przedstawił pośmiertne losy człowieka: od szkieletu, z którego robaki wyżerają resztki mięsa, przez męki piekielne i czyścówce, do duszy, która trafiła prosto do nieba.

Honorowe miejsce zajmuje rebozo, czyli długi i szeroki szal, nadal noszony przez meksykańskie kobiety. Pierwsze informacje o tym najstarszym z elementów kolonialnej garderoby pochodzą z końca XVI w. Rebozos chronią przed słońcem, używane są podczas zaręczyn



Artysta nieznany, ceramika szklowana cyną z kobaltem i polyskiem, I połowa XVI w.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wie XIX w., pytał retorycznie: „Gdzie jest młodzieniec wyobraźnię swą pięknymi płodami geniuszu ludzkiego żywiący, który by nie zapragnął zwiedzić Hiszpanii, tej ojczyzny rycerstwa i cudów?”.

Iberyjskim artystom zarzucano nadmierną egzaltację tudzież epatowanie śmiercią i brzydotą, lecz tak naprawdę chodziło o coś innego. Francuz Jean Babelon odkrył, że oryginalność sztuki sąsiadów polegała na zderzeniu sprzecznych elementów: „ludzkiego i boskiego, okrucieństwa i czułości, ekstatycznych uniesień i trywialności podporządkowanych dominującej idei wiary chrześcijańskiej”. Malarzami czy rzeźbiarzami często bywali księża i zakonnicy, również świeccy twórcy nie wstydzili się demonstrować pobożności. Nazy-



Andrea de Mena, „Mater Dolorosa”, 1675 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ i porodu, służą do noszenia dzieci (lub innych nieporęcznych przedmiotów) bez użycia rąk oraz okrywania zmarłych. Szal, wystawiany w Londynie, jest egzemplarzem luksusowym. Wykonany z lnu, cienkiego jedwabiu, złotych i srebrnych nici, z ręcznie haftowanymi wzorami granatów, kwiatów, winorośli, jeleni, psów i ptaków, ani chybi należał do niewiasty z wyższych sfer, np. do żony lub córki wicekróla.

GENIUSZE I SEKRETY

Wróćmy jednak do Hiszpanii, będącej u szczytu potęgi, z którego z hukiem spadnie w tym samym czasie, co Polska – w połowie XVII w. Historię katastrofy imperium Habsburgów symbolizują dwa portrety: księcia Alby, przed którym drżała heretycka Europa, i hrabiego Olivaresa, faworyta Filipa IV, wzorującego się na kard. Richelieu. Alba drakońskimi metodami próbował zmusić do posłuszeństwa wobec korony niderlandzkich mieszkańców. Osiągnął skutek wręcz przeciwny: bunt ogarnął całą prowincję. Po wojnie, trwającej z przerwami 80 lat, Hiszpanii przyszło pogodzić się z utratą najcenniejszej europejskiej posiadłości.

Olivares nie wyciągnął z tej lekcji wniosków. Wciągnął kraj w konflikty, które doprowadziły go do gospodarczej ruiny. Zanim popadł w niełaskę, pozował Velázquezowi. Największy malarz w dziejach Hiszpanii miał naturę dworaka, więc bez wahania uwiecznił pychę hrabiego. Dla równowagi w tej samej sali można podziwiać niedokończony i owiany tajemnicą „Portret dziewczynki”, znaleziony w pracowni artysty po jego śmierci.

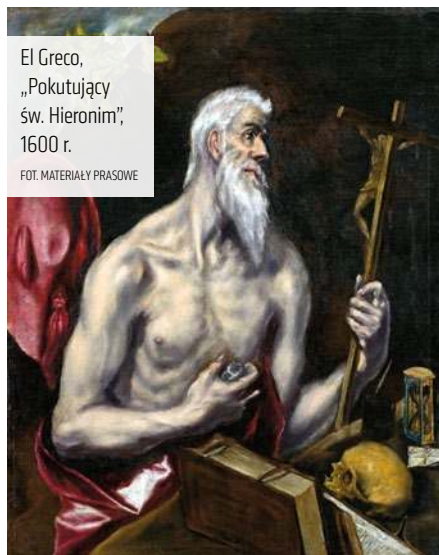
Francisco de Zurbarán też pracował dla Olivaresa, ale od Madrytu wołał Sewillę. Wpędziło go to w kłopoty. Zaraza i bankructwo kraju tak przerzedziły szeregi klientów, że musiał eksportować obrazy do Ameryki Łacińskiej, mimowolnie rewolucjonizując tamtejszą sztukę religijną. Zurbarán był bowiem najwyższej klasy specjalistą od wizerunków świętych. Jako syn właściciela sklepu z tkaninami znał się również na modzie. Świętą Emerencjanę, męczennicę z epoki Cesarstwa Rzymskiego, namalował w stroju XVII-wiecznej eleganterii.

Z trzech pokazanych na wystawie portretów pędzla Goi największej sławy zażywa konterfekt Marii del Pilar Cayetano de Silva Álvarez de Toledo. Trzynasta



Joaquín Sorolla,
„Po kąpielu”,
1908 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



El Greco,
„Pokutujący
św. Hieronim”,
1600 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

księżna Alba zapatrzona była w Paryż, ale czasem nosiła się jak maja, czyli kobieta z ludu, i rozpuszczała swe czarne loki. Uchodziła za piękność. Przygłuchy i starszejący malarz mógł się w niej podkochać. Stęgna plotka uznała, że to księżna pozowała do aktu, znanego pod tytułem „Maja naga”. Ze szkicownika malarza wynika, że goliznę damską oglądał wówczas w burdelach Kadyksu, jednak z legendą nikt nie wygra.

W 1795 r. Goya stworzył oficjalny, „biały” portret Alby, który do dziś znajduje się w posiadaniu jej spadkobierców. Dwa lata późniejszy „czarny” zatrzymał dla

siebie. Napuszonego arystokratka, w żalobie po zmarłym mężu, wymownym gestem wskazuje słowa napisane na piasku.

„Tylko Goya”. Pierwsze z nich zamalowała, co wyszło na jaw przy konserwacji obrazu. Do tego dłoń księżnej zdobną pierścieniem z nazwiskami autora i modelki. Najlepszy z biografów artysty, Robert Hughes, uważał, że ten romans istniał co najwyżej w wyobraźni Goi, który pod koniec XVIII w. znalazł się na życiowym zakręcie. Alba, która zmarła młodo, była idealną kandydatką na muzę romantycznego geniusza.

NA TROPIE WIZJONERA

Gdy Huntington szukał eksponatów do swojego wymarzonego muzeum, na artystycznym firmamencie Hiszpanii jaśniały dwie gwiazdy. Joaquín Sorolla słynął ze scen plażowych, maniera Ignacia Zuloagi była bardziej mroczna. Obaj przyjęli zaproszenie do Ameryki i pokazali tam swoje obrazy. Sorolla, nazywany „malarzem światła”, podobał się bardziej. To u niego Huntington zamówił więc monumentalny cykl „Wizja Hiszpanii”, do dziś dekorujący główną galerię siedziby Towarzystwa w Nowym Jorku. Oryginał ma 70 m długości, wstępny szkic tylko osiem i to on zamyka londyńską wystawę.

Sorolla, przyjmując zlecenie Jankesów, był już starym człowiekiem. Pracował nad cyklem osiem lat i nie doczekał jego uroczystej inauguracji. Starczyło mu sił na uwiecznienie regionalnych zwyczajów, krajobrazów i typów ludzkich – od tancerzy w Aragonii, przez torreadorów w Sewilli, targi w Estremadurze i Basków grających w kręgle. Zamiast tytułowej wizji dostarczył sponsorom zaledwie wiązanek stereotypów.

Nie mam pretensji do Huntingtona. Zapewne na początku XX w. trudno było znaleźć w Hiszpanii artystę, któremu chciałoby się filtrować szacunek dla tradycji przez sito nowoczesności. Postępowała polaryzacja – nie tylko w sztuce. Cennym wyjątkiem jest obraz Hermenegildo Anglada Camarasa „Chicas de Burriana”. Dziewczyny z przedmieść Walencji, które wybrały się na święto ognia, przypominają trochę infantki Velázqueza i maje Goi. Tyle że po drodze wpadły do Wiednia, gdzie spotkały Gustava Klimta.

Wystawa „Spain & the Hispanic World” w londyńskiej Royal Academy of Arts była otwarta do 10 kwietnia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Główne wydanie serwisu informacyjnego
z najważniejszymi informacjami z kraju i ze świata.
Podsumuj dzień z Telewizją Republika.



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Michael J. Fox po diagnozie choroby Parkinsona przepracował w zawodzie jeszcze 30 lat FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W drodze do przyszłości



Piotr Gociek

„Nieustannie. Historia Michaela J. Foxa” – oto historia życia aktora cierpiącego na chorobę Parkinsona, przez niego samego opowiedziana

Michael J. Fox był dla nas w latach 80. XX stulecia kimś więcej niż tylko niesłychanie popularnym, charyzmatycznym aktorem i gwiazdą jednej z najlepszych serii filmów fantastycznych wszech czasów. Był symbolem, zwłaszcza dla mojego pokolenia, urodzonego w Polsce okupowanej przez Sowietów i pokracznie nazwanej „Rzeczpospolitą Ludową”. Symbolem młodości z kraju, który jest wolny i który jest wzorem dla całego świata. Z Ameryki. Patrzyliśmy w ekran, widząc kraj deskorolek, coca-coli, chłopaków jeżdżących własnymi samochodami, dziewczyn ubranych w ciuchy może normalne dla licealistek z Hill Valley w Kalifornii, ale stanowiące obiekt marzeń licealistek

znad Odry i Wisły. W tej krainie wszystko było możliwe, nawet to, że siwy sąsiad trzyma w garażu wehikuł czasu.

Jeszcze ważniejszy był sam Marty McFly, główny bohater filmów Roberta Zemeckisa z serii „Powrót do przyszłości”. Przypomnijcie sobie: wyalienowany, osobny, dziś powiedzielibyśmy – geek; dziewczyny się z niego podśmiewają, szkolne osiłki chcą sprać skórę, rodzice nie zawsze rozumieją. A mimo to udaje mu się przeżyć przygody większe niż życie. Jakże musiała przemawiać taka figura do nastolatków z całego świata! No i tak, ja także byłem wtedy nastolatkiem. Marty McFly: symbol tego, że wszystko będzie dobrze i sky is the limit, jeśli tylko pozostaniesz sobą. W jego przypadku – jeśli będziesz odważny, lojalny, uparty, z sercem we właściwym miejscu.

Wszystkie te elementy składały się w symbol jeszcze ważniejszy: symbol dekady sukcesu, dekady optymizmu, rozwoju, dekady, w której Reagan do spółki z Margaret Thatcher i Janem Pawłem II pokonał imperium zła. Narodziły się komputery osobiste. Stare sputniki zastąpione zostały przez futurystyczne kosmiczne samoloty (tzn. promy), które

niczym w filmach SF mogły lądować na Ziemi po długim ślizgu wprost z orbity. Widoki te były jedną z nielicznych pociech w czasach ponurej nocy jaruzelszczyzny: są miejsca na świecie, gdzie rzeczy idą właściwym torem – myśleliśmy. I w tym nadzieja.

W ZDROWIU I W CHOROBIE

Każda dekada kiedyś się kończy – dekady sukcesu również. W roku 1991 Michael J. Fox odkrywa, że cierpi na chorobę Parkinsona. Kolejne siedem lat ukrywa ten fakt przed filmową branżą. Pierwsze miesiące po diagnozie to czas, kiedy próbuje zapać się na śmierć. Pewnego dnia po nocnym pijaństwie aktor wraca do domu, zasypia w środku nocy na sofie w salonie z puszką piwa w dłoni. Rano znajdują go żona i trzyletnia córka. „Tego naprawdę chcesz?” – pyta żona. – Być kimś właśnie takim?”. Wychodzi z domu, ale na szczęście nie z jego życia. A Fox składa sobie przysięgę – to było ostatnie piwo w jego życiu. Inne problemy pozostają. „Czy przysięga małżeńska nadal zawiera frazę »w zdrowiu i w chorobie«? My wypowiedzieliśmy te słowa i cóż, parkinson rzucił za mnie: »spraw-

dzam!«” – pisał Michael J. Fox w książce „Nie ma jak przyszłość” (wydanie polskie 2020). „Wciąż nie mogę dojść z tym do ładu, mentalnie i emocjonalnie. Tracy pozostaje nadal zdrowa; zatem tylko ja stałem się beneficjentem tego punktu naszej umowy. W zdrowiu i w chorobie – to o nas. Zdaję sobie sprawę, którym z tych nas jestem ja, ale nie przestaję mieć nadziei, że kiedyś się to zmieni”.

Znajdziemy te rozważania także w filmie dokumentalnym „Nieustannie. Historia Michaela J. Foxa” („Still: A Michael J. Fox Movie”), który trafił niedawno do Apple TV+. Jego reżyserem jest Davis Guggenheim, zdobywca Oscara za dokument „Niewygodna prawda”, współtwórca wielu seriali i filmów, a także reklamówek wyborczych Bidena i Obamy. Tu na szczęście nie zajmuje się polityką, lecz oddaje głos swojemu zwykłemu niezwykłemu bohaterowi. To zresztą jest kluczowe dla tonacji filmu i dla wzruszeń, które towarzyszą nam podczas seansu. Zwykle takie opowieści robi się wedle schematu „nagrywamy 30 sławnych ludzi i wytnijmy trochę ciekawych kawałków – jakoś się to potem sklei”. W opowieści o Foxie najważniejszy jest Fox, własnymi słowami malowany, a jego opowieść doskonale zilustrowano archiwalnymi klipami nie tylko z filmów. Są rodzinne archiwa i filmiki z dzieciństwa oraz młodości – nie uwierzycie, jakim Michael był za młodu mikrusem.

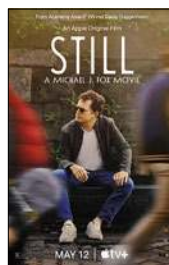
Sporo wcześniej pisałem o symbolach dobrych czasów, ale przecież nie byłoby światowego sukcesu Michaela J. Foxa bez Michaela J. Foxa. To jego chłopcę urok i charyzma sprawiły, że trylogia „Powrót do przyszłości” (i nie tylko ona) tak łatwo znalazła drogę do serc milionów widzów. Od chwili, gdy ujrzeliśmy Foxa na ekranie, wiedzieliśmy, że to równy gość – i, co najważniejsze, nie myliliśmy się, co wcale nie jest w przypadku Hollywood takie oczywiste. Kroniki fabryki snów pełne są postaci, które na ekranie czarowały chłopięcym urokiem, jasnym spojrzeniem i aparycją wymarzonego zięciunia, podczas gdy w rzeczywistości były postaciami wyjątkowo mało kryształowymi. Fox ma swoje za uszami, ale daleko mu było, nawet w burzliwych latach 80., do głośnych czarnych legend Hollywood. A ostatnie trzy dekady jego życia to nieustanna walka: o utrzymanie

rodziny, o przedłużeniu szans na normalne funkcjonowanie, o zagranie jeszcze jednej roli. Mówi o tym wszystkim, patrząc prosto na nas, tzn. wprost w kamerę, a my w oczach schorowanego gwiazdora widzimy ten sam błysk, to samo ciepło, tą samą figlarność, co przed laty. I to jest z jednej strony bardzo budujące, a z drugiej łamię nam serce, bo widzimy, jak zżerane parkinsonem ciało zdradza właściciela, którego umysł pozostaje bystry jak niegdyś.

Ci, którzy mieli okazję czytać książki Michaela J. Foxa, poznali już trochę kpiarski, trochę melancholijny ton, którym zwykł opowiadać swoją historię. Napisał cztery; dwie z nich ukazały się po polsku. Oprócz wspomnianej już „Nie ma jak przyszłość” przełożono też tom „Nieuleczalny optymista. Zawsze patrząc w górę” (wydanie polskie 2010). „Choroba Parkinsona pochłonęła moją karierę i, w pewnym sensie, stała się nową karierą” – pisał w niej aktor. Fox żartuje czasem, że choroba pozwoliła mu stać się lepszym aktorem, bo miał skłonność do nadmiernej ekspresji – teraz problem jest rozwiązany, gdyż część mięśni pozostaje nieruchoma. Oto rzeczywistość manifest nieuleczalnego optymisty!

HEROICZNY BÓJ

Ale spójrzmy na fakty i docermy także jego heroiczny bój, by ze sceny nie schodzić: w roku 2000 z powodu nasilających się symptomów choroby musiał zrezygnować z występów w politycznym sitcomie „Spin City” (po czterech znakomitych sezonach). Wydawało się wtedy, że kariera Foxa definitywnie dobiega końca. A teraz spójrzmy na datę,



DAVIS GUGGENHEIM „NIEUSTANNIE. HISTORIA MICHAELA J. FOXA” APPLE TV 2023

która wyznacza moment jego rzeczywistego wycofania się z zawodu – ni mniej, ni więcej, tylko rok 2021. Oznacza to, że od chwili diagnozy do momentu odejścia z zawodu minęło 30 lat. W ostatniej dekadzie kariery zdążył jeszcze być gospodarzem i gwiazdą „Michael J. Fox Show” oraz zagrać w kilku odcinkach serialu „Designated Survivor”. Już w 2020 r. z powodu kłopotów z mówieniem ogłosił, że rezygnuje. Rok później użyczył głosu twórcom animowanej krótkometrażówki „Back Home

Again”. I to koniec. Na razie?

Postawiłbym „Nieustannie” na półce obok wstrząsającego dokumentu o Robinie Williamsie „Dzień dobry, Robin”, ukazującego ostatnie miesiące życia uwielbianego komika, oraz obok filmu, który o umieraniu własnego ojca nakręcił niedawno Robert Downey Jr. (nosił tytuł „Sr.”). Ten pierwszy dotyczył tematu podstępnej choroby nie do pokonania, ten drugi pokazywał rozpacz rodziny w obliczu śmierci patriarchy. Opowieść o Michaelu J. Foxie jest równie intensywna, gdy idzie o emocje, ale zarazem bardziej optymistyczna, bo to jednocześnie krzepiące kino o rodzinie.

Fox poznał Tracy Pollan na planie sitcomu „Family Ties”. W sezonie czwartym, kręconym w roku 1985, grała jego dziewczynę. On miał lat 24, ona była o rok starsza. Nie od razu wyszedł z tego związek. Zaczęli się regularnie spotykać dopiero na planie filmu „Bright Light, Big City” (1988) i też początkowo nie wyglądało na to, by mogło wyjść z tego coś stałego. Tracy słynęła w Hollywood z pięcioletniego związku z Kevinem Baconem, Michael zaś jako gość mocno imprezowy. Ślub wzięli 16 lipca 1988 r. Trzy lata później aktor usłyszał od lekarza diagnozę i zaczęło się prawdziwe życie, to znaczy czas prawdziwych wyzwań. Są razem do dziś. Mają czworo dzieci. Zobaczycie rodzinę Foxów w filmie. Warto.

Przeglądając książki Michaela i rozmaite wywiady, których udzielał w ostatnich latach, zastanawiałem się nad tym, którym przesłaniem Foxa zakończyć. Najważniejsze jest chyba takie: „Akceptacja nie oznacza rezygnacji”.



Michael J. Fox z Tracy Pollan FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Dzięki, Sergio!



★★★★★
REŻ. FRANCESCO ZIPPEL
„SERGIO LEONE – WŁOCH, KTÓRY WYNALAZŁ AMERYKĘ”
(„SERGIO LEONE – L'ITALIANO CHE INVENTÒ L'AMERICA")
WŁOCHY 2022

Żaden sukces nie jest gwarancją artystycznej wolności. „Nazywam się Sergio Leone i kręcę za długie filmy, które trzeba skracać” – kpił reżyser, który przez całą karierę zmagał się z nieprzychylnością krytyków i nieufnością producentów. Mimo że każdy jego film kochali widzowie i niemal każdy przynosił wielkie wpływy. W dokumentalnej opowieści „Sergio Leone, Włoch który wynalazł Amerykę” znakomity twórca wreszcie się doczekał odpowiedniego hołdu. Kogóż tu nie ma! Wspominają go – i analizują jego dorobek – Quentin Tarantino, Martin Scorsese, Steven Spielberg, Clint Eastwood, Giuseppe Tornatore, Ennio Morricone – długo by wymieniał. Są i goście spoza

świata kina, np. legenda współczesnego komiksu Frank Miller. A także rozmówcy zaskakujący, bo oto słyszymy z ust legendy kina akcji z Hongkongu, którym jest Tsui Hark, że jego filmy, które inspirowały twórców w Hollywood, były z kolei inspirowane właśnie przez dzieła Sergio Leone.

Film Francesca Zippela rozszerza to, co mogliśmy kilka lat temu oglądać we francuskim dokumencie „Sergio Leone. Portret buntownika” (2018), koncentrując się nie na sprawach biograficznych, ale na głębokiej fascynacji Ameryką i amerykańskim mitem. Leone był zakochany w westernach oglądanych za młodu, potem rozczarowany przyziemnością amerykańskich żołnierzy okupujących Włochy, ale zawsze

skySHOWTIME

zafascynowany potęgą amerykańskiego mitu. Stał się także tego mitu najbardziej wpływowym dekonstruktorem w swoich ostatnich filmach: „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie”, „Garść dynamitu” i „Dawno temu w Ameryce”.

Fascynujące jest, jak różne rzeczy w dziełach Leone odnajdują rozmówcy Zippela. Spielberg szuka dziecięcych wzruszeń, Tarantino wskazuje trylogię z Eastwoodem jako mistrzowskie kino gatunków, odmiennymi fascynacjami dzieli się Darren Aronofsky czy Damien Chazelle, widzimy unikatowe archiwalne zdjęcia współpracujących Leone i Morricone. No i trudno się nie wzruszyć, gdy Jennifer Connelly wspomina ze łzami w oczach, jak mając lat 11, przeżywała swój pierwszy pocałunek (nie tylko ekranowy) na planie „Dawno temu w Ameryce”, a Robert De Niro mówi, że miał wrażenie, jakby Sergio nie chciał nigdy zakończyć prac nad tym filmem, bo wiedział, że to jego pożegnanie. ©



NOWE SERIALE: „SILOS”

Amerykańska dystopia: w gigantycznych silosach pod ziemią żyją niedobitki ludzkości. Na zewnątrz przetrwanie jest niemożliwe. A może to wszystko nie jest prawdą? Może władcy kłamią? Kto pamięta „Seksmisję” albo „Miasto na górze” Bułyczowa, nie będzie zasko-

czony. Ale Amerykanie – tak. Serial na podstawie serii popularnych powieści Hugh Howeya, która była jednym z wielkich hitów self-publishingu. ©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Silo” („Silo”), USA 2023

Apple TV+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „Gangi Londynu” („Gangs of London”), Wielka Brytania 2022
- miniseria „Miłość i śmierć” („Love & Death”), USA 2023
- sezon 1 „Fatal Attraction”, USA 2023

CANAL+ ONLINE

net max

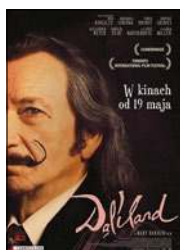
skySHOWTIME

Cieężko być Dalim

KINO

Błazen czy geniusz? Mimo upływu lat autor „Wielkiego masturbatora” pozostaje postacią enigmatyczną i jego filmowy portret wątpliwości nie rozproszy. W interpretacji Bena Kingsleya Dalí to złotyusty narcyz i hipochondryk, który mówi o sobie w trzeciej osobie, stroży wąsy, tańczy, krytykuje abstrakcjonizm i dyryguje wiatrem. Bardziej od malowania kręca go dionizyjskie bankiety. Tylko Gala potrafi zmusić małżonka do pracy. Mistrz jawi się stuprocentowym pantoflarzem, ale bywa zazdrosny o kochanków swej najważniejszej muzy. Oboje panicznie boją się starości. Blichtr dworu króla surrealistów oglądamy oczami zafascynowanego nim młodzieńca. James, pracownik

nowojorskiej galerii o twarzy anioła i ciele św. Sebastiana, ma pecha. Panowanie Dalego nad umysłami Amerykanów wchodzi bowiem w schyłkową fazę. Krytycy przestają go traktować poważnie, a niektórzy twierdzą nawet, że ogłupia ludzi.



★★★★★

REŻ. MARY HARRON
„DALÍLAND”
USA/WIELKA BRYTANIA/ FRANCJA 2022

wyst. Ben Kingsley, Christopher Briney, Barbara Sukova

Mary Harron odrobiła lekcje, w miarę rzetelnie przedstawiając sytuację artysty w latach 70. minionego wieku. Retrospekcje mogła sobie darować, początki wspólnego życia Gali i Salvadora, opisane po wielokroć, niczego istotnego do fabuły nie wnoszą. Poza tym filmowi brakuje odrobiny szaleństwa. Przecież gdyby Dalí był zdrow na umyśle, jeszcze przed wojną nawróciłby się na komunizm jak inni surrealiści. ©



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

KOCIE RUCHY

KINO

Zachodni Europejczycy wybili rysie w XIX w., teraz jednak zabiegają o ich restrykcję, drapieżne koty są bowiem bezkonkurencyjne „w dziele regulowania populacji leśnych roślinożerców”. W pierwszej kolejności polują na jednostki chore i słabe. obrońcy praw zwierząt, o dziwo, nie protestują. W pierwszej scenie filmu ryś, wypuszczony z klatki, jak strzała pędzi w stronę lasu. Jakimś cudem francuskiemu fotografowi udaje się wielokrotnie zbliżyć do tak czujnych stworzeń, przy okazji podgląda też ich rywali i potencjalne ofiary. Goslin kibicuje rysiom, wciągając go ich życie rodzinne tudzież walka o przetrwanie („dolina zamieszkuje gatunek, który nie ma skrupułów”). Szwajcarska Jura i bez fauny prezentuje się pięknie, zwłaszcza w zimowej porze lub gdy opadają poranne mgły.

Jedynym dysonansem jest narracja. Goslina dubbinguje Krystyna Czubówna. Tylko czekać, aż Królowna Śnieżka przemówi basem. ©



★★★★★

REŻ. LAURENT GOSLIN
„RYŚ. KRÓL PUSZCZY” („LYNX”)
FRANCJA/ SZWAJCARIA 2021

TRZY GWIAZDKI

skySHOWTIME

Reaktywacja formatu, świeżącego triumfu w epoce Reagana, przyprawiona włoszczyzną. Dziennikarz w stanie spoczynku wpada na trop skradzionych arcydzieł, ale ktoś wrabia go w morderstwo. Fletch daje się lubić: detektyw z niego kiepski, wojownik żaden. Braki nadrabia bezczelnością, optymizmem tudzież wiarą w swój męski urok oraz inteligencję. Poziom zadowolenia z usług wycenia w gwiazdkach (pięć to maksimum). Operacja przeszczepienia staroświeckiego schematu w realia XXI w. powiodła się częściowo. Pacjentowi humor dopisuje, z gracją uprawia słowną szermierkę, lecz fabuła wyraźnie kuleje. Scenarzyści skupili się bowiem na mnożeniu charakterystycznych postaci. Poczet ekscentryków otwiera wiecznie zaspany policjant, a zamyka marszand cierpiący na germafobię. Tego ostatniego gra siwiutki jak gołąbek Kyle MacLachlan. Czas ucieka, wieczność czeka. ©



★★★★★

REŻ. GREG MOTTOLA
„PRZYZNAJ SIĘ, FLETCH” („CONFESS, FLETCH”)
USA 2022

wyst. Jon Hamm, Lorenza Izzo, Ayden Mayeri

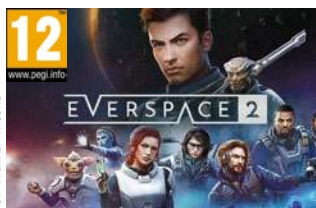
Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „EVERSPACE 2”

Czasem jabłko spadnie dalej od jabłoni, a w tym przypadku jest to fortunny upadek. „Everspace 2” to wyraźna zmiana formuły. Dostaliśmy kosmiczną strzelankę/RPG akcji z rozbudowanym (wszech)światem, który trzeba i chce się eksplorować. A mamy czym to

robić, bo do naszej dyspozycji oddano kilka typów statków kosmicznych, które możemy też nieco odpocząć. Grafika robi wrażenie, międzygwiazdne podróże są bardzo przyjemne. Fabuła? Nie najgorsza. Jesteśmy klonem pilota, na którego poluje cała flota. Oczywiście

FOT. MATERIAŁY PRACOWNE



★★★★★

wplątujemy się w dodatkowe tarapaty. Gra na razie tylko na PC, ale latem wleci też na konsolę. ©

Radosław Wojtas
• **Gatunek:** Akcji, RPG
• **Platforma:** PC
• **Producent; wydawca:** Rockfish Games

KRZYSZTOF
MASEŃ

MOJA PÓŁKA

„Łyssy” na Czerniakowie

Tym razem akcja powieści lwowskiego cyklu Marka Krajewskiego toczy się w miedzywojniu nie tylko na Łyczakowie i Kleparowie, lecz także w stolicy, i to nie tylko w Śródmieściu, lecz także na Powiślu czy Czerniakowie. A Warszawa cała jest tu z literatury. Mamy bowiem i Pałac Saski, i czerniakowską knajpę U Bandyty, natychmiast przypominającą Stanisława Grzesiuka i jego „Boso, ale w ostrogach”. To nie pretensja ani przytyk. W końcu klimatów lwowskich też szukać trzeba w Towarzystwie Weteranów, czyli naprawdę w tekście popularnej piosenki. Tak że i w Warszawie obecność obowiązkowej „Czarnej Małki” jest usprawiedliwiona.

Zaskakująco ubogo przedstawia się za to w „Pasożycie” przedwojenna stołeczna gastronomia, a właściwie serwowane przez nią dania. Niewykluczone jednak, że winę ponosi tutaj bohater Krajewskiego, czyli komisarz Edward Popielski „Łyssym” zwany, który na okrągło wtrącał galaretę z nówek z lwowska studzieniną zwaną, co budzi u warszawiaków zdziwienie z rozbarwieniem pospołu.

Wydawca reklamuje „Pasożyta” jako „jedną z najlepszych powieści w cyklu o Popielskim”. Jest to zabieg promocyjny. Cały cykl liczy już teraz 12 pozycji i nie ma sensu zastanawiać się, czy „Erynie” były lepsze od „Głowy Minotaura”, a „Rzeki Hadesu” od „Liczb Charona”. I jak w tej serii książek, będącej drugą obok cyklu o Eberhardzie Mocku pisarską wizytówką Marka Krajewskiego, sytuuje się „Pasożyt”? Powiedzieć można natomiast, i to z pełnym przekonaniem, że najnowsza powieść tego autora z „Łyssym” w roli głównej bardziej trzyma się faktów historycznych

niż inne tytuły serii i zdecydowanie więcej jest w niej polityki. Zwłaszcza odniesień do wywiadowczych działań podejmowanych w II Rzeczypospolitej wobec Sowieców i do wewnętrznych problemów polsko-ukraińskich. Jedne i drugie w kontekście toczącej się za naszą wschodnią granicą wojny wcale nie wydają się wyłącznie historyczne. A do niewesołych refleksji skłania list wysłany do komisarza Popielskiego przez jego ukraińskiego kolegę ze stanisławowskiego gimnazjum, rozpoczynający się tak: „Edwardzie! JW. Panie Policjancie Popielski! Stróżu prawa Najjaśniejszej Rzeczypospolitej – oby szczęzał!”. I tylko trochę łagodzi wymowę tych słów zakończenie korespondencji: „Życzę Twojej ojczyźnie wszystkiego najgorszego, ale Tobie samemu – cóż mam życzyć? Napisze te życzenia w języku tak niegdyś nam bliskim, którym mówiły nasze i wasze elity, i nasz Chmielnicki, i wasz Czarniecki, w języku dawnej Europy, skąd Moskale i was, i nas usiłowali wyrwać. Vale, Eduarde!”.

Ciekawe są powieściowe postaci z tła, np. taki artysta malarz Barski, w istocie agent komunistyczny. Jego modernistyczne obrazy cieszyły się dużym zainteresowaniem, a „najczęstszą tematyką olejnych płócien były kubistyczne, wykrzywione wnętrza hut i walcowni, pełne gorejących pieców, gdzie wśród płomieni uśmiechały się kusząco do oglądającego nagie, potężne kobiety. Każda z nich miała jakiś defekt – a to brak nogi, a to pół spalonej twarzy, a w najlepszym razie rozlewający się ciemną ropą ogromny wrzód na łopacie.

Krytycy doszukiwali się w tych płótnach treści psychoanalitycznych, a nabywcy – najczęściej bogaci miłośnicy dekadencji – wizji

końca mieszczańskiego świata niszczonego przez radosną i silną rewolucję orgii i ludowego rozpamiętania”.

Mamy w „Pasożycie” i niespodzianki. Czujący się w środowisku kryminalnym jak ryba w wodzie, pomysłowy i przenikliwy śledczy, a w życiu prywatnym amator uciech cielesnych z hojnie opłacanymi przedstawicielkami najstarszego zawodu świata, nieoczekiwanie zupełnie nie sprawdza się „Łyssy” w łóżku właśnie. „Zdradzenie męża z fajtlapą to jak picie taniego wina na szkolnych wagarach. Nieudanych wagarach. Zapowiadało się wybornie, a potem bura w domu i niesmak w ustach” – podsumuje go kochanka.

Cóż mu pozostaje, jak nie oddać się innym swoim ulubionym zajęciom. Choćby grze w szachy, a pod tym względem pobyt w Warszawie stwarzał Popielskiemu duże możliwości. I tak np. w cukierni na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej spotykali się reprezentanci Polski w tej królewskiej grze i komisarz ze Lwowa, nie tylko „jako widz, mógł podziwiać maestrię takich mistrzów jak Paulin Frydman, Leon Kremer czy Mieczysław Najdorf, ale również – za stosowaną opłatą pięciu złotych – mieć za przeciwnika samego Kazimierza Makarczyka, który w tymże lokalu rozgrywał partie symultaniczne”.

Takich smaków znajdujemy w „Pasożycie” multum i to one decydują o tym, jak odbieramy tę powieść. Jeśli gustujemy w podobnych wtrętach do głównej intrygi opowiadanej historii szpiegowskiej, to będziemy usatysfakcjonowani. Jeśli nie, to cóż, pozostaje opowieść, jak przedwojenna Dwójka zwalczała komunistyczną agenturę. Niestety, tylko do czasu skutecznie. ©



★★★★★
MAREK
KRAJEWSKI
„PASOŻYT”
ZNAK,
KRAKÓW 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nietoperz i wandale

Batman – zawsze tak uważałem – jest najciekawszy z nich wszystkich. Wicie, o kogo chodzi: niezliczone zastrępy superherosów w czasach mocno dziwnych kostiumach, którzy po długim życiu na łamach komiksów dokonali inwazji na kino. Batman nie jest ani przybyszem z kosmosu, ani czarodziejem; nie ugryzł go radioaktywny pajak, nie poddawano go nieludzkim eksperymentom. Gdy w filmie „Liga sprawiedliwości” ktoś pyta go: „Jakie są twoje supermoce?”, odpowiada: „Pieniądże”. To oczywiście tylko kawałek prawdy. Bruce Wayne jest mścicielem na wskroś ludzkim, stał się tym, kim jest, dzięki uporowi, dzięki katorżniczemu samodoskonaleniu. Jest postacią i symboliczną, i głęboko ludzką, bo ma swoje traumy, ma poranioną psychikę. W wojnie postu z karnawałem jest symbolem tego pierwszego. Ma wyniki, ale nigdy nie zdoła oczyścić stajni Augiasza, którą jest świat. Nikt tego nie dokona. Jest więc Batman także postacią tragiczną.

Książka Michała Chudolińskiego o mrocznym rycerzu to owoc wieloletniej fascynacji autora postacią Batmana. Ma swoje wady i zalety. Jest to składak z wcześniejszych tekstów rozproszonych,

ale z drugiej strony – wzbogacony o bardzo obszerną część czysto informacyjną o postaciach z uniwersum Batmana. Mieszą się tu perspektywy (trochę jak w biografii Alfreda Szklarskiego, którą niedawno recenzowałem): autor raz brzmi bardziej jak fan, a raz – jak badacz. Ja jestem na tak, bo bardzo cenię sobie książki porządkujące naszą wiedzę o popkulturze (w tym temacie: z zacięciem czytałem pracę Dawida Przywałego „Mit Batmana jako obraz współczesnej Ameryki”).

Docenić trzeba też pasję, z jaką Chudoliński broni Batmana przed współczesnymi dekonstruktorami. Najlepiej skrojone postacie superherosów okazywały się archetypami, ich cechy i wybory często odzwierciedlały istotne elementy naszej psyche. Dziś, z wymogów politycznej poprawności, z żądy przypodobania się modnym ideologiom twórcy filmów i komiksów nicują stare kody kulturowe, rozwalają je, odwracają znaczenia.

„Wandalizm kulturowy osiągnął także postaci Batmana, do czego dodatkowo przyczyniły się postępujący wpływ kultury ofiar i kultury terapeutycznej, jak również czynniki biologiczne” – pisze Chudoliński z troską, z pasją, z przestrożą. ©



★★★★★
MICHAŁ CHUDOLIŃSKI
„MRO CZNY RYCERZ GOTHAM. SZKICE Z KULTURY POPULARNEJ”
UNIVERSITAS 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

U kresu życia Stephen Hawking doszedł do wniosku, że jego teoria ewolucji wszechświata była błędna. Czym ją zastąpił i jak tę zmianę argumentował? Opowiada jego bliski współpracownik.



THOMAS HERTOG
„O POCHODZENIU CZASU”
ZYSK I S-KA

Po serii znakomitych tytułów non-fiction pora na przypomnienie, że Didion była też niechętną prozatką. Jej najbardziej znana powieść to ponury portret życia nie tylko w Hollywood.



JOAN DIDION
„GRAJ JAK SIĘ DA”
GRUPA WYDAWNICZA RELACJA

O wszystkim można opowiedzieć, nawet o zestawie ulubionych koszulek. Felietony autora „1Q84” nie są specjalnie porywające, ale niektóre intrygują. Jak opowiedzieć o tym, skąd wziął się Tony Takitani.



HARUKI MURAKAMI
„MOJE UKOCHANE T-SHIRT”
MUZA

Jeden z najbardziej charakterystycznych głosów muzyki pop, gwiazda, o której wciąż wiemy niewiele. Publikacja biografii pióra Toma Doyle’a zbiega się z renesansem jej popularności.



TOM DOYLE
„KATE BUSH W 50 ODŚLONACH”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „ALICJA W KRAINIE CZARÓW”

Adaptacja słynnej opowieści Lewisa Carrolla wpisująca się w nurt jej łagodzenia, dostosowywania raczej do gustów młodszej publiki. A przecież jest to historia dużo mądrzejsza i mroczniejsza, niż się wydaje. Niemniej docenić wypada w adaptacji Russella Puntera świetne ilustracje autorstwa Simony Bursi. Inna



RUSSELL PUNTER, SIMONA BURSI
„ALICJA W KRAINIE CZARÓW. POWIEŚĆ GRAFICZNA”
WILGA 2023

sprawa, że jeśli chodzi o kreowanie klimatu słodkiego koszmaru, to nikt nie doścignął twórcy oryginalnych ilustracji Johna Tenniela.



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wystawa **bardzo muzealna**

Dzieła Marca Chagalla, Francisca Goi, Meli Muter, Wojciecha Weissa, Stanisława Wyspiańskiego; prace najwybitniejszych polskich artystów współczesnych, m.in. Zuzanny Janin, Grzegorza Kowalskiego, Zofii Kulik, Teresy Murak i Aleksandry Waliszewskiej... Łącznie 123 dzieła, wyselekcjonowane spośród obiektów, które Muzeum

Narodowe w Warszawie zakupiło w latach 2017–2022. – Wystawa najbardziej muzealna, jak tylko być może – mówi o ekspozycji „MNW kolekcjonuje. Zakupy z lat 2017–2022” Łukasz Gawęł, dyrektor MNW.

Podkreślmy, to nie dary. Im poświęcona ma być osobna wystawa. – To są nowe nabytki, zakupy możliwe dzięki środkom finansowym przekazanym na ten cel z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – mówi dyrektor Łukasz Gawęł. Wiele dzieł zakupiono przy okazji dużych wystaw monograficznych organizowanych w MNW. Różnorodność znaczna. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Warszawie
KIEDY? do 27 sierpnia



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



FOT. MACIEJ NIECKOMI WYBLINIE

RÓŻNORODNOŚĆ WRÓBLEWSKIEGO

Przekrojowa wystawa prac Andrzeja Wróblewskiego (blisko 100 obrazów i szkiców) i korespondujące z nią dzieła uznanych artystów można oglądać na Zamku Lubelskim. „Celem wystawy jest pokazanie przekroju jego twórczości – od wczesnych prac abstrakcyjnych, poprzez dzieła z cykli »Szoferzy« i »Rozstrzelania«, aż do późnych prac, wykonywanych często na papierze, delikatnych studiów życia codziennego, wpisanych w rozruch i egzystencjalny nastrój okresu odwilży” – piszą organizatorzy. ©©

GDZIE? Zamek Lubelski
KIEDY? do 27 sierpnia

NA SŁUCH

Keep on **rocking!**

Najstarszy, aktywny brytyjski rockman (84 lata) wydał najnowszy album ze znakiem wytwórni, która dała światu m.in. Elvisa Presleya i Johnny’ego Casha. Co więcej, do studia zaprosił plejadę wybitnych muzyków z zespołów Wilco, ZZ Top, Aerosmith, Guns N’ Roses, Stone Temple Pilots oraz Ringo Starra, Todda Rundgrena i Jeffa Becka!

Ian Hunter zdobył sławę jako lider zespołu Mott The Hoople, który u nas nie miał szczęścia do prezenterów radiowych. Natomiast polski plastyk, Rostław Szaybo, zaprojektował okładki najpopularniejszych albumów grupy. MTH przeszedł do historii dzięki przebojowi „All The Young Dudes”, który dla grupy napisał David Bowie.

Hunter jako solista nie odnosił spektakularnych sukcesów, ale nagrywał świetne płyty. Najnowszy album będzie świętem dla wszystkich, którzy tęsknią za dniami rockowej chwały, kiedy gitarowe riffy wywoływały ciarki na ciele. Ian z przekonaniem wykrzykuje: „Jestem tu po to / by cieszyć się tym”, a jego kompani z radością uczestniczą w tej zabawie, o czym mogą świadczyć solówki Slasha, Mike’a Campbella i Jeffa Becka. Dla tego ostatniego były to ostatnie sesje przed niespodziewanym odejściem do rockowego panteonu.

W tym roku ukaże się druga część tego rockowego „oporu” z udziałem równie znamienitych gwiazd z minionych czasów. ©©



GRZEGORZ BRZozowicz



★★★★★
IAN HUNTER
„DEFIANCE
PART 1”
SUN RECORDS



★★★★★
ANDRZEJ ZAUCHA
„DWA KROKI
W CHMURACH”
GAD

Materiał zarejestrowano w latach 1979–1987. Połowa piosenek pochodzi z albumów składankowych, druga nigdy nie była publikowana. Utwory są utrzymane w typowym dla naszej estrady soulowo-jazzowym sosie. Teksty śmieszne były wtedy, za to wokół wciąż brzmi jak dzwon.



★★★★★
SZUM
„GOODBYE
AMSTERDAM”
SZUM RECORDS

Pierwszy album grupy nagrany bez tragicznie zmarłego Roberta Brylewskiego. Utwory są stonowane, ciekawie zaaranżowane (świetne wibrafon i marimba), jednak monotony wokół Konrada Januszka sprawia, że słuchanie płyty z czasem staje się nużące. ©©



Krzysztof Masłoń

Eurowizję szczęśliwie mamy z głowy, skupić się możemy teraz na Sopocie i telewizji Polsat

Artystom to żyje się śpiewając – i dosłownie, i w przenośni. Zwykły człowiek nie liczy lat swojej pracy ani też jemu ich nie liczą. Chyba że do wysługi lat przed emeryturą. Bo i też czym się chwalić, a i na co uważać: że już 10 lat zasuwa się na budowie albo od pięciu siedzi na kasie w tym samym sklepie? Z takiej okazji to najwyżej flaszkę można rozpić, za którą zresztą samemu trzeba będzie zapłacić, tak że zysk wydaje się mocno wątpliwy.

Co innego artyści! Na festiwalu w Sopocie, który stał się Polsatowy, i nie w sierpniu, jak tradycja nakazywała, odbędzie się już w tym tygodniu, swoje jubileusze święcić zamierza – i Bajm z Beatą Kozidrak, i Golec uOrkiestra, i zespół IRA, a nawet Maciej Maleńczuk tuż obok, to nie żart, Zespołu Pieśni i Tańca Mazowsze. Ten pierwszy jest już na scenie lat 40, tylko pięć mniej od Bajmu, a Mazowsze lat 75. Hej, przeleciał ptaszek...

Zespół z Karolina solidnie sobie na jubileusz, choćby i Polsatowy, zapracował, czego raczej nie da się powiedzieć o Dawidzie Kwiatkowskim, świętującym swoje 10-lecie sceniczne. Kto jednak zabrania hucznie obchodzić i skromniejsze jubileusze? A Polsat Superstar Festiwalowi, bo tak brzmi jego nazwa w pełnej krasie, też stuknęło w tym roku lat 20, tak że organizatorzy byli, jak widać, otwarci na wszelkie propozycje, nazwijmy je,

benefisowe. W związku z tym nie mogę się już doczekać jubileuszowego sopockiego porykiwania, które jednak okazać się może nie aż tak odświeżające, jak wskazywałyby na to okoliczności, jako że w naszym pięknym kraju benefisy udają się wyłącznie w Krakowie.

Z gwiazd sopockiej imprezy bowiem jakoś najbardziej wbił się w pamięć piewcy z kraju wyjątkowo miłującego pokój (tak mocno, że aż strach), że przypomnę tylko Tamarę Miansarową, Ałłę Pugaczową czy Muslima Magomajewa. W Polsatowym wcieleniu Sopot przestał być międzynarodowy, co może i lepiej. Ale czy popisy anonsowanych jako supergwiazdy Maryli Rodowicz, Edyty Górniak i innych naszych ulubieńców(?) dostarczą nam aby jakichkolwiek emocji? Zwłaszcza gdy będziemy je porównywać do tych, które przyniósł Konkurs Piosenki Eurowizji, bo nad tym, co się działo w M&S Bank Arena w Li-

verpoolu, przejść do porządku dziennego nie jest łatwo.

Oczywiście całą tę imprezę, w której – jak można się było spodziewać – nasza Blanka, skądinąd Stajkow, zajęła nieszczególnie eksponowane miejsce, mianowicie 19., można by podsumować jednym zdaniem, że brać udział w podobnym szajsie to i grzech, i wstyd, z którego to założenia już parę lat temu wyszli Węgrzy, odmawiając udziału w eurowizyjnych popisach wyjców w tęczowych barwach. My jednak z uporem godnym lepszej sprawy corocznie spieramy się o to, kto ma machać białoczerwoną chorągiewką przed kamerami Eurowizji, licząc na cud, którym byłoby konkursowe zwycięstwo, ponoć oczekiwane przez Polaków na wzór łaknącej dżdżu kani. Jak twierdzą osobnicy mieniący się specjalistami, gwarantować to miałby niejaki Jann, wykołegowany niestety przez silne lobby lansujące wyżej wymienioną



Blankę. Jest to oczywiście piramidalna głupota, bo od początku wygrać miała Loreen, mająca w ręku wszelkie atuty, z biseksualnością na czele, a do tego dzięki jej wygranej za rok konkurs Eurowizji przeprowadzony zostanie w Szwecji, akurat 50 lat po wiekopomnym triumfie w tej imprezie Abby. Niektórzy powiadają, że „Waterloo” w wykonaniu tego legendarnego kwartetu było ostatnią ładną eurowizyjną piosenką, co już jest pewną przesadą.

Z konkursowych koncertów w Liverpoolu (o zgrozo, mieście Beatlesów!) zapamiętałem głównie płasy drag queen, czyli – mówiąc wprost – chłopów przebranych za baby, mało efektowną bieliznę osobistą frontmana chorwackiej grupy Let 3, wykonującej utwór będący podobno zjadliwą krytyką Putina z Łukaszenką pospołu, jako że opowiadający o mamie, która kupiła traktor, no i zwróciłem jeszcze uwagę na geja z Belgii roniącego ze wzruszenia łzy niczym Szymon Hołownia.

Ale że Eurowizję szczęśliwie mamy z głowy, skupić się możemy teraz na Sopocie i telewizji Polsat, w której właśnie też obchodząca jubileusz 40-lecia pracy przed kamerą Katarzyna Dowbor pożegnała się, po 10 latach, z programem „Nasz nowy dom”. Nawiasem mówiąc, nie kto inny, jak jej syn – Maciej Dowbor – wraz z Karoliną Gilon poprowadzi inauguracyjny koncert sopockiego festiwalu Polsatu. A kolejne remonty zrujnowanych domostw firmować ma odtąd aktorka Elżbieta Romanowska. I ona ma szansę doczekania się benefisu, który z pewnością jej nie minie. A my będziemy przeszczęśliwi, bo bez okrzyku: „O Jezu, zmywarka!” życie nasze stałoby się o ileż mniej kolorowe. ©

Tęczowa US Army



Wojciech Golonka

Revolucja nigdy nie żartuje: doszczętna przemiana społeczeństwa na genderową modłę postępuje swoim tempem, zataczając coraz szersze koła, dotykając tym razem ostoi społecznego konserwatyzmu i tradycji, którą naturalnie była amerykańska armia

Zakrawające na obsesję rozkazy wydawane dowódcom wojskowym w kwestii przydziału toalet personelowi armii w zależności od afirmowanego genderu mogłyby równie dobrze posłużyć za materiał do przygód wojaka Szwejka w dobie współczesnej. Rzecz mogłaby być zresztą skwitowana właśnie jako cyrk tudzież absurd, ale bez większego znaczenia, który najlepiej obnażać kpina i humorem. Tymczasem przyglądając się jej z pewną dozą uwagi, do śmiechu aż tak bardzo już nie jest, rozbawienie ustępuje miejsca zdziwieniu, które rodzi z kolei zaniepokojenie – wszak kazuistyka toaletowa dotyczy naszego głównego militarnego sojusznika, który z właściwym sobie zapałem poświęcił się kwestiom równouprawnienia osób transpłciowych w amerykańskich siłach zbrojnych...

W końcu zaniepokojenie może zrodzić nawet trwogę, jeśli uzmysłowimy sobie, że ta zabawa w kolejne polityki równościowe, zahaczające tym razem o wojskowe pisuary, sedesy i prysznice, jest w rzeczywistości przejawem nieubłagalnego postępu rewolucji, z jej żelazną logiką, dla której onegdajszy świat, uważany

przez nas nie tyle za ideał, ile za pewną normalność, stanowi przejaw nieznośnego ucisku, zatem wroga do odstrzału. A z drugiej strony można by, a nawet należałoby ripostować: Po co w ogóle, w trakcie wojny za naszą granicą, w której stoimy ramię z ramię z wujkiem Samem, wojny, od której przecież tyle, jak się mówi, zależy, podnosić mogące ten sojusz osłabiać kwestie? Owszem, temat jest, ale jest on przede wszystkim właściwy dla sporów amerykańskiej polityki wewnętrznej; rzeczywistość jest on, przyznajemy to, naznaczony pewną obsesją, ale rzecz ma przecież miejsce już od dłuższego czasu, a i tak pozostaje wciąż marginalna sama w sobie, a poza tym jest ona znikoma z punktu widzenia korzyści naszego sojuszu militarnego z Ameryką, niezależnie od jej fanaberii chwili, które przecież i tak nie mają jakiegokolwiek konkretnego przełożenia na nasze własne realia. Po co zatem podważać ten sojusz poprzez sztuczne wywołanie frontu światopoglądowego w chwili, gdy przede wszystkim liczy się jedność w działaniu, przy całym zachodzącym na świecie pluralizmie zasad, na który i tak nie mamy wpływu i wobec które-

go musimy wykazywać się zdrowym pragmatyzmem?

ZASADY NIEPODLEGAJĄCE DYSKUSJI

Szczerze mówiąc, bardzo chciałbym, aby ten zarzut był w pełni słuszny: aby lęk przed osłabieniem naszych związków z Ameryką ze względu na tąpnięcia światopoglądowe był czymś rzeczywiste uzasadnionym. Tak, chciałbym, aby Polacy potrafili być do tego stopnia zazdrośni o swe obyczaje i przekonania, żeby obawiano się, że z ich powodu mogą nawet trzasnąć drzwiami przed nosem nietolerancyjnych wobec naszej tożsamości partnerów. Chciałbym, innymi słowy, aby nie dyskutowano o samych zasadach, które nie podlegają dyskusji, a o tym, czy rzeczywistość i w jakim stopniu winne one warunkować nasze sojusze międzynarodowe – oto kazuistyka z prawdziwego zdarzenia, bez wątpienia o wiele bardziej pasjonująca niż pochylanie się dowódców nad dylematami szeregowca, który dla dobra swego samopoczucia postanowił korzystać z żeńskich sanitariatów, niekoniernie rozstając się ze swymi męskimi genitaliami.



FOT. ADAM STOK

fundamentów obyczajowych, a jego poczynania coraz bardziej mogą kojarzyć się z osobliwymi wzorcami pokroju cesarza Heliogabala z początku III w. Tenże daleki pionier tęczowego ruchu nachalnie narzucał swą kulturę LGBT ówczesnemu Rzymowi, deprecjonując jednocześnie porządek obyczajowy i narodowe świętości; m.in. marzył o przeszczepieniu sobie żeńskich genitaliów, tak aby być w pełni żoną swego woźnicy i byłego niewolnika, którego traktował jak swego męża, oraz aby poczuć się chwilami kochanką kogoś popadnie, choć oficjalnie poślubił czynną westalkę, gwałcąc tym samym zasady rzymskiego dziewictwa sakralnego.

Ów zapomniany Heliogabal mógłby być zresztą ikoną i męczennikiem całej współczesnej tęczowej rewolucji, wszak jego własna babka Julia Maesa (szwagierka Septyma Sewera, po którego synach przejęła stery władzy), ratując swą skórę przed budzącą się reakcją znużonych tym zbrojnym pretorian, poświęciła go politycznie na rzecz swego innego wnuka, Aleksandra, a bezpieczeństwa stolicy imperium po prostu ukróciła Heliogabala i jego matkę o głowę. Z dużą dozą rezerwy...

O CO WALCZĄ USA?

Otóż adm. John Kirby, były rzecznik Pentagonu, a obecnie rzecznik amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, twarz w każdym razie powszechnie kojarzona z amerykańską armią, oświadczył w marcu z całą powagą, że walka o prawa osób LGBTQI+ jest podstawowym elementem polityki zagranicznej USA, tak „aby ludzie żyli tak, jak chcą żyć”... Aby zatem erotyczne marzenia każdego Heliogabala się spełniały. Choć USA były wówczas, tak jak teraz, w pełni zaangażowane w wojnę na Ukrainie, to nie było w tej deklaracji niczego zaskakującego względem dotychczasowej polityki administracji Białego Domu. Można bowiem przeczytać cytaty prezydenta Joe Bidena na stronie Departamentu Stanu poświeconej prawom osób LGBTQI+ na świecie: „Powinno być polityką Stanów Zjednoczonych, aby dążyć do zakończenia przemocy i dyskryminacji na gruncie orientacji seksualnej, tożsamości bądź ekspresji genderowej, tożsamości bądź ekspresji płciowej, i aby przewodzić siłą naszego przykładu sprawie szerzenia praw człowieka osób LGBTQI+ na świecie”. Nic zatem dziwnego,

że zbrojne ramię amerykańskiej potęgi, mające zapewnić skuteczność tak zdefiniowanej jej polityki zagranicznej, musi także świecić tęczowym przykładem, stąd zapowiedziane na wstępie tego artykułu reformy wewnątrz amerykańskiej armii, mające dostosować ją, tym razem, do potrzeb „osób transpłciowych”.

„Tym razem”, gdyż nie jest to „pierwszy raz”, ponieważ sam proces tej nowej rzeczywistości jest kilkuletny. Otóż wiele krajów zachodnich posiadało onekdaj formalne zakazy przyjmowania zadeklarowanych homoseksualistów w szeregi sił zbrojnych, stąd obserwowalna, począwszy od lat 90., masowa rewizja ówczesnych przepisów, czyniących poszczególne siły zbrojne krajów NATO (choć nie wszystkich i nie tylko w NATO) „gay friendly”. Nawiasem mówiąc, przepytalem na tę okoliczność w różnych językach sztuczną inteligencję ChatGPT i w zależności od tego, czy pytanie dotyczyło danej armii indywidualnie czy zbiorowo państw zachodnich, podawała ona sprzeczne daty reform dla poszczególnych krajów. W tej kakofonii danych jawił się jednak pewien wspólny mianownik dla wszystkich przypadków: dawny formalny zakaz pewnego dnia został sam zakazany, mniej więcej w tym samym przedziale czasowym dla

Zbrojne ramię amerykańskiej potęgi musi dziś także świecić tęczowym przykładem

różnych państw, a sztuczna inteligencja komentowała, że dana armia wciąż pracuje nad tym, aby jej regulaminy wewnętrzne odzwierciedlały prawa równości i niedyskryminacji tzw. osób LGBT.

I właśnie w ramach tej stałej „pracy” mniej więcej dwie dekady później doszliśmy do kolejnego etapu, tym razem oficjalnego otwarcia się na osoby transpłciowe: Hiszpania, Wielka Brytania, Australia, Austria, Czechy, Włochy, Belgia, Kanada, Szwajcaria – lista nie jest wyczerpująca – wszystkie te kraje, począwszy od Hiszpani w 2009 r., a na Szwajcarii w 2019 r. skończywszy, dokonały „mea culpa” w kwestii nieprzyjmowania do wojska

W każdym razie istnienie obawy, że poruszanie podobnego tematu osłabiałoby nasze sojusze, byłoby dowodem na przecenianie naszych zdolności, jako wspólnoty, do pryncypialnego podchodzenia do sprawy: dyżurni tropiciele ruskich onuc mogą zatem odpuścić sobie pokutę dalszej lektury mego jątżenia na oznaczenia toalet w amerykańskich koszarach, a ja sam nie zamierzam dokonywać wyłomu na wschodniej flance NATO, nawoływać do bojkotu amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego, kwestionować deklaracji o wiecznej przyjaźni wewnątrz obozu euroatlantyckiego; a jakby tych zapewnień i pozytywnej atmosfery było mało, za Mickiewiczem nawołuję i apeluję do wszystkich: Kochajmy się!

PRZYKŁAD ZAPOMNIANEGO CESARZA

Z pewną jednak dozą rezerwy... Albowiem to właśnie podczas wojny na Ukrainie jasno okazało się, że niezależnie od swej polityki mocarstwowej, jej uwarunkowań geopolitycznych i możliwych z nią korelacji naszych własnych interesów narodowych nasz kluczowy sojusznik skądinąd zupełnie odleciał w kwestii

osób po zmianie stanu cywilnego płci także w trakcie „tranzycji”. Co istotne, niektóre kraje, jak Belgia (2018 r.), Australia (2019 r.) czy Niemcy (2021 r.), zniosły także obowiązujący wymóg, aby taka osoba była po zabiegu „sterylizacji” – innymi słowy, osobą transpłciową w tych armiach może być de facto transwestyta, który nie wyzbył się właściwych dla swej biologicznej płci organów płciowych, ale zamierza występować w życiu jako płeć odmienna.

Stąd też cała kazuistyka, co począć z sanitariatami przewidzianymi dotychczas dla określonej płci biologicznej, do których dopuszcza się na zasadzie prześwietych „praw człowieka”, by użyć języka Joe Bidena, przedstawiciela biologicznej płci przeciwnej. Najdosadniej rzecz ujmując, w tym nowych, bardziej sprawiedliwych armiach biologiczny chłop czujący się mentalnie babą, który bynajmniej nie zrezygnował ze swego przyrodzenia i męskiego popędu, przy odpowiednim zrozumieniu przełożonych uwrażliwionych na jego potrzeby będzie mógł w pewnych okolicznościach pójść ze swymi kolegami nago pod prysznic.

OBAMA, TRUMP I BIDEN

Nie gubiąc się w szczegółach poszczególnych rozporządzeń, warto zauważyć wielkiego nieobecnego na wymienionej przeze mnie liście krajów, który obecnie wielkimi krokami nadrabia zaległości. Do roku 2011 obowiązywała bowiem w Stanach Zjednoczonych ogólna zasada: „Don't ask, don't tell” – nie pytamy się o orientację seksualną oraz się z nią nie obnosimy. Zdroworozsądkowa, trzeba przyznać, zasada w państwach pluralistycznych, gdzie mimo oficjalnych zakazów zarówno homoseksualiści, jak i nawet osoby po zmianie płci służyły w wojsku, niekoniecznie epatując swoją odrębnością „mniejszości seksualnej”. Postęp posuwa się do przodu jednak nawet w Stanach Zjednoczonych, dlatego pod koniec prezydentury Baracka Obamy zrewidowano przepisy obowiązujące osoby transpłciowe, odraczając jednocześnie ich wdrożenie w życie na kolejną kadencję. Będąc prezydentem, Donald Trump w 2017 r. odroczył aplikację przepisów o kolejny rok, a następnie wykonał krok wstecz, zaślaniając się brakiem funduszy i w ogóle wolą odciążenia armii od po-

Niedobory armii USA sięgają już 20 proc. Równość spod znaku LGBTIQ+ najwyraźniej nie pasjonuje rekrutów

dobnych obowiązków opieki zdrowotnej i kadrowej, pomijając jednak wszelkie argumenty natury pryncypialnej.

Ma się rozumieć, na początku swej kadencji prezydent Joe Biden ekspresowo nadrobił to skandaliczne uchybienie, mianując nawet w swej administracji Rachel Levine, będącą onegdaj Richardem Levine (i tatą dwojga dzieci), odpowiednikiem naszego ministra zdrowia, a już kilka miesięcy po jego zaprzysiężeniu Departament Obrony opublikował w kwietniu 2021 r. instrukcję 1300.28 poświęconą ustaleniu procedury „tranzycji” płci wojskowych w trakcie służby, oficjalnej zmiany ich tożsamości płciowej oraz zakresu opieki medycznej dla osób transpłciowych (zarówno w służbie czynnej, jak i w rezerwie), następnie zaś w czerwcu 2021 r. rozesał pokrewne memorandum w postaci dyrektywy 2021-2022 do wszystkich najwyższych dowódców poszczególnych armii Stanów Zjednoczonych na świecie itp. Obszerniejszy komentarz w języku polskim, za portalem LifeSiteNews, poświęcił tym zmianom Paweł Lisicki na portalu DoRzeczy.pl.

W tym procesie egzekwowania działań hierarchii armii na rzecz umożliwiania zmiany płci wojskowym (egzekwowania bezwzględne – w kwietniu tego roku miał się ukazać raport Generalnego Inspektora Armii w tej kwestii) uderzają dwie rzeczy. Po pierwsze, rewolucja nigdy nie żartuje: doszczętna przemiana społeczeństwa na genderową modłę postępuje swoim tempem, zataczając coraz szersze koła, dotykając tym razem ostoi społecznego konserwatyzmu i tradycji, jaką naturalnie była amerykańska armia – nie jest żadną tajemnicą, że obok atrakcyjnej ścieżki opłaconych przez armię studiów sporo młodych Amerykanów zaciągało się do wojska po prostu w duchu czwartego przykazania Dekalogu.

Po drugie, rewolucja kieruje się tak naprawdę prostą, ale żelazną logiką dokonanego przewrotu antropologicznego,

w którym to jedynie wola jednostki, a nie jej natura, a tym bardziej nie jej stwórca, określa prawa jej realizacji. Jeśli wyciąganie kolejnych konsekwencji społecznych z tegoż przewrotu wymaga odstępów czasowych, to dzieje się tak z racji przyzwyczajenia ludzkich, które pozostają naturalnym hamulcem tam, gdzie nie ma już przeszkód natury pryncypialnej. Pod tym względem komedia-niekomedia, dotykając tak poważnej instytucji jak armia Stanów Zjednoczonych, jest wielce pouczająca wobec złudzeń właściwych konserwatystom: tam, gdzie – wydawałoby się – choćby z przyzwyczajenia, że już nic nowego „nie wymyślą”, możemy być pewni, że nastąpią kolejne etapy rewolucji. Oczywiście nie ma determinizmu w historii, której bieg zmienia się pod wpływem wydarzeń i silnych charakterów, niemniej taka jest właśnie wewnętrzna logika zachodzących etapów.

Za podobnym scenariuszem przemawia także „praxis”, by powrócić na koniec do historii starożytnego Rzymu, a mianowicie do fiksacji co bardziej tępych prześladowców w kwestii weryfikacji lojalności chrześcijan wobec władzy i państwa. Między innymi za Dioklecjana doszło do kilkukrotnych bezsensownych czystek w armii wśród doświadczonych żołnierzy gotowych przelać krew za imperium, a to tylko dlatego, że wymagano od nich absurdu wartościowania rzeczy, których zaakceptować w sumieniu nie mogli, jako kryterium ich wierności wobec cesarza, armii i społeczeństwa.

Tego właśnie możemy się spodziewać po kolejnym etapie rewolucji: gdy już dokona gruntownej dekompozycji przyrodzonych zasad społecznych, będzie, małpując Stwórcę, wymagać, w ramach kryterium obywatelskiej lojalności, moralnej akceptacji i afirmacji, że jej nowy porządek jest dobry – będzie zatem żądała od nas tego, czym jest w rzeczy samej błogosławieństwo. Nie ma tu jednak, jak wspominałem, determinizmu, choćby tylko dlatego, że armia USA, oparta na samych ochotnikach, w ostatnich latach boryka się z poważnym problemem rekrutacji, której niedobory sięgają już ponad 20 proc. Równość spod znaku LGBTIQ+ najwyraźniej nie pasjonuje rekrutów, ale mniej liczebna armia USA to też nie jest wiadomość, której oczekują Polacy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Śmierć zakatowanego przez ojczyzną ośmiolatka wywołała w Polsce powrót rozmów o karze śmierci. „Jestem za przywróceniem kary śmierci dla najbardziej brutalnych przestępców” – zadeklarował premier Mateusz Morawiecki. „Za ten czyn należy się kara śmierci. I tyle” – stwierdził z kolei minister Michał Wójcik. Przeszkodę w przywróceniu w naszym kraju najwyższej kary stanowią nie tylko różnorakie dokumenty międzynarodowe. Sytuacji nie ułatwia też chaotyczne stanowisko... władz kościelnych, w tym samego papieża. Twierdzi się dzisiaj, jakoby kara śmierci była niezgodna z katolicką nauką. W istocie jest inaczej: Tradycja Kościoła jednoznacznie akceptuje karę śmierci i katolicy mogą ją popierać.

„My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki” – powiedział, wisząc na krzyżu, dobry łotr zgodnie ze świadectwem ewangelisty (Łk 23, 41). „Dziś ze Mną będziesz w raju” (Łk 23, 43) – zapewnił go w odpowiedzi sam Chrystus. Złoczyńca, akceptując swoją karę jako „słuszną i sprawiedliwą”, zyskał sobie życie wieczne. Święty Paweł w liście do Rzymian (13, 4–5) pisze, że władza „nie na próżno nosi miecz”, będąc „narzędziem Boga do wymierzenia sprawiedliwej kary temu, który czyni źle”; należy jej się poddać „ze względu na sumienie”. Te miejsca Nowego Testamentu Tradycja Kościoła rozpoznaje jako potwierdzenie sankcji wyrażonej w Księdze Rodzaju: „Kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew jego, bo człowiek został stworzony na obraz Boga” (Rdz 9, 6). W całym Piśmie Świętym nie znajdziemy potępienia kary śmierci.

Karę śmierci akceptowała też oparta na rozumowym poszukiwaniu Boga zachodnia tradycja filozoficzna. Kościół przyjął ją wobec tego jako rzecz normalną i godziwą. Katolickie nauczanie na ten temat w bliższych nam czasach jasno wyraził wielki papież Pius XII. Przemawiając do katolickich prawników w 1954 r., powiedział: „W zgodzie z Pismem Świętym i stałą tradycją zwykłego i powszechnego Magisterium Kościół nie błądzi, nauczając, że władza świecka może prawomocnie wykonywać karę śmierci na złoczyńcach, kiedy jest to naprawdę konieczne dla zachowania

istnienia albo sprawiedliwego porządku społeczeństw”.

ŹRÓDŁA ROZBIEŻNOŚCI

Warto zwrócić baczną uwagę na słowa papieża. Ojciec Święty wskazał, że kara śmierci jest dopuszczalna w dwóch sytuacjach, koniecznych dla zachowania: 1. istnienia społeczeństw; 2. sprawiedli-

Kościółu ani papieży i soborów; dość powiedzieć, że do Soboru Watykańskiego II nigdy nie kwestionowano wewnętrznej dopuszczalności kary śmierci. Wielcy nauczyciele Kościoła mogli powątpiewać, czy kara śmierci powinna być stosowana, ale nie czy jest dozwolona.

A jednak, gdy w polskiej dyskusji po brutalnym morderstwie ośmioletniego

Kara słuszną i sprawiedliwą



Paweł Chmielewski

Jako katolicy jesteśmy zobowiązani do posłuszeństwa „autentycznemu” nauczaniu papieży, to znaczy takiemu, które jest zakorzenione w porządku naturalnym, Piśmie i Tradycji. Zgodnie z nim kara śmierci może być sprawiedliwa i słuszną

wego porządku społeczeństw. Nie chodzi więc tylko o „bezpieczeństwo”, lecz także o „samą sprawiedliwość”. Ważne są źródła, na których Pius XII oparł swoją wypowiedź. To 1. Pismo Święte; 2. stała tradycja Kościoła. O Piśmie pisaliśmy wyżej, jest jednoznaczne. Podobnie tradycja nauczania. Nie chcę tu omawiać wypowiedzi licznych ojców i doktorów

dziecka premier Mateusz Morawiecki wyraził przekonanie, że jedyną sprawiedliwą karą byłoby uśmiercenie jego oprawcy, przeciwko szefowi rządu wypowiedzieli się także... teologowie. Przykładowo dr Sebastian Duda z „Więzi” stwierdził, że katolicy politycy nie powinni popierać kary śmierci, bo muszą „mieć świadomość, że obowiązuje ich

■ obecna wykładnia Urzędu Nauczycielskiego Kościoła” w tej sprawie, wobec czego popieranie kary śmierci byłoby „heterodoksją”, a więc wyrażaniem błędnej nauki. W sieci czytelnik znajdzie mnóstwo artykułów pod tytułami typu: „Kościół odrzucił karę śmierci”. Jak to możliwe, skoro autorytet Pisma Świętego, ojców i doktorów Kościoła, wreszcie papież i soborów uczy nas w sposób niepozostawiający nawet cienia wątpliwości, że kara śmierci – stosowana proporcjonalnie – jest karą słuszną oraz sprawiedliwą, a państwa rzeczywiście mogą ją wykonywać?

Problem rozpoczął się wraz z pontyfikatem św. Jana Pawła II. W encyklice „Evangelium vitae” o wartości i nienaruszalności życia ludzkiego z 1995 r. św. Jan Paweł II pisał, że „współczesne społeczeństwo jest w stanie skutecznie zwalczać przestępczość metodami, które czynią przestępcę nieszkodliwym, ale nie pozbawiają go ostatecznie możliwości odmiany życia”. Twierdził następnie, że „wymiar i jakość kary... nie powinny sięgać do najwyższego wymiaru, czyli

Obecne nauczanie papieża i biskupów, radykalnie sprzeczne z dawnym nauczaniem, jest błędem

do odebrania życia przestępcy, poza przypadkami absolutnej konieczności, to znaczy, gdy nie ma innych sposobów obrony społeczeństwa”, w efekcie czego „dzięki coraz lepszej organizacji instytucji penitencjarnych, takie przypadki są bardzo rzadkie, a być może już nie zdarzają się wcale”. Papież powoływał się na Katechizm Kościoła katolickiego, który sam ogłosił w 1992 r., gdzie zapisano: „Jeśli środki bezkrwawe wystarczają do obrony życia ludzkiego przed napastnikiem i do ochrony porządku publicznego oraz bezpieczeństwa osób, władza powinna stosować te środki, gdyż są bardziej zgodne z konkretnymi uwarunkowaniami dobra wspólnego i bardziej odpowiadają godności osoby ludzkiej”. Wkrótce Jan Paweł II zaostriżył ujęcie Katechizmu: w 1997 r. wprowadził zmianę,

która sugerowała konieczność niemal całkowitego odejścia od kary śmierci. Pomimo wszystko papież Wojtyła nie posunął się do tego, by ogłosić jej rzekomą niedopuszczalność; to wskazywałoby, że uważa ją za złą samą w sobie, co byłoby niezgodne z Pismem i Tradycją. W efekcie jeszcze w 2004 r. kard. Józef Ratzinger przypominał, że katolicy mają prawo nie zgadzać się z papieskim podejściem do kary śmierci i w tej sprawie uprawniona jest różnorodność opinii.

ZAOSTRZENIE KURSU

Niestety, papież Franciszek postanowił pójść „dalej”. W 2018 r. nakazał zmienić ponownie nauczanie Katechizmu. Przytoczę obecne brzmienie paragrafu 2267 w jego całości, co pozwoli następnie wykazać jego słabość. Katechizm głosi:

„Wymierzanie kary śmierci, dokonywane przez prawowitą władzę, po sprawiedliwym procesie, przez długi czas było uważane za adekwatną do ciężaru odpowiedzi na niektóre przestępstwa i dopuszczalny, choć krańcowy, środek ochrony dobra wspólnego. Dziś coraz bardziej umacnia się świadomość, że osoba nie traci swej godności nawet po popełnieniu najcięższych przestępstw. Co więcej, rozpowszechniło się nowe rozumienie sensu sankcji karnych stosowanych przez państwo. Ponadto zostały wprowadzone skuteczniejsze systemy ograniczania wolności, które gwarantują należyłą obronę obywateli, a jednocześnie w sposób definitywny nie odbierają skazańcowi możliwości odkupienia win. Dlatego też Kościół w świetle Ewangelii naucza, że »kara śmierci jest niedopuszczalna, ponieważ jest zamachem na nienaruszalność i godność osoby«, i z determinacją angażuje się na rzecz jej zniesienia na całym świecie”.

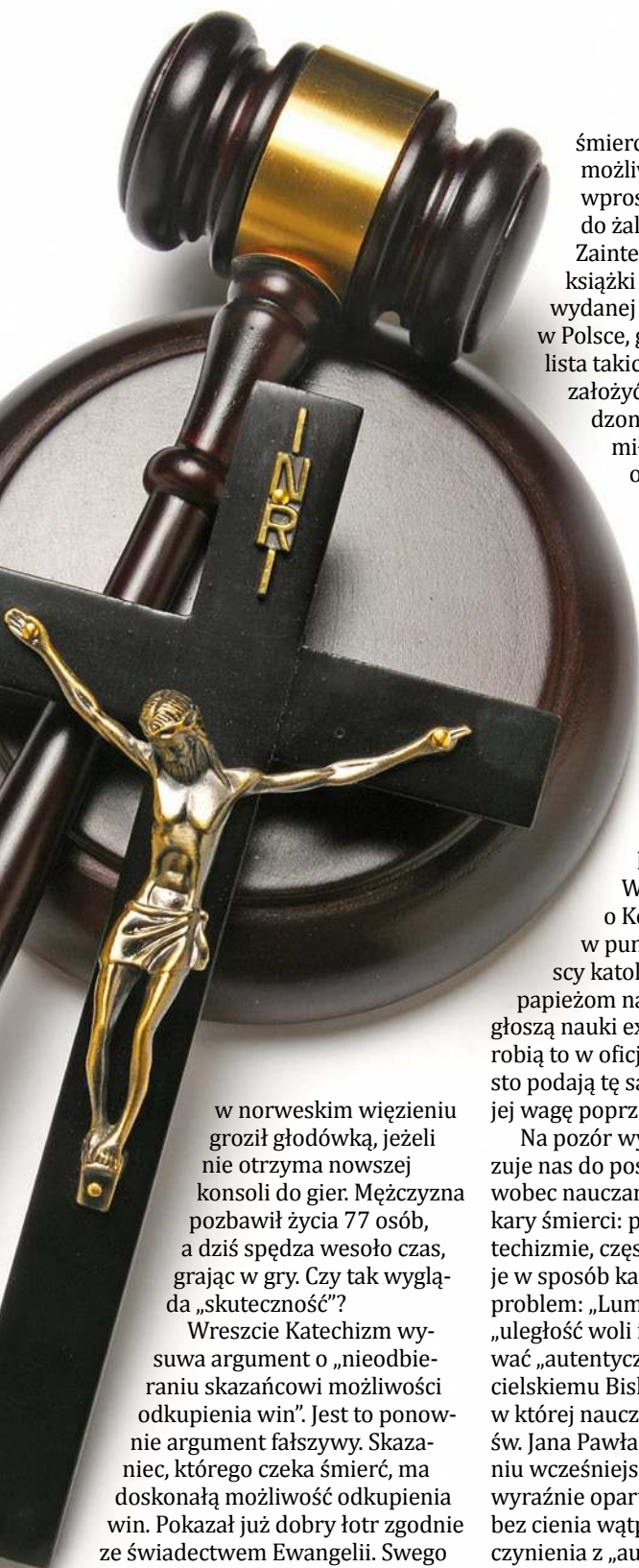
Katechizm w wersji Franciszka podaje zatem cztery argumenty: – nieewangeliczność kary śmierci; – rozpowszechnienie nowego rozumienia sensu sankcji karnych stosowanych przez państwo; – skuteczniejsze systemy ograniczania wolności; – nieodbieranie skazańcowi możliwości odkupienia win. Wszystkie te argumenty są łatwe do obalenia.

I tak stwierdzenie o nieewangeliczności kary śmierci jest po prostu fałszywe, o czym pisałem wyżej. Ewangelia nie

zakazuje kary śmierci. Papież nakazał zatem umieścić w Katechizmie swoją „interpretację” Pisma, która jest błędna. To smutne, ale możliwe: zgodnie z nauką Kościoła papież, zmieniając Katechizm, nie wypowiedział się w sposób nieomylny, co do zasady mógł zatem pobiłdzić, co w tym wypadku jest ewidentne.

Dalej, „rozpowszechnienie nowego rozumienia sankcji karnych” jest odwołaniem do rzekomej opinio communis ludzi współczesnych. Jest to argument podwójnie błędny. Po pierwsze, doktryna katolicka nie wynika z opinio communis społeczeństw świata, ale z Pisma i Tradycji. Po drugie, takiej opinio communis w ogóle nie ma. Przykładowo w Polsce, co potwierdzają regularnie przeprowadzane sondaże, niemal połowa społeczeństwa popiera karę śmierci; w USA np. – ponad połowa. Nie ma też jedności wśród teologów czy nawet biskupów – wciąż bardzo wielu wskazuje na zasadność kary śmierci. O jakiej więc powszechnej opinii mowa?

„Skuteczniejsze systemy ograniczania wolności” są argumentem wyjątkowo słabym. Jeżeli przez „skuteczność” rozumieć wyłącznie utrzymywanie skazańca z dala od społeczeństwa, to mogłoby to być prawdziwe. Jednak w praktyce – również polskiej – część skazanych jest w więzieniach poddawana poniżaniu, biciu czy gwałtom. W praktyce wykonywana jest na nich nie kara „ograniczenia wolności”, ale długotrwały tortur. Kara śmierci może być losem lepszym niż wystawienie na tego rodzaju męczarnię. Na drugim biegunie jest umieszczanie skazanych w warunkach komfortowych. Czytelnicy pamiętają niewątpliwie skargi masowego mordercy Andersa Breivika, który umieszczony



śmierci nie odbiera skazańcowi możliwości odkupienia win: wprost przeciwnie, zachęca go do żalu za grzech i nawrócenia. Zainteresowanych odsyłam do książki biskupa „Christus vincit” wydanej kilka lat temu również w Polsce, gdzie podana jest cała lista takich przypadków. Trudno założyć, że gwałcony i bity osadzony łatwiej uwierzy w Boże miłosierdzie, podobnie jak osadzony spędzający czas na rozrywkach.

PAPIEŻ SIĘ MYLI

Skoro argumenty Katechizmu są tak słabe, czy ma nas zobowiązywać po prostu wola papieża? Zwolennicy bezzwrotności poddawania się papieskim arbitralnym zarządzeniom twierdzą, że do tego zobowiązuje katolików Sobór Watykański II. W konstytucji dogmatycznej o Kościele „Lumen gentium”, w punkcie 25, czytamy, że wszyscy katolicy muszą być posłuszni papieżom nawet wówczas, gdy ci nie głoszą nauki ex cathedra; wystarczy, że robią to w oficjalnych dokumentach, często podają tę samą naukę i podkreślają jej wagę poprzez sposób wyrażania się.

Na pozór wydaje się, że to zobowiązuje nas do posłuszeństwa również wobec nauczania Franciszka w sprawie kary śmierci: papież wyraził je w Katechizmie, często o nim mówi, głosi je w sposób kategoryczny. Jest jednak problem: „Lumen gentium” wskazuje, że „uległość woli i rozumu” należy okazywać „autentycznemu urzędowi nauczycielskiemu Biskupa Rzymu”. W sytuacji, w której nauczanie Franciszka czy nawet św. Jana Pawła II sprzeciwia się nauczaniu wcześniejszych papieży, w dodatku wyraźnie opartemu na Piśmie i Tradycji, bez cienia wątpliwości nie mamy do czynienia z „autentycznym nauczaniem”. Przeciwnie, jest to nauczanie „nieautentyczne”, któremu nie jesteśmy winni „uległości woli i rozumu”. Innymi słowy: to tylko rodzaj opinii, co potwierdził cytowany wcześniej kard. Ratzinger

w 2004 r. Kardynał Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kilka lat temu starał się bronić decyzji Franciszka o „odejściu” od kary śmierci. Przyznał jednak, że co do zasady Kościół „absolutnie nie może zaprzeczyć” jej dopuszczalności.

Krytyk zechce pewnie powiedzieć: dobrze, ale nauczanie Franciszka jest nowsze od „przedsoborowej tradycji”, stąd lepiej wyraża „rozwój doktryny”. Nauczanie Piusa XII, św. Tomasza z Akwinu oraz innych nauczycieli Kościoła musielibyśmy dzisiaj pozostawić za sobą, bo wyrażałoby ono ducha swoich czasów i jako takie byłoby po prostu uwarunkowane historycznie. To oczywiście nieprawda: poprzednie nauczanie jest zakorzenione w Piśmie i Tradycji. Gdyby jednak nawet roboczo przyjąć taką tezę, to trzeba byłoby konsekwentnie uznać, że... podobnie nauczanie św. Jana Pawła II i Franciszka wyraża ducha swoich czasów i jest uwarunkowane historycznie. Cóż zatem?

Obecne nauczanie papieża i biskupów, radykalnie sprzeczne z dawnym nauczaniem, jest błędem wynikającym z nadmiernej wagi przykładanej do wyobrażeń politycznych współczesności. Jako katolicy jesteśmy zobowiązani do posłuszeństwa „autentycznemu” nauczaniu papieża, to znaczy takiemu, które jest zakorzenione w porządku naturalnym, Piśmie i Tradycji. Zgodnie z nim kara śmierci może być sprawiedliwa i słuszną. Jej wartością nie jest tylko „ochrona istnienia społeczeństw”, lecz także – o czym dziś się całkowicie zapomina – „ochrona sprawiedliwości”, zadośćuczynienie za grzech. Gdyby kiedykolwiek rządzący Polską zyskali taką dozę autonomii politycznej, która pozwoliłaby im na podjęcie próby przywrócenia kary śmierci wbrew podjętym zobowiązaniom międzynarodowym (głównie unijnym), nie powinni się przed takim krokiem wahać ze względu na stanowisko niektórych hierarchów kościelnych.

Niektórzy biskupi rzeczywiście protestują, gdy skazuje się na śmierć cynicznego mordercę albo gwałciela dzieci. Ich protesty mają jednak swój najgłębszy korzeń nie w doktrynie Kościoła, ale... w doktrynie politycznego liberalizmu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

w norweskim więzieniu groził głodówką, jeżeli nie otrzyma nowszej konsoli do gier. Mężczyzna pozabawił życia 77 osób, a dziś spędza wesoło czas, grając w gry. Czy tak wygląda „skuteczność”?

Wreszcie Katechizm wysuwa argument o „nieodbieraniu skazańcowi możliwości odkupienia win”. Jest to ponownie argument fałszywy. Skazaniec, którego czeka śmierć, ma doskonałą możliwość odkupienia win. Pokazał już dobry totur zgodnie ze świadectwem Ewangelii. Swego czasu ceniony biskup Athanasius Schneider wymieniał wiele przypadków morderców, którzy skonfrontowani z czekającą ich karą nawracali się i szczerze żalowali za swoje grzechy. Kara



Tomasz Rowiński

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że niemieckie interesy się nie zmieniają od czasów Bismarcka, zmieniają się tylko środki uzyskiwania przewag i dominacji. Nagroda Karola Wielkiego dobrze się nadaje na taką niemiecką soft power

Nie mam nic przeciwko temu, by europejscy politycy i różne wpływowe gremia wspierały Ukrainę i jej prezydenta w dramatycznej sytuacji wojennego zderzenia z Rosją. Dlatego nie dziwi mnie, że Międzynarodowa Nagroda Karola Wielkiego trafiła w tym roku do Wołodymyra Zełenskigo. Warto jednak zatrzymać się na chwilę przy tym, co Niemcy – jako realni dysponenti nagrody – zrobili z dziedzictwem Karola Wielkiego, tego wielkiego chrześcijańskiego władcy. Dziś jest on patronem wyróżnienia, będącego – szczególnie po roku 1989 – symbolem odradzającego się niemieckiego neoimperializmu, który kryje się za fasadą idei zjednoczonej Europy.

Można zresztą powiedzieć, że nagroda ta, jeśli chodzi o symbolikę, jest dzisiaj podwójnie wypaczona. Pierwsze wypaczenie dotyczy samego Karola i nieprzystawalności idei niemieckiego paneuropejskiego federalizmu do wizji katolickiego cesarstwa kształtującego się w VIII i IX w. po Chrystusie.

Drugie wypaczenie dotyczy ideowego zaplecza, które stało za ustanowieniem nagrody u schyłku lat 40. XX w. To znamienne, że w pierwszych latach nagroda ta trafiła kolejno do wszystkich czterech ojców europejskiej integracji, wywodzących się z szeregów chrześcijańskich demokratów. Otrzymali ją Włoch Alcide de Gasperi w roku 1952, Francuz Jean Monnet w roku 1953, Niemiec Konrad Adenauer w roku 1954 i Francuz Robert Schuman w roku 1958. Dodajmy od razu, że zwyczajowo nagroda ta jest przyznawana w święto Wniebowstąpienia Pańskiego w Sali Koronacyjnej w Akwizgranie – czyli dzisiejszym niemieckim Aachen – co zapewne dla jej

Karol Wielki w grobie się przewraca



Der Internationale Karlspreis zu Aachen
Für die Einheit Europas



Międzynarodowa Nagroda Karola Wielkiego trafiła w tym roku do Wołodymyra Zełenskigo

FOT. FRIEDEMANN VOGEL/GETTY IMAGES

chadeckich inicjatorów miało rzeczywiste religijne znaczenie. Niestety, symboliczna degradacja tej nagrody podążała drogą analogiczną do tej, na której następowały ideowy upadek ugrupowań z kręgu chrześcijańskiej demokracji, a także ewolucja samej koncepcji europejskiej integracji.

ZBIÓR BANAŁÓW

Akt założycielski nagrody mówi, że ma ona przyczynić się do jedności europejskiej i dialogu między narodami. Po zakończeniu zimnej wojny akt ten został uzupełniony o wątki traktujące o roli

Europy w pojednaniu Wschodu oraz Zachodu. Wspomniana została tam także Europa Wschodnia, włączająca się w europejski proces polityczny. Można zatem powiedzieć, że mamy do czynienia, jeśli chodzi o akt założycielski nagrody, raczej z zestawem dyplomatycznych banałów, które mogą podlegać dowolnemu przekształcaniu, niż z wykładem zasad.

Dzieje nagrody od samego początku charakteryzowały się – zgodnie z poglądami chadeków – abstrahowaniem od chrześcijańskiego charakteru idei stojącej za karolińską wizją integracji kontynentu.

Błąd powojennej chadecji polegał m.in. na trwaniu w założeniu sformułowanym przez filozofa Jacquesa Maritaina, że opinia chrześcijańska nie potrzebuje swojej reprezentacji politycznej i że nie ma potrzeby, by zabiegać w szczególny sposób o zachowanie chrześcijańskiego charakteru cywilizacji. Wystarczyło miało, że chrześcijanie będą uczestnikami demokratyczno-liberalnej różnorodności ludzi dobrej woli i nowa, choć nie sakralna, chrześcijańska z ducha cywilizacja narodzi się sama. Na marginesie warto dodać, że to właśnie za sprawą takiego myślenia chrześcijańscy demokraci stali się architektami Unii Europejskiej, takiej, jaką ją dziś znamy, instytucjonalnie chrześcijaństwu wrogiej. Już drugim z laureatów, wybranym zaraz po Richardzie Coudenhove-Kalergim, został zresztą Hendrik Brugmans, holenderski socjalista, założyciel Kolegium Europejskiego aktywnie działający na rzecz integracji kontynentu.

ANI ŚLADU PO PRZESŁANIU

Jaki to jednak ma związek z Karolem Wielkim, który do pewnego stopnia – przede wszystkim jednak drogą podboju – zjednoczył znaczne obszary Europy? Choć Charlemagne nie był władcą agresywnym i przede wszystkim wykorzystywał słabość niektórych swoich sąsiadów, by poszerzyć własną władzę, to nie sposób zapominać o militarnym charakterze jego działań. Można to oczywiście uznać za sprawę drugorzędną, np. wobec zjawiska tzw. renesansu karolińskiego, czyli ruchu zainspirowanego przez intelektualistów – takich choćby jak Alcuin – gromadzących się na dworze Karola, którzy podjęli próbę ponownego przyjęcia przez chrześcijańską monarchię intelektualnego dziedzictwa starożytności. Podjęto wysiłki na rzecz odnowienia łaciny, a także, co miało szczególne znaczenie, szkół opierających się na edukacji w tzw. modelu klasycznym, który składa się z dwóch „kursów” w zakresie sztuk wyzwolonych: trivium i quadrivium.

Za Karola Wielkiego rozpoczęły się także jeden z procesów charakterystycznych dla kultury średniowiecza, czyli systematyczne przepisywanie, a zatem i zachowywanie, całego dziedzictwa literatury antycznej. Skutkowało to upowszechnieniem myśli filozoficznej czy prawniczej wśród wykształconych przedstawicieli

epoki, a także potem – w dojrzałym już średniowieczu – swoistą eksplozją intelektualną we wszystkich właściwie spekulatywnych dziedzinach nauk.

Renesans objął także architekturę, malarstwo czy literaturę, która oczywiście miała przede wszystkim charakter sakralny. Można tu przywołać choćby postać znakomitego benedyktyńskiego poety Hrabana Maura, autora licznych hymnów brewiarzowych. Wątek ten warto poruszyć dlatego, że Karol Wielki doprowadził także – co, jak sądzę, jest znaczące i symboliczne – do wielkiej rytualnej unifikacji swojego państwa. Otrzymał od papieża Hadriana I Sakramentarz Gregoriański uczynił wzorcową księgą liturgiczną dla całego Cesarstwa, czyniąc wspólnym mianownikiem swojego państwa nie tyle rzymskość pogańską, ile rzymskość katolicką.

Można zatem powiedzieć, że fundamentem idei karolińskiej był ten aspekt rzeczywistości, po którym dziś nie został nawet ślad w przesłaniu, które w praktyce niesie Nagroda Karola Wielkiego. W rozbudowanym sensie chrześcijaństwo było obecne w idei paneuropejskiej, głoszonej przez pierwszego laureata nagrody, wspomnianego już Richarda Coudenhove-Kalergiego. Jednak jego stanowisko trzeba by raczej określić mianem konserwatywnego, arystokratycznego liberalizmu. Z pewnością nie głosił on idei odnowienia karolińskiej christianitas. Jak sądzę, nikt z nas nie życzyłby sobie dziś wracać do średniowiecza, jednak przesunięcie przez chadeków chrześcijaństwa z centrum myślenia o politycznej jedności na jego margines miało ostatecznie jak najgorsze skutki.

Gdy przegląda się listę nazwisk laureatów nagrody od lat 50. do końca lat 70. XX w., widać pewnego rodzaju konsensus w sprawie tego, kto ma ją otrzymywać. Na liście pojawiają się głównie politycy chadeccy i socjaldemokratyczni, jako że to przedstawiciele tych dwóch sił stanowili o entuzjazmie w pierwszych dekadach integracji. Później jednak coś się zmieniło. W roku 1981 nagrodę, której patronem jest jeden z najważniejszych w dziejach katolicki władca, otrzymuje Simone Veil, francuska polityk, znana najbardziej z tego, że stała się główną promotorką francuskiej ustawy dopuszczającej mord prenatalny na życzenie. Pomiędzy Veil a – nawet już nie Karolem – Schuma-

nem ziele przepaść. Owszem, laureatami nagrody – niczym listki figowe – zostali także Jan Paweł II, brat Roger z Taizé czy papież Franciszek. Jednak poprzez te i jeszcze kilka innych wyjątków, od lat 90. coraz wyraźniej na liście uhonorowanych pojawiają się nazwiska tych postaci, które można określić mianem „konstruktorów” i „inżynierów” niemieckiego projektu federalnego dla Europy. Wśród „inżynierów” widzimy Jeana-Claude’a Junckera, Javiera Solanę, Donalda Tuska, Hermana Van Rompuy’a, a z „konstruktorów” głównie Niemców: Angelę Merkel, Martina Schulza i Emmanuela Macrona, a także innych polityków niemieckich, jak Wolfgang Schäuble czy mający niemieckie pochodzenie prezydent Rumunii Klaus Werner Iohannis. Nagrodę Karola Wielkiego otrzymała nawet waluta euro, która w Europie opłaca się w zasadzie tylko Niemcom. Jakoś to wszystko, łącznie z tegorocznymi umizgami do Zełenskiego, który ma prawo chłodno traktować berlińskich kanclerzy, układa się w niemiecki interes.

A może w idei Międzynarodowej Nagrody Karola Wielkiego pozostał już tylko ten – jak mogłoby się zdawać – drugorzędny aspekt dawnego dziedzictwa frankijskiego cesarza, czyli karoliński imperializm? Jak wiadomo, Niemcy uważają Karola, podobnie jak Francuzi, za „swojego”, więc nie ma tu żadnego dysonansu. Gdy czytam słowa kanclerza Scholza, który wręczał Wołodzimierzowi Zełenskiemu nagrodę Karola Wielkiego, mówiąc, że „Europa zawdzięcza Zełenskiemu i narodowi ukraińskiemu bardzo wiele”, że „Ukraina jest częścią naszej europejskiej rodziny”, odczuwam zażenowanie. Przypominam sobie, jak Angela Merkel odmówiła obecności 24 sierpnia 2021 r. na obchodach 30. rocznicy ukraińskiej niepodległości. I to mimo że w Kijowie była dzień wcześniej.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że niemieckie interesy nie zmieniają się od czasów Bismarcka, zmieniają się tylko środki uzyskiwania przewagi i dominacji. Nagroda Karola Wielkiego dobrze się nadaje na taką niemiecką soft power. Wiele wskazuje, że Ukraina jest właśnie – podobnie jak białoruscy opozycjoniści w zeszłym roku – poddawana takiej politycznej obróbce ze strony Berlina. Czy będzie ona skuteczna? Zobaczymy. Na miejscu Ukraińców, kolejny już raz w historii, nie zaufałbym Niemcom.

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego Karola Jaroszyńskiego, bodaj najbardziej majątnego Polaka wszech czasów, pokrył kurz niepamięci?

WACŁAW HOLEWIŃSKI: Złożyło się na to, jak sądzę, kilka przyczyn. Po pierwsze, rzeczywiście był najbogatszy, ale przez bardzo krótki czas. Mniej więcej od roku 1909 do, powiedzmy, 1917. Po drugie, podejrzenia są takie, że działał w masonerii, co oczywiście niektóre środowiska nastawiło do niego wrogo. Wreszcie po trzecie – i najistotniejsze – był antykomunistą, toteż przez cały PRL go nie wspominano. Do tej pory na temat Jaroszyńskiego – według mojej wiedzy – ukazały się dwie albo trzy publikacje, przy czym ostatnia w grudniu zeszłego roku, już po napisaniu przeze mnie powieści. Obcuje z tymi pracami, doszedłem do przekonania, że w gruncie rzeczy ich autorzy wykorzystali dokładnie te same archiwalia co ja, gdyż dokumentów dotyczących działalności Jaroszyńskiego pozostało po prostu stosunkowo niewiele.

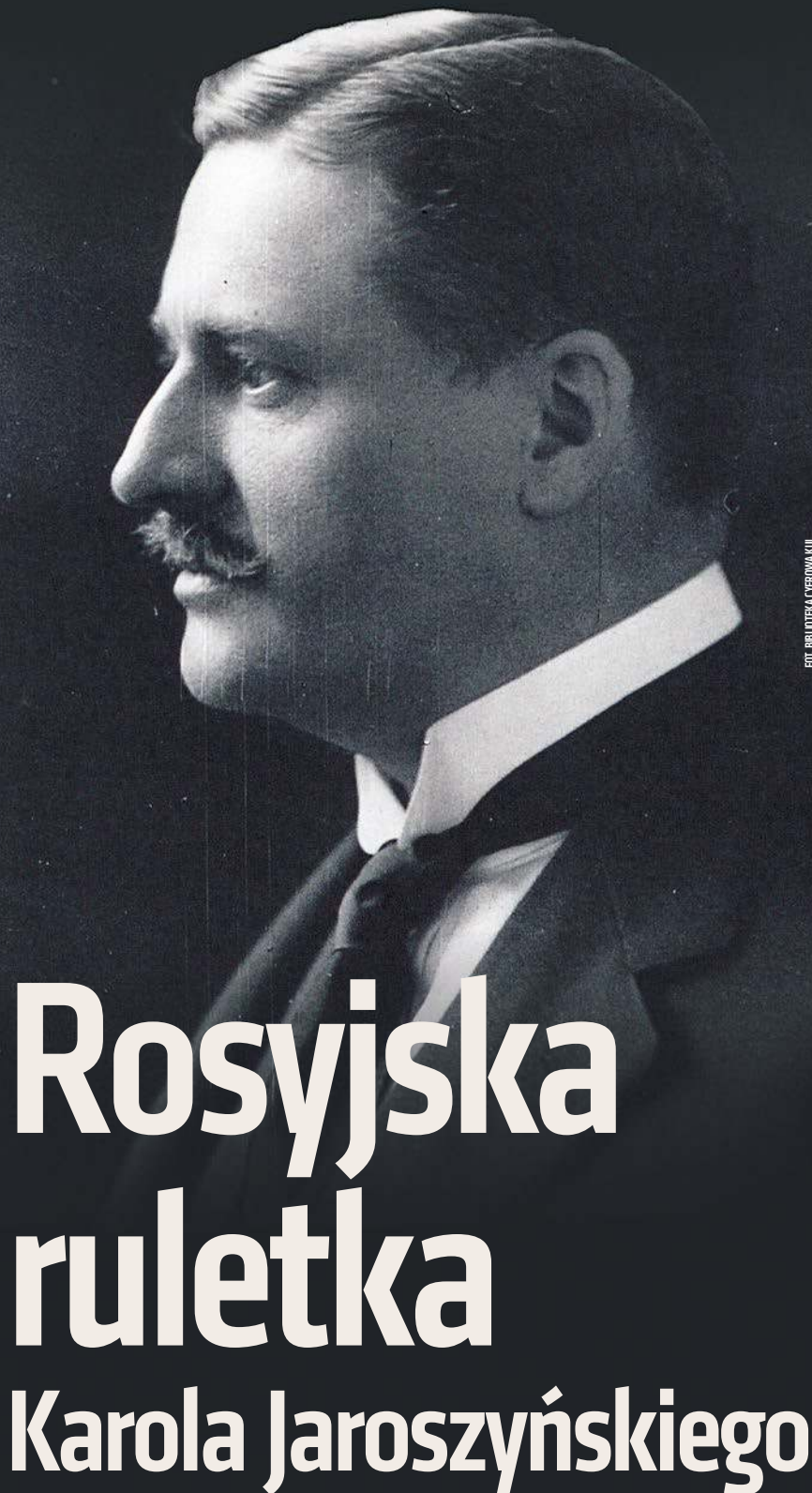
Na telewizyjne ekrany trafiła właśnie ekranizacja jednej z pańskich wcześniejszych książek. Jaroszyński również wydaje się mieć filmowy życiorys. Kolosalny majątek zawdzięczał uśmiechowi losu?

Niezupełnie. Faktycznie w 1909 r. rozbił kasyno w Monte Carlo, wygrywając w ruletkę równowartość 774 kg złota. Tyle tylko, że wcześniej miał ogrom długów. Hazardowe szczęście pomogło mu je spłacić. Natomiast gigantyczną fortunę zawdzięczał swej przedsiębiorczości, którą – patrząc z dzisiejszej perspektywy – moglibyśmy określić mianem piramidy finansowej. Ale po kolei.

Pochodził z zamożnej rodziny, jego ojciec był właścicielem dużej cukrowni. Kiedy Karol spłacił swoje długi, zdjął z niego nadzór rodzinny nad częścią odziedziczonego przezeń majątku. Przy dużym sprzeciwie rodzeństwa sprzedał swoje udziały w cukrowni, a za uzyskaną kwotę nabył 30 proc. akcji banku. Zapewniło mu to przewagę w radzie nadzorczej, toteż natychmiast udzielił sobie pożyczki. Kupił za nią 30 proc. akcji kolejnego domu bankowego i powielając modus operandi, stał się niebawem właścicielem 12 czołowych banków rosyjskich! Oczywiście musiał systematycznie spłacać raty kredytowe. Pod koniec roku 1914 jego imperium finansowe prawdopodob-



Z Wacławem Holewińskim, autorem powieści „Cieniem będąc, cieniem zostałem” rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert



FOT. BIBLIOTEKA CYFROWA KUL

Rosyjska ruletka Karola Jaroszyńskiego

nie by upadło, ponieważ terminy kolejnych płatności się kumulowały. O tym, że tak się nie stało, zdecydowało wydarzenie, które dla milionów ludzi oznaczało wielkie nieszczęście. Wybuchła wojna światowa, a Jaroszyński został głównym dostawcą armii rosyjskiej. Dopiero te transakcje wywindowały go do poziomu, powiedzmy, Rotszyldów. Zdywersyfikował także swoją działalność. O kopalnie i huty, a także komunikację oraz transport, cukrownie (w przededniu wojny 30 proc. produkcji cukru w Imperium Rosyjskim pochodziło z jego zakładów). I tak pomnażał kapitał. Pozycja finansowa i towarzyska pozwoliły mu nawet marzyć o poślubieniu Tatiany Romanowej, córki cara Mikołaja II. Wydawało się, że czeka go świetlana przyszłość.

Uniemogliwili ją bolszewicy?

Tak. To być może najciekawszy fragment życiorysu Jaroszyńskiego, chociaż mało o nim wiemy. Mam na myśli jego próby ratowania rodziny carskiej, a później wytrwałe dążenie do obalenia rządów Lenina et consortes. Bynajmniej nie zbrojnie. Chciał – i chyba istniała na to duża szansa – aby zdławić bolszewizm poprzez unieruchomienie jego systemu bankowego. Mogło się to powieść, gdyż Jaroszyński doskonale poznał światowe sfery finansowe. Zaskarbił sobie pośród nich uznanie i szacunek. Nawiązał wpływowe kontakty. Śmiały concept się nie ziścił, bo Brytyjczycy nie dotrzymali słowa. Obiecali sfinansowanie planu pozbawienia władzy bolszewików, lecz wypłacili zaledwie pierwszą transzę pieniędzy niezbędnych do jego skutecznej realizacji.

A bolszewicy o Jaroszyńskim nie zapomnieli.

W roku 1926 postanowili go – w ramach zemsty – zgładzić. Stał się obiektem zamachu skrytobójczego, dokonanego w Operze Paryskiej. W zatłoczonym foyer jakiś nieznajomy skaleczył go laską. Powierzchniowa rana nie wyglądała groźnie, lecz okazało się, że do organizmu wprowadzono śmiertelnie truciznę. Jaroszyński stracił przytomność i znalazł się w szpitalu. Ocalono mu życie, ale pełni zdrowia już nie odzyskał. Skądinąd podobny sposób eliminacji wrogów Kreml wykorzystuje do dziś. Przypomnijmy choćby zabójstwo Aleksandra Litwinienki.

Jak Jaroszyński odnalazł się w II Rzeczypospolitej?

Źle. Na pewno miał prawo czuć się rozczarowany, że nie skorzystano z jego koncepcji ekonomicznych. Szczególnie odejścia od pieniądza mającego pokrycie w złocie na rzecz papierowego. Tak jak uczynili po pierwszej wojnie światowej Niemcy, dzięki czemu znacznie szybciej od Polski wyszli z gospodarczej zapaści. Jak wynika z przekazów, był Jaroszyński mężczyzną porywczym, niekiedy nie potrafił ugryźć się w język, czym narobił sobie nieprzyjaciół. Spotykał się z lekceważeniem. Akcentowano, że w wolnej Polsce nie potrafił powtórzyć sukcesu.

Poniósł za to spektakularną porażkę. Nad Bałtykiem.

Usiłując odbudować swe imperium, podjął bardzo nietrafną decyzję. Po traktacie wersalskim Polska uzyskała niewielki dostęp do morza. Jaroszyński przewidział, że wkrótce powstanie tam port, a tereny wokół niego znacznie zyskają na wartości. Zakupił ziemie w okolicach Pucka, będąc przekonanym, że właśnie to miasto stanie się naszym oknem na świat. Pomylił się, bo wody pobliskiej zatoki obfitują w mielizny uniemożliwiające wpływanie tam dużym statkom, toteż port wybudowano w Gdyni.

Niemniej u progu odzyskania państwowości Jaroszyński doradzał samemu Józefowi Piłsudskiemu.

Dodajmy – wyłącznie w kwestiach finansowych. Politykę wschodnią postrzegali inaczej. Dla Jaroszyńskiego „czerwona Rosja” była znacznie niebezpieczniejsza od „białej”. Traktat ryski go rozczarował. Nie tylko w kwestii granicznej. Także – a może zwłaszcza – wobec pominięcia przez Polskę sprawy odszkodowań za dobra rodaków przejęte przez bolszewików. Sam stracił obfite w bogactwa, żyzne ziemie na Ukrainie.

Natomiast Piłsudski sprzed Bitwy Warszawskiej znacząco różnił się – moim zdaniem – od tego z roku 1926. Po zamachu majowym inna była też pozycja Jaroszyńskiego. Zdał sobie spra-



WACŁAW HOLEWIŃSKI
„CIENIEM BĘDĄC, CIENIEM ZOSTAŁEM”
LIRA 2023

wę, że nie uda mu się wskrzesić swej finansowej potęgi. A to, że winni temu byli ci, którym zabrakło jego wyobraźni i wizjonerstwa, że z oburzeniem odrzucił niemiecką ofertę kredytową uzależnioną od tego, by realizował ich politykę finansową, mówiąc wprost – chodził na ich pasku, mogli być, choć brzmiały wiarygodnie, już tylko tłumaczenia.

Przed „czerwonymi” musiał uciekać.

Najpierw z Petersburga, potem z Krymu. Widział ich okrucieństwo i barbarzyństwo. Zakładał, że reżim długo się nie utrzyma. Nie on jeden był w błędzie. Do Europy Zachodniej przedostał się bez niezbędnych dokumentów dowodzących jego własności bankowych. W związku z czym przyznano mu jedynie skromną rentę.

Opus vitae bohatera powieści znajduje się w Lublinie?

To prawdziwy pomnik Jaroszyńskiego. Katolicki Uniwersytet Lubelski funkcjonuje już ponad 100 lat, słyszeli o nim wszyscy Polacy, lecz mało kto wie, że jego głównym fundatorem był właśnie Jaroszyński – drugim, pomniejszym inżynier Franciszek Skąpski. Inicjatywa narodziła się w roku 1916, kiedy rektor papieskiego kolegium w Petersburgu, Idzi Radzikowski, poprosił Karola o uczestnictwo w zebraniu założycielskim nowego przedsięwzięcia akademickiego. Nie znano jeszcze wówczas jego lokalizacji. Jaroszyński wspomagał pieniądze KUL do końca swych dni. Nawet wtedy, gdy przestał być osobą majątną, jakiś datek dokładał.

Z koleją ojciec Karola wspierał powstańców styczniowych.

Najpewniej finansując dla nich dostawy uzbrojenia. Po klęsce zrywu przez rok więziono go w twierdzy kijowskiej. Odzyskawszy wolność, skupował majątki ziemskie odebrane polskim właścicielom w ramach popowstaniowych represji. Taką możliwość dostało od carskiej Rosji bardzo niewielu Polaków. Możemy spekulować, czy chciał się przez to jedynie wzbogacić czy też pragnął tą drogą zachować folwarki w polskich rękach.



Katolicki Uniwersytet Lubelski funkcjonuje już ponad 100 lat (tu na przedwojennym zdjęciu), lecz mało kto wie, że jego głównym fundatorem był właśnie Karol Jaroszyński. FOT. NAC

Do sprawa niejednoznaczna. Inaczej niż fundowanie granitu na pomnik cara.

Brat Karola zyskał tym posunięciem przydomek kamieńjunkra. Drugi brat związał się ze środowiskiem artystycznym. Między innymi pomagał u progu kariery pianistycznej Arturowi Rubinsteinowi i Karolowi Szymanowskiemu. Z kolei ich matka aktywnie funkcjonowała w szeregach katolickiej organizacji pomocowej w Kijowie. A kiedy na początku wielkiej wojny do niewoli rosyjskiej trafiło kilkaset tysięcy Polaków z armii niemieckiej i austriackiej, Jaroszyński zorganizował dla nich różnorodne formy pomocy i opieki.

Nie miał wyższego wykształcenia...

Przypuszczam, że rozpierała go energia. Był bon vivantem z licznymi pasjami, chociaż zapewne nie szkolną. Ale miał fantastyczne pomysły, wielką wyobraźnię, „finansową głowę”. Do tego nie zawsze trzeba kończyć studia.

Bliscy się od niego odsunęli?

Rodzeństwo chyba po części tak. A własnej rodziny nigdy nie założył. Nie doczekał się potomstwa. Wspominałem już, że zamierzał ożenić się z carską córką. Może zbyt wysoko mierzył? Aby zagwarantować sobie jej przychylną, wspierał fundację troszczącą się o ciężko rannych żołnierzy rosyjskich. Prowadzono przez carycę i jej córki.

Polski krezus numer jeden ma skromną mogiłę na Powązkach.

Niemniej w ceremonii pogrzebowej wzięło udział ponad 1 tys. żałobników. Ostatnie trzy lata życia mieszkał w kamienicy zlokalizowanej w żydowskiej dzielnicy Warszawy pod adresem Smocza 7. Pozostaje zagadką, czemu akurat tam. Umarł w następstwie duru brzuszowego. W szpitalu św. Ducha, którego zabudowania przy ul. Elektoralnej przetrwały do dziś.

W powieściowej scenie dotyczącej wojny polsko-bolszewickiej pada zdanie Adama Czartoryskiego: „W Polsce są tylko dwie partie: polska i antypolska”. Brzmi nad wyraz aktualnie...

Pewnie analogii można znaleźć więcej. Tkając narrację, nurtowało mnie pytanie: Kim był ów człowiek, który załazł za skórę niemieckiej i żydowskiej finansjerze, eliminując ją w znacznej mierze poprzez własną działalność bankową? Skąpa spuścizna dokumentacyjna po Karolu Jaroszyńskim utrudnia odpowiedź na to pytanie. Beletrystyka daje za to autorowi możliwość snucia domysłów, stawiania hipotez, kreowania postaci i zdarzeń.

W bliskim otoczeniu bohatera powieści natrafiamy jednak też na figury całkiem autentyczne, także te cieszące się nie najlepszą sławą. Exemplum – Sidney Reilly, naprawdę Rosenblum, bogaty Żyd z Odessy, którego – jako brytyjskiego szpiega – bolszewicy rozstrzelali w 1925 r.

Ten agent Scotland Yardu, a ilu jeszcze wywiadów – trudno orzec, jest postacią niejednoznaczną. Jaroszyński w okresie

ich współdziałania z pewnością nie posiadał o nim pełnej wiedzy, mogła się przed nim dopiero odsłaniać. Inna sprawa, czy akurat jemu musiał zaufać – jako kurierowi, gdy próbował obalić bolszewię, rujnując jej system finansowy. A podkreślam: „czerwoni” chcieli zamordować go właśnie za to, nie za co innego.

Jaroszyński w carskiej Rosji przekonał się, że korupcja czyni cuda. Nieprzypadkowo w gremiach zarządzających jego majątkiem zasiadali ministrowie, a nawet były premier – Kokowcow.

Gdy pisałem tę książkę, choć przecież wiedziałem o korupcji w dawnej Rosji, jej skala przerosła moją wyobraźnię. Niezależnie od tego, że i dziś w radach nadzorczych banków roi się od znanych nazwisk, najczęściej ze świata polityki. Nie tylko przecież w Rosji.

Wydobywa pan z zapomnienia kolejną, po marszałdzie Ignacym Korwin-Milewskim i sztyetniku Emanuelu Szafarczyku, bohaterze powstania styczniowego, personę z naszej historii...

Ogromną przyjemność sprawia mi odśzukiwanie informacji o takich ludziach. Grzebanie po bibliotekach i archiwach. Natrafianie na zdarzenia, które implikują kolejne, a te znowu następne...

Ważny jest też czas, który wziął pan pod pisarską lupę. Jerzy Giedroyc po stokroć miał rację, namawiając swych współpracowników, by zajęli się tym, co się działo w Warszawie – i nie tylko tam – w czasach zaborów, zwłaszcza zaboru rosyjskiego.

Bo to był czas straszny i fascynujący. A wciąż mało opisany.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wacław Holewiński – prozaik, dramaturg, radiowiec, wydawca. Z wykształcenia prawnik. Laureat licznych laurów literackich, np. Nagrody im. Józefa Mackiewicza. Autor powieści (m.in. „Lament nad Babilonem”, „Choćbym mówił językiem ludzi i aniołów”, „Opowiem ci o wolności”, „Honor mi nie pozwala”, „Oraz wygnani zostali”, „Krew na rękach moich”, tryptyk „Pogrom – 1905, 1906, 1907” i najnowsza „Cieniem będąc, cieniem zostałem”) silnie osadzonych w polskiej historii.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Pogrom siedlecki

Ile makabrycznych zbrodni popełniło UB w Polsce Ludowej? Nawet przybliżonej liczby ofiar nie znamy. Czasem było to kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt i jeszcze więcej ofiar. Ale jedna z nich nabrała rozgłosu na arenie międzynarodowej.

Była to egzekucja w Siedlcach, popełniona nocą z 12 na 13 kwietnia 1945 r. Przeprowadzona została ze szczególnym okrucieństwem i całkiem jawnie na żołnierzach polskiego podziemia, na oczach rodzin i świadków. Sprawcy nie dążyli do zacierania śladów. Miała wywołać przerażenie i tak się stało. Kilka niedoszłych ofiar przeżyło, mimo odniesionych ran. Innych ubecy nie zastali w domach i to ich uratowało.

Siedlecki ubecy zamordowali co najmniej 16 osób, m.in. Zbigniewa Szczukę, Mieczysława Pilarczyka „Śmigłego” i jego brata Zygmunta; Henryka Popka „Nudnego”; braci Stanisława i Zbigniewa Chacińskich; Aleksandra Wierzejskiego „Choinę”; Zbigniewa Byczyńskiego, Zdzisława Bieleckiego oraz Romana Krystosiaka. Siedem zwłok nie zostało rozpoznanych, być może ofiary zostały przywiezione z okolicy. Niektórzy świadkowie twierdzili, że byli nawet 24 ofiary, wśród nich 17-letni chłopcy.

Cieężko ranni, ale nie dobitci Edward Prachnio i Marian Pilarczyk przeżyli ubecką kaźń. Ciała ofiar po egzekucji

ubecy poukładali na rogatkach miasta, ku przestrodze mieszkańców. Zbrodnia została popełniona w ramach „czyszczenia terenu z reakcji”.

W 1992 r. żyjący świadkowie ujawnili specjalną grupę operacyjną, kierowaną przez ppor. UB Adeka Paryzera. Inni ustaleni funkcjonariusze to m.in.: Marian Reduch, Czesław Sągół, Marian Więckiewicz, Mikołaj Meluch, Hersz i Braun Blumsztajnowie.

Wskazywano też na kierowniczą rolę funkcjonariusza Wojewódzkiego UB w Lublinie Emanuela Alberga (vel Jana Emila Karpińskiego), który pochodził z Siedlec. Dwóch zbrodniarzy zostało zlikwidowanych przez polskie podziemie, inni byli pośpiesznie przenoszeni do nowych, odległych miejsc.

Informacja o pogromie dotarła do ówczesnego premiera Rządu RP w Londynie, Tomasza Arciszewskiego, który interweniował u Winstona Churchilla, a on poruszył tę sprawę w liście do Józefa Stalina. Ten zaś, zgodnie z sowiecką polityką dezinformacji, „wyjaśnił” to następująco: „Angielska służba informacyjna rozpowszechnia wiadomości o zabójstwach czy rozstrzale Polaków w Siedlcach. Te wiadomości [...] są od początku do końca zmyślane”.

Ubecy, zeznający w 1992 r. przed prokuratorem, twierdzili, że takiej zbrodni w ogóle nie było! Śledztwo bardzo szybko zostało umorzone. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wilno i kościół św. Anny

Filigranowy kościół św. Anny jest budowlą niezwyklej urody. To piękny przykład gotyku płomienistego, schyłkowej mutacji tego stylu architektonicznego. Widać już wpływy renesansu, w jego architekturze pojawiły „tysiączne ornamenty”, „ślepe arkady o misternych plecionkach” i „fantastyczne arabskie niesłychanie skomplikowanych sklepień gwiazdzystych”. Ten kościół wywiera wręcz ekstatyczne uczucia zachwyty. Nie pozostał obojętny na jego urodę nawet Napoleon Bonaparte, który po zajęciu Wilna w 1812 r. powiedział, że chciałby „postawić św. Annę na dłoni i przenieść do Paryża”.

Budowla powstała na przełomie XV i XVI w., poświęcono ją 22 maja 1501 r. Projektantem był gdańszczanin Michał Enkinger, który nie przepadał za renesansowymi nowinkami. Badacze podejrzewają, że właśnie przy projekcie kościoła św. Anny chciał wykaazać możliwości stylu, od którego już odchodzono. Na tyłach kościoła św. Anny wznosi się potężny, obronny kościół Bernardynów ufundowany przez Kazimierza Jagiellończyka. To kolejny przykład wileńskiego gotyku, tym razem jednak nie tak ozdobnego jak w przypadku sąsiedniej świątyni. Budowla została zdewastowana przez Rosjan w 1655 r., ucierpiała również podczas powstania kościuszkowskiego. W 1864 r. władze carskie skasowały zakon i świątynia

została zamieniona na kościół parafialny, natomiast budynek klasztoru przejęło wojsko. W okresie międzywojennym bernardyni powrócili do klasztoru, część zabudowań nadal jednak pozostała pod administracją wojskową, zlokalizowano tam również Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu Wileńskiego.

Po drugiej wojnie światowej Sowietci zamknęli kościół, a następnie zorganizowali tam więzienie. I gdy po raz pierwszy wszedłem do budowli w 2002 r., przez dłuższą chwilę nie mogłem dojść do siebie. Nigdy bowiem nie wyobrażałem sobie, do jakiego poziomu może dojść dewastacja zabytkowego wnętrza. W środku pozostały właściwie tylko mocno uszkodzone detale architektoniczne, natomiast reszta wyglądała jak po trzęsieniu ziemi. Nie było jednak zalegającego gruzu, dlatego widać było, że nawet po dawnych posadzkach nie ma już śladu.

Pamiętam przerażenie, odczyt mojego 10-letniego wówczas syna. Chłopak chodził po zdewastowanej świątyni, kręcąc głową, po czym zauważył skarbonkę, gdzie zbierano datki na odbudowę kościoła. Podszedł do mnie i zapytał, czy może do niej wrzucić wszystkie swoje lity z kieszonkowego. Skinąłem głową, gest dziecka chwycił mnie za serce, długo nie mogłem nic powiedzieć. Oczywiście po powrocie do domu zrekompensowałem mu z naddatkiem jego ofiarę. ©



Witold Repetowicz

Chociaż Erdoğan nie zdołał uzyskać kolejnej reelekcji w pierwszej turze wyborów prezydenckich w Turcji, to prawdopodobieństwo jego przegranej w drugiej turze jest minimalne. Oznacza to, że Turcja kontynuować będzie swoją awanturniczą politykę zagraniczną i pogłębiać współpracę z Rosją. Negatywnie wpłynie to na spójność NATO, w tym na rozszerzenie o Szwecję. Pytanie, jaki plan B mają Amerykanie

Teoretycznie można uznać te wybory za wielki triumf demokracji, gdyż frekwencja wyniosła 87 proc., a w wielu miejscach, w tym za granicą, tureccy wyborcy stali godzinami, by oddać głos. Trudno jednak w ten sposób je oceniać, skoro kilka tygodni wcześniej jedna z głównych partii, tj. prokurdyjska Demokratyczna Partia Ludowa (HDP), zmuszona była do wystawienia swoich kandydatów w wyborach parlamentarnych (odbywających się równolegle z prezydenckimi) z innej listy (Partii Zielonej Lewicy – YSP), gdyż groziła jej delegalizacja. Miał to być fortel Erdoğan, który liczył, że zastraszy w ten sposób Kurdów i skłoni ich do głosowania na niego i jego Partię Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Główna partia opozycyjna, tj. kemalistowska Republikańska Partia Ludowa (CHP), z której wywodzi się rywal Erdoğan, Kemal Kiliçdaroğlu, prowadziła bowiem przez większość XX w. skrajnie antykurdyjską politykę i dotąd nie miała żadnych szans wśród tej części wyborców w Turcji.

Ponadto więzienia w Turcji pękają w szwach od więźniów politycznych, w tym najważniejszego – Selahattina Demirtaşa, byłego lidera HDP, więzionego od 2016 r. tylko za to, że był niewygodny dla Erdoğan. Jego zwolnienie nakazał Europejski Trybunał Praw Człowieka,

Zły scenariusz dla Zachodu



Jesli prezydent Erdoğan (na zdjęciu) wygra drugą turę wyborów, to może to być fatalna wiadomość dla NATO

FOT. UMIT BEKTAS/AFP/EAST NEWS

ale Erdoğan to zignorował. Turecki przywódca, popularnie zwany sułtanem, zdołał również przejąć kontrolę nad wszystkimi niemal mediami, a pozostałe od dawna stosując autocenzurę. Czystki z osób krytycznie nastawionych do władcy objęły też wszystkie sfery życia publicznego, w tym oczywiście edukację i szkolnictwo wyższe, a dziesiątki tysięcy obywateli tureckich szuka schronienia przed prześladowaniami w Europie, uciekając z kraju często z narażeniem życia. Setki z nich uzyskały ochronę międzynarodową również w Polsce.

ZASKAKUJĄCE WYNIKI

Trudno więc uznać te wybory za wolne, choć fałszerstwa były bardzo ograniczone i nie wpłynęły w sposób znaczący na wynik. Erdoğanowi zabrakło pół punktu procentowego do bezwzględnej większości, a jego główny rywal zdobył 45 proc. Trzecie miejsce zajął ultranacjonalista Sinan Oğan, który uzależnił poparcie Kiliçdaroğlu od wykluczenia Kurdów z procesu politycznego. Tego kandydat opozycji nie może zrobić, gdyż to właśnie wśród Kurdów zdobył największe poparcie. Do głosowania na niego wezwali uwięziony Demirtaş i HDP. W rezultacie w Diyarbakir, największej prowincji kurdyjskiej, Kiliçdaroğlu zdobył 72 proc., a Erdoğan tylko 26 proc. Ponad 70-procentowe poparcie uzyskał on jeszcze w trzech innych prowincjach kurdyjskich, co się nie udało żadnej prowincji niekurdyjskiej. W przybliżeniu: co czwarty głos oddany na rywala Erdoğan'a pochodził od Kurdów.

Niekorzystne dla Kiliçdaroğlu są również wyniki wyborów parlamentarnych. AKP wprowadziła straciła siedem punktów procentowych, ale wraz z sojuszniką, ultranacjonalistyczną i zarazem antyzachodnią Partią Ruchu Nacjonalistycznego (MHP) utrzymała większość 322 miejsc w 600-osobowym parlamencie, podczas gdy sojusz CHP i nacjonalistycznej, ale antyerdoğanowskiej Dobrej Partii (İYİ) zdobył tylko 213 miejsc, a kurdyjska HDP – 65 miejsc. To, że obóz rządzący ma większość w parlamencie, jest dodatkowym elementem zmniejszającym prawdopodobieństwo wyboru Kiliçdaroğlu.

Takie wyniki są mimo wszystko zaskakujące, choć w zasadzie wszyscy zewnętrzni obserwatorzy bardzo ostrożnie

podchodzili do jakichkolwiek prognoz. Przegrana Erdoğan'a po 20 latach rządów wydawała się po prostu niewyobrażalna. Od 2015 r., gdy przeprowadził on czystkę we własnej partii, jego rządy stały się dyktatorskie. Bardzo pomocny okazał się też dla niego pucz w 2016 r., o którego przeprowadzenie oskarżył islamskiego (ale prozachodniego) kaznodzieję Fethullah'a Gülena, którego jeszcze kilka lat wcześniej uznawał za swojego mistrza. Gülen od końca lat 60. tworzył ruch zwany Cemaat, pomagający zdolnym studentom z biednych rodzin, którzy następnie tworzyli elity w wymiarze sprawiedliwości, strukturach siłowych, edukacji, kulturze itp. Tymczasem Erdoğan, który sam siebie uważa za ekonomicznego geniusza, nigdy nie uzyskał dyplomu. W połowie lat 70. włączył się w tępiący przez laickie władze kemalistowskie ruch islamistyczny, który znacznie większą rolę zaczął odgrywać w latach 90.

RZĄDY TWARDEJ RĘKI

Paradoksem jest, że to naciski Zachodu na demokratyzację Turcji – po tym, jak zakończenie zimnej wojny zmieniło globalny układ sił, a Turcja zaczęła starania o członkostwo w UE – otworzyły drogę islamistom do władzy. Kariera polityczna Erdoğan'a zaczęła się więc w 1994 r., gdy miał on już 40 lat. Został wówczas wybrany na burmistrza Sztambułu, którym był do 1998 r. Rok później trafił na cztery miesiące do więzienia za publiczne wyrecytowanie wiersza islamistycznego poety. Gdy wyszedł na wolność, Turcja była w głębokim kryzysie politycznym i ekonomicznym, a bardziej pragmatyczni islamiści postanowili połączyć siły z kilkoma innymi środowiskami (przeważnie prodemokratycznymi) i stworzyć nową partię – AKP. Gdy ta wygrała wybory w 2002 r., Erdoğan'a nie było na jej listach, gdyż objęty był sądowym zakazem aktywności politycznej. Dopiero zmiany prawne przyjęte przez nowy parlament umożliwiły mu udział w wyborach uzupełniających i objęcie funkcji premiera.

Erdoğan wciąż jednak nie czuł się pewnie, gdyż wojsko i wymiar sprawiedliwości były obsadzone przez odsuniętych od władzy kemalistów. Dlatego przeprowadzono dwa gigantyczne procesy:

Ergenekon i Balyoz. Objęły one setki osób z dotychczasowych elit władzy, a możliwe były dzięki wpływowi Gülena w wymiarze sprawiedliwości.

Jednakże gdy Gülen oczyścił drogę Erdoğanowi, ten postanowił pozbyć się dotychczasowego sojusznika, a po pucz w 2016 r. wszystkie osoby, które miały jakikolwiek związek z instytucjami edukacyjnymi tworzonymi przez Gülena, zostały objęte prześladowaniami.

Innym zwrotem w polityce wewnętrznej był jego stosunek do kwestii kurdyjskiej. Przed 2002 r. Kurdowie nie mogli używać swojego języka, a Turcy byli wychowywani w nienawiści do wszystkiego, co się wiązało z Kurdystanem. AKP, po dojściu do władzy, zaczęła to zmieniać, a w latach 2013–2015 toczyły się negocjacje z prowadzącą działania zbrojne przeciwko Turcji Partią Pracujących Kurdystanu (PKK). Jednak gdy osiągnięto porozumienie w lutym 2015 r., Erdoğan uznał, że ono nie służy umacnianiu jego sułtańskiej władzy, więc wyrzucił je do kosza, a politycy AKP uczestniczący w negocjacjach zostali usunięci z partii.

Latem 2015 r. rozpoczęto krwawą pacyfikację miast kurdyjskich. Europa milczała, gdyż jednocześnie Erdoğan skierował na nią strumień migracyjny, doprowadzając do wielkiego kryzysu. Niestety, Europa zatrzęsła się ze strachu i zamiast się przeciwstawić, postanowiła swą uległością udobruchać sułtana. A to tylko go rozzuchwiliło, zachęcając do jeszcze bardziej awanturniczej polityki.

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Gdy Erdoğan przejmował władzę, Turcja była w gospodarczym kryzysie, a ówczesny rząd obciążała dodatkowo nieporadna reakcja na trzęsienie ziemi, w którym w 1999 r. zginęło 18 tys. osób. Choć miasta w tym czasie były nowoczesne, to anatolijska prowincja była zafana i pogrążona w biedzie. Pod rządami Erdoğan'a zaczęło się to zmieniać, przy czym autorem sukcesu ekonomicznego AKP był wicepremier Turcji w latach 2009–2015 Ali Babacan. Tyle że był to pozbawiony charyzmy technokrata, którego Erdoğan oczywiście usunął ze swej drogi, gdy przestał być mu potrzebny, i dziś należy on do koalicji opozycyjnej.

Anatolijska biedota nadal wierzy więc w sułtana, będąc przepełniona

dozgonną wdzięcznością za poprawę jej statusu 10–15 lat temu. Jednak od kilku lat sytuacja gospodarcza Turcji gwałtownie się pogarsza, co jest przede wszystkim efektem działań Erdoğan i jego wiary w zbawczy efekt obniżania stóp procentowych w warunkach galopującej inflacji. W rezultacie inflacja wynosi 84 proc., przy czym żywność w 2022 r. zdrożała o 104 proc. W styczniu 2023 r. 75 proc. mieszkańców obawiało się braku dostępu do żywności w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, z czego 31 proc. – bardzo. Wartość tureckiej liry też leci na łeb na szyję. O ile 10 lat temu dolar kosztował mniej niż 2 liry, o tyle latem 2021 r. było to już 8,5, a obecnie 20 lir. Jednocześnie Erdoğan w ciągu ostatnich siedmiu lat czterokrotnie zmieniał szefa banku centralnego, gdyż napotykał opór wobec swoich coraz bardziej szalonych pomysłów. Na przykład w kwietniu 2021 r. z banku centralnego nagle zniknęło 128 mld dol. Przed całkowitą katastrofą ratowały Erdoğan przepływy finansowe z Kataru, a następnie również z Rosji i Arabii Saudyjskiej oraz ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Nic nie było jednak za darmo i w zamian Erdoğan zaczął oddawać Arabom kontrolę nad tureckim majątkiem narodowym.

Jeszcze bardziej niepokojące są relacje Erdoğan z Rosją, które zaczęły się dynamicznie rozwijać już w 2008 r., gdy doszło do szczytu turecko-rosyjskiego w Soczi. Przez lata jednak to zbliżenie było lekceważone i zagłuszane nieprawdziwym sloganem, że strategiczne interesy geopolityczne Turcji i Rosji są sprzeczne. Tymczasem powstały dwa gazociągi pompujące gaz z Rosji przez Morze Czarne do Turcji (Blue Stream) i dalej na Bałkany oraz do Węgier (Turk Stream), Rosjanie zbudowali w Turcji elektrownię atomową, a wisienką na torcie był zakup przez Turcję od Rosji systemu obrony przeciwrakietowej S-400.

Coraz silniejsze związki zaczęły również łączyć rosyjski ruch eurazjatycki Dugina z bliźniaczym nurtem w Turcji organizowanym przez sojusznika Erdoğan Doğu Perinçeka. Niezwykłym „zbiegiem okoliczności” była wizyta Dugina u Perinçeka w dniu nieudanego puczu w 2016 r. Erdoğan zawdzięcza zresztą opanowanie wówczas sytuacji

Turcja stała się jednym z głównych kanałów omijania sankcji przez Rosję, a import z Rosji wzrósł w 2022 r. dwukrotnie

(a także życie, bo miał zostać zabity) Rosjanom, którzy go w porę ostrzegli.

Gdy wybuchła wojna na Ukrainie, Turcja jako jedyne państwo NATO nie przyłączyła się do żadnych sankcji. Co więcej, Turcja stała się jednym z głównych kanałów omijania sankcji przez Rosję, a import z Rosji wzrósł w 2022 r. dwukrotnie. Tyle że o ile obroty handlowe Turcji i UE w 2022 r. wynosiły ponad 200 mld dol., przy czym import i eksport były na mniej więcej tym samym poziomie, o tyle w przypadku importu z Rosji wartość wynosi 59 mld dol., a eksportu do Rosji tylko 9 mld dol. Jeszcze większy deficyt ma Turcja w handlu z Chinami – import z Chin wynosi 41 mld dol., a eksport tylko 4 mld dol. Nic dziwnego, że Rosja zainteresowana była reelekcją Erdoğan do tego stopnia, że Kiliçdaroğlu ogłosił kilka dni przed wyborami, że zgromadzone zostały dowody na jej ingerencję w wybory, i zażądał, by „trzymała ręce z dala od państwa tureckiego”.

Do tej listy katastrofalnych dla Turcji działań Erdoğan można jeszcze doliczyć korupcję łączącą elity AKP z patodeveloperką turecką, która za łapówki obchodziła przepisy dotyczące antysejsmicznych standardów budowlanych. W rezultacie w majowym trzęsieniu ziemi zginęło ponad 50 tys. osób. Cóż jednak z tego, skoro w prowincji Hatay, która najbardziej ucierpiała, Erdoğan i tak otrzymał 48 proc. głosów. Dla nacjonalistycznie nastawionych mas zwolenników sułtana ważniejsze jest bowiem to, że rytualnie wygraża Europie i USA, tworząc złudzenie imperium. W tym zakresie tureccy wielbicieli Erdoğan niewiele się różnią od Rosjan ubóstwiających Putina i imperium, choć w obu przypadkach jest ono na glinianych nogach.

ZŁY SCENARIUSZ DLA ZACHODU

Jeśli nie zdarzy się cud i Erdoğan wygra, to będzie to fatalna wiadomość dla

NATO. Kontynuować będzie bowiem obstrukcję i członkostwo Szwecji w Sojuszu będzie dalej stało pod znakiem zapytania. To natomiast oznacza, że USA będą miały poważny problem. Biden jeszcze przed swoim wyborem stwierdził, że liczy na odsunięcie Erdoğan od władzy w wyborach. Dlatego relacje amerykańsko-tureckie były przez ostatnie dwa lata w zasadzie zamrożone. Biden nie chciał dociskać śruby Turcji, by nie zaszkodzić opozycji. Ale jeśli Erdoğan wygra, to USA będą musiały wdrożyć plan B, który będzie polegał albo na ustępstwach (co trudno sobie raczej wyobrazić wobec oporu wpływowych polityków demokratów), albo na wyciągnięciu „pałki” na Turcję. Ponadto Erdoğan zapewne będzie starał się ingerować w proces wyborczy w USA, by do władzy powrócił Donald Trump.

Kłopoty będzie miała też Europa, zwłaszcza Niemcy, gdzie niemal pół miliona Turków oddało swój głos na Erdoğan. To efekt tolerowania przez Niemcy aktywności agentury tureckiej, sprawującej kontrolę nad kilkoma milionami osób przybyłych z Turcji i ich potomkami. Szczególne „zasługi” ma tu instytucja o nazwie DİTİB kontrolująca ok. 1 tys. meczetów na terenie Niemiec, gdzie sączona jest propaganda reżimu Erdoğan i szerzony jest radykalny islam polityczny.

Gdyby wygrał Kiliçdaroğlu, możliwy byłby proces oczyszczania tych meczetów z ekstremistycznych imamów. Ten 75-letni ekonomista i były urzędnik państwowy średniego szczebla (tuż przed przejęciem władzy przez AKP) nie jest w ogóle sunnita, lecz alewita, a przynależność tej grupy religijnej do islamu budzi wątpliwości. Erdoğan wykorzystał to zresztą w kampanii wyborczej, a efekt pokazuje, że większość Turków uważa, iż Turcja jest państwem dla etnicznych Turków wyznających sunnicki islam i nikogo więcej. Co prawda, w młodym pokoleniu przemiany mentalnościowe mają miejsce, ale są zbyt wolne. Kiliçdaroğlu zapowiadał, że dla niego priorytetem będzie współpraca z Zachodem, a nie z Rosją, ale niewiele wskazuje, byśmy się mieli o tym przekonać. Podobnie pytaniem bez odpowiedzi pozostanie zapewne to, czy Erdoğan pogodziłby się z porażką, gdyby ona miała miejsce. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Od wielu miesięcy na Ukrainie trwa tradycyjna wojna pozycyjna. Linia frontu przesuwa się niemal niezauważalnie. Główną sceną teatru działań pozostaje Donbas. W ostatnim czasie tę monotonię przerwało starcie supernowoczesnych rakiet nad Kijowem. W nocy z ubiegłego poniedziałku na wtorek Rosjanie dokonali kolejnego zmasowanego ataku z powietrza na stolicę i inne miasta. Generał Wałerij Załużny poinformował, że obrona przeciwlotnicza zniszczyła 18 rakiet różnego typu, w tym sześć hipersonicznych pocisków manewrujących typu Kindżał. Rosjanie użyli też dronów Shaded 136/131 oraz Ołan-10 i Supercam. Jak oświadczył Załużny, wszystkie zostały zniszczone. Wizerunkowo szczególnym ciosem dla Moskwy było zestrzelenie kindżałów, które kremlowska propaganda reklamowała jako „niezniszczalne”. Sam Władimir Putin, zapytany niedawno, dlaczego w 2014 r. nie podbił całej Ukrainy, tłumaczył się brakiem broni hipersonicznej. Teraz okazuje się, że Ukraińcy nieźle sobie z tego typu bronią radzą.

Nie minęła doba, gdy okazało się, że najprawdopodobniej realny obraz sytuacji nie jest tak różowy. Obrońcom jednak nie udało się zestrzelić wszystkich rakiet. Rosyjskie MON ogłosiło, że kindżały nie tylko nie padły ofiarą obrony przeciwlotniczej, lecz także same zniszczyły stacjonujący w Kijowie system rakiet Patriot. Tę informację podało też CNN. Amerykanie przyznali, że kindżały trafiły w patrioty. W starciu supernowoczesnego sprzętu mamy remis, ale ze wskazaniem na Rosjan, którzy dowiedli, że stereotypowa opinia o ich technologicznej słabości jest mocno przesadzona.

DYRYGENT ORKIESTRY

Być może Moskwa uzyskuje powoli przewagę technologiczną nad wspieraną przez Zachód Ukrainą. Być może kindżały okażą się niebawem rosyjskim wunderwaffe. Jednak na razie to nie nad kijowskim niebem, ale w okopach Donbasu rozstrzygają się losy wojny. Na razie ostrzały raketowe nie złamały Ukraińców, a ukraińska obrona przeciwlotnicza nie zniechęciła Rosjan. O przyszłych granicach (czy też raczej liniach demarkacyjnych) zadecydują zdobycze terytorialne jednej bądź drugiej strony. Te zaś

uzależnione są zarówno od siły artylerii, jak i piechoty.

Od wielu miesięcy toczą się zażarte walki o Bachmut. Rosjanie bezskutecznie próbują zdobyć donbaskie miasteczko. Na tym odcinku kluczową rolę odgrywa Grupa Wagnera. Jej właściciel, Jewgienij Prigożyn, jest obecnie być może najbardziej rozpoznawalną twarzą

i szef sztabu generalnego celowo sabotującą wagnerowców, ponieważ są zazdrośni o sukcesy prywatnej firmy wojskowej, która lepiej sobie radzi na froncie niż siły regularne. Zarówno Szojgu, jak i Gierasimow stawali się wielokrotnie obiektami ostrej krytyki ze strony Prigożyna, który zarzucał im rażącą nieudolność. 5 maja biuro prasowe oligarchy opublikowało

Opricznik Putina



Maciej Pieczyński

Podczas gdy nad Kijowem przelatują supernowoczesne kindżały i patrioty, losy wojny, a być może też politycznej przyszłości Rosji, rozstrzygają się w okopach Donbasu. A tam rządzi niepodzielnie Jewgienij Prigożyn. Kucharz Putina, farmer trolli, dyrygent krwawej orkiestry Wagnera. „Ludowy mściciel”, współczesny opricznik

specoperacji. Dzięki jego specyficznej aktywności medialnej można odnieść wrażenie, że owiana złą sławą prywatna firma wojskowa jest najbardziej wartościową jednostką w szeregach rosyjskich. I to mimo że w Bachmucie wagnerowcy na razie nie odnieśli oszałamiających sukcesów. A jednak popularność Prigożyna i jego ludzi rośnie. Wiele wskazuje na to, że lans na walkach o Bachmut ma posłużyć „dyrygentowi orkiestry” Wagnera jako trampolina na szczyty władzy.

Petersburski oligarcha pozwala sobie na ostrą krytykę pod adresem dowództwa wojskowego, a nawet władz na Kremlu. Przez długi czas narzekał na brak amunicji. Sugerował niedwuznacznie, że minister obrony

na Telegramie szokujące nagranie. Widać na nim Prigożyna, stojącego nad zakrwawionymi ciałami wagnerowców, poległych w walkach o Bachmut. Odpowiedzialnością za ich śmierć obarcza ministra obrony i szefa sztabu. Prigożyn krzyczy do kamery: „Szojgu! Gierasimow! Gdzie jest, kur.a, amunicja?!”. Z wykrzywioną ze wściekłości twarzą oligarcha nazywa dowództwo dupkami i sukami, jednocześnie z szacunkiem i żalem wypowiadając się o poległych, którzy „byli czyimiś ojcami, czyimiś synami”, ale zginęli, bo „urzędasy”, siedzące na ciepłych stołkach, nie dostarczyli na czas amunicji. Od tygodni Prigożyn dopominał się m.in. o pociski artyleryjskie. Zagroził, że wycofa się spod Bachmutu, ■

■ jeśli nie dostanie amunicji. Publicznie zaatakował nawet samego Putina.

Uczynił to jednak w bardzo ostrożny, zawołowany sposób. W jednym z nagrań stwierdził, że z powodu głodu amunicyjnego, zamiast zabijać wrogów, jego ludzie giną, „a szczęśliwy dziadunio twierdzi, że jest wszystko dobrze. Jeśli okaże się, że on ma rację, niech Bóg da mu zdrowie. Ale co ma począć nasz kraj, co mają począć nasze dzieci, wnuki, jaka będzie przyszłość Rosji i jak mamy wygrać wojnę, jeśli przypadkiem okaże się, że ten dziadunio to skończony dupek?”. Znamienne, że nagranie opublikowano 9 maja. Prigożyn nie zamierzał świętować Dnia Zwycięstwa – w jego ocenie sytuacja na froncie ukraińskim jest tak fatalna, że nie ma czego świętować. Putin nie tylko nie ukarał krnąbrnego oligarchy, lecz także najprawdopodobniej nacisnął na Szojgu i Gierasimowa, żeby w końcu spełnili żądania.

WŚCIEKLI PATRIOCI

Dlaczego właściciel prywatnej firmy wojskowej pozwala sobie na publiczną, wulgarną i bezpardonową krytykę naczelnego dowództwa, a nawet samego władcy Kremla? Fenomen Prigożyna pokazuje, jak bardzo nieuprawniony jest stereotyp, zgodnie z którym Rosja jest totalitarnym monolitem, rządzonego twardą ręką cara. Sytuacja polityczna jest bardziej złożona. Putin bez problemu już dawno poradził sobie z liberalną opozycją. Aleksieja Nawalnego wsadził do

Do systemowych ultrapatriotów można też zaliczyć Prigożyna oraz Ramzana Kadyrowa – obaj publicznie krytykują Szojgu i Gierasimowa, obaj wymuszali różne zmiany kadrowe w armii rosyjskiej, obaj cieszą się cichym poparciem Putina. Obaj też dysponują w zasadzie prywatnymi armiami, słynącymi z brutalności i właściwie niezależnymi od dowództwa wojskowego, a tak naprawdę podległymi bezpośrednio władcy Kremla. Gdy

zbyt miękki, nieudolny i nieskuteczny sposób prowadzenia wojny.

Obaj „patrioci” przy tym szczerze się nienawidzą. Prigożyn oskarża Girkina o tchórzostwo, Girkin Prigożyna zaś o to, że pozwala, aby wagnerowcy byli mięsem armatnim, i nie szanuje swoich ludzi (zdaje się, że oligarcha po cichu przyznaje tutaj swojemu krytykowi rację, i właśnie dlatego tak ostro dopomina się o amunicję). Obaj też krytykują ostro rosyjską biurokrację. Prigożyn uważa wręcz, że nieudolność urzędników to, obok sabotażu Gierasimowa i Szojgu, główna przyczyna klęsk na froncie. Oligarcha otwarcie w sprzyjających sobie mediach opowiada też o patologiach toczących regularną armię. Na przykład o tym, jak żołnierze piją wódkę na potęgę, a ich dowódcy w zaciszu gabinetu upijają się koniakiem i niczym się nie interesują. Zarówno Prigożyn, jak i Girkin otwarcie krytykują kremłowską propagandę, która w ich ocenie nazbyt optymistycznie, a przez to fałszywie przedstawia sytuację na wojnie.

Generalnie więc „wściekli patrioci” – zarówno systemowi, jak i antysystemowi – mają nieoficjalne pozwolenie na bezpardonową krytykę. Żadnemu z nich – od medialnego partyzanta Girkina do



Knajacki język i brutalność Prigożyna są w pewnym sensie jego politycznymi, a nawet kulturowymi atutami

łagru i jakoś z tego powodu nie wybuchła żadna rewolucja. Słomiany zapał ulicznych protestów w większych miastach zgaśł błyskawicznie.

Co innego opozycja na prawo od Putina. Nacjonalisci, neostalinisci, neofaszyści, połączeni wspólną ideą budowy antyzachodniego imperium. Część z nich tworzy opozycję koncesjonowaną. To trzy partie: Sprawiedliwa Rosja, Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji oraz Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej.

Prigożyn zagroził, że wycofa się spod Bachmutu, Kadyrow zaproponował, że zajmie jego miejsce. Do tego jest jeszcze opozycja pozasystemowa, zgrupowana głównie wokół Igora Girkina „Strielkowa” i Pawła Gubariewa, tworzących Klub Rozwścieczonych Patriotów, właściwie nieobecny w mediach państwowych, za to popularny w Internecie. „Strielkow” to bohater wojny w Donbasie z 2014 r. Podobnie jak Prigożyn (i generalnie cały obóz „na prawo od Putina”) narzeka na



Kadr z propagandowego
wideo Jewgienija Prigożyna
FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

polityczne. Mówi się, że zamierzał przejąć partię Sprawiedliwa Rosja. Jej obecny lider Siergiej Mironow szczylił się prezentem od Prigożyna – słynnym młotem, którym wagnerowcy wykonują szczególnie brutalne wyroki śmierci na zdrajcach i dezertach. Brutalność i bandycki sznyt grupy Wagnera to nieodłączne elementy jej wizerunku. Prigożyn sam ma za sobą kryminalną przeszłość. W latach 70., jako 18-latek, trafił na 13 lat za kratki za kradzież, rozbój i oszustwo. Trzy lata przed końcem wyroku wyszedł na wolność i został królem branży gastronomicznej. Zaczynał jako sprzedawca hot dogów, by kilka lat później być już właścicielem drogiej petersburskiej restauracji, w której stołował się sam Putin (jeszcze jako urzędnik miejski i potem już jako prezydent). Przyjaźń z nowym władcą Kremla przyniosła Prigożynowi wygrane przetargi na usługi dla armii rosyjskiej. Oligarcha założył też, pod przykrywką firmy IT, słynną „fabrykę trolli” internetowych w służbie kremlowskiej propagandy i dezinformacji. Właścicielem najmniejszej Grupy Wagnera został w 2014 r., ale oficjalnie zaczął się przyznawać do niej, gdy po latach działalności w różnych regionach świata najemnicy ujawnili się jako prywatna firma wojskowa, dzielnie walcząca na froncie wojny z Ukrainą.

Knajacki język i brutalność Prigożyna są w pewnym sensie jego politycznymi, a nawet kulturowymi atutami. Choć jest bogatym oligarchą, to bogactwa nie daje po sobie poznać. Ubrany w skromne moro, kreuje się na zwykłego, prostego człowieka z ludu (a nawet na surowego ojca narodu), który może i pluje jadłem na położonych, a zdrajców i dezertów każe bezlitośnie mordować, ale ma też ludzką twarz – z podkomendnymi rozmawia jak z równymi sobie, a poza tym jest, jaki jest, ponieważ jest wielkim patriotą i bardzo mu zależy na tym, aby Rosja wygrała tę wojnę. Zachwycony jest nim Aleksandr Dugin (główny ideolog środowisk na prawo od Putina), nazwał go wręcz bohaterem naszych czasów, a Grupę Wagnera – materiałem na nową oprócznicę. Czyli bezwzględną gwardię, która na rozkaz cara likwiduje wrogów wewnętrznych, czyści zdegenerowane elity. Ta wizja wpisuje się w typowy dla rosyjskiej kultury schemat, w którym „dobry car” rękami przybocznej gwardii

Według „The Washington Post” Prigożyn miał zaproponować Kijowowi, że zdradzi mu miejsca stacjonowania regularnych sił rosyjskich, jeśli Ukraińcy wycofają się z Bachmutu

likwiduje „złych bojarów” (czytaj: elitę – dawniej bojarzy, za Stalina starzy bolszewicy, za Putina oligarchowie, którzy to wyprzedali kraj Amerykanom w latach 90.). Prigożyn bywa też postrzegany jako „ludowy mściciel”, który w imieniu prostych ludzi może wypalić żelazem toczącą kraj chorobę biurokracji.

PUTIN GO POTRZEBUJE

Jednak samowola i krytykanctwo kucharza Putina muszą mieć też jakieś granice. Według „The Washington Post” Prigożyn miał zaproponować Kijowowi, że zdradzi mu miejsca stacjonowania regularnych sił rosyjskich, jeśli Ukraińcy wycofają się z Bachmutu. Oczywiście oligarcha zaprzeczył. Prigożyn gra na siebie i desperacko szuka sukcesów, ale trudno sobie wyobrazić, aby tak wiele ryzykował, dopuszczając się zdrady. Dopóki wagnerowcy walczą na pierwszej linii frontu, a kucharz Putina zapewnia świeże mięso armatnie, dopóty jego pozycja nie wydaje się zagrożona. Putin go potrzebuje.

Ponadto nawet w środowisku radykałów wyczuwalne jest zmęczenie postawą Prigożyna. Wspierająca ten obóz telewizja nacjonalistyczna Tsargrad.tv, zazwyczaj popierająca szefa wagnerowców, Kadyrowa, i innych niezadowolonych patriotów, ustami swojego eksperta Andrieja Pierły ostrożnie skrytykowała Prigożyna. Pierła zaapelował do oligarchy, aby powstrzymał się przed publicznymi atakami na rosyjskie dowództwo, bo to jedynie woda na młyn wrogów Rosji, którzy mogą się rozpisywać o konfliktach wewnątrz rosyjskich władz. Prigożyn zapewne przestanie narzekać, jeśli sytuacja na froncie zmieni się na korzyść Moskwy. Wtedy będzie chwalić, ale nie Szojgu czy Putina, lecz własne sukcesy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

gwiazdy mediów państwowych Prigożyna – włos z głowy nie spada. Stanowią oni swego rodzaju partię wojny – zwarty, zdyscyplinowany elektorat radykałów. Putin, szczególnie po 24 lutego 2022 r., musi się z nim liczyć. Potrzebuje „wściekłych patriotów”. Po pierwsze dlatego, że ile by narzekali na sposób prowadzenia wojny, są jej gorącymi zwolennikami i bez wątpienia mobilizują szerokie masy Rosjan do walki na froncie. Prigożyn wyciągnął z za krat ok. 10 tys. więźniów, którym obiecał amnestię w zamian za służbę na froncie. Takiego mięsa armatniego Rosja potrzebuje. Kucharz Putina (jak określany jest Prigożyn) to mięso serwuje. Już o wiele mniej potrzeba jej natomiast kryminalistów, którzy po odbyciu służby w Donbasie wychodzą na wolność i znów zaczynają mordować, kraść i gwałcić (a takich przypadków jest coraz więcej), to jednak skutek uboczny. Ponadto Putin zawsze może pokazać palcem na wulgarnego, agresywnego prymitywa stojącego na czele wagnerowców i dać do zrozumienia, że w Rosji są gorsi od niego. I że tylko on uniemożliwia takim jak Prigożyn dojście do władzy.

Choć fakty są takie, że Prigożyn już częściowo u tej władzy się znalazł. Bez wątpienia ma poważne ambicje



Niewypał Russiagate



Piotr Włoczyk

Opowieści o tym, że sztab Trumpa współpracował z Rosjanami, okazały się wierutną bzdurą. Za to FBI ma tu wiele za uszami. Mainstreamowe media w USA udają jednak, że nic się nie stało

Istotę tej sprawy dobrze ujął w dwóch zdaniach Ron DeSantis, gubernator Florydy, który jest dziś głównym rywalem Trumpa w Partii Republikańskiej. „Raport Durhama potwierdził to, co już wiedzieliśmy: instytucje federalne używane jako polityczna broń sprokurowały nieistniejący spisek na linii Trump – Rosja. To przypomina nam, że trzeba posprzątać w tych instytucjach, ponieważ nie zostały one pociągnięte do odpowiedzialności za to bezczelne nadużycie władzy” – skwitował DeSantis.

Mowa o opublikowanym w zeszłym tygodniu raporcie Johna Durhama, „specprokuratora”, który w 2019 r. został poproszony przez ówczesnego prokuratora generalnego Williama

Barra o wyjaśnienie, jak FBI prowadziło postępowanie w sprawie rzekomych kontaktów sztabu Trumpa z Rosjanami. Zarzuty, kolportowane wówczas w amerykańskich mainstreamowych mediach, sprowadzały się do jednego: zdrajca Trump chodził na pasku Rosji i dogadywał się z Kremlen, by wyeliminować swoją kontrkandydatkę.

Śledztwo FBI nazwane zostało „Crossfire Hurricane”. John Durham

FBI „zbywało lub świadomie ignorowało dowody”, które przeczyły tezie o spisku Trumpa z Rosjanami

nie zostawił na nim w swoim raporcie suchej nitki. Najcięższy zarzut to według niego to, że FBI „zbywało lub też świadomie ignorowało dowody”, które przeczyły przyjętej przez biuro tezie: Trump był w zмовie z Rosjanami. Śledczy z biura mieli się tu zachowywać skrajnie nieprofesjonalnie, wchodząc w buty polityków. Świadczy o tym m.in. to, że gdy w czasie kampanii przedstawiciele obcych państw starali się zyskać wpływ w sztabie Hillary Clinton, FBI ostrzegło demokratów. W przypadku Trumpa było zupełnie inaczej. Próby nawiązania przez Rosjan kontaktów ze sztabem ówczesnego republikańskiego kandydata na prezydenta były traktowane przez służby zgoła inaczej. Skończyło się na wielkim śledztwie, którego twarzą był

inny „superprokurator” – Robert Mueller. Prowadzone przez niego dochodzenie nie potwierdziło oskarżeń wysuwanych wobec obozu Trumpa o zмовę z Rosjanami, choć dobrze udokumentowało fakt, że Kreml na różne sposoby starał się mieszać w amerykańskiej kampanii wyborczej.

„Nasze śledztwo ujawniło także, że wysocy rangą funkcjonariusze FBI wykazali się poważnymi brakami w rygorze analitycznym, szczególnie w kwestii informacji otrzymywanych od osób i instytucji związanych z polityką. Te informacje po części uruchomiły »Crossfire Hurricane« i stanowiły podstawę dla prowadzenia tego postępowania, a także przyczyniły się do otwarcia śledztwa nadzorowanego przez specjalnego prokuratora Muellera” – czytamy w raporcie Johna Durhama.

Do czego się sprowadza ten akapit? Okazuje się, że FBI w sposób kompletnie bezkrytyczny przyjmowało donosy na Trumpa płynące z obozu jego przeciwników politycznych. Biuro marnowało czas i pieniądze na badanie kolejnych wątków, które „pączkowały” z materiałów podrzucanych przez demokratów, czasem nawet wprost ze sztabu wyborczego Hillary Clinton. Śledztwo w sprawie Russiagate nabierało rozpędu, choć – jak wykazał to Durham – nie było tu żadnego dowodowego „paliwa”. Te „tropy” nigdy nie powinny być na serio podejmowane. Jak podkreślono w raporcie, wszystko, co pasowało do tezy o spisku z Kremlem, było przyjmowane ze zbyt dużą dozą ufności, a ponadto informacje, które przeczyły tej wersji, były z góry przekreślane jako niewiarygodne. I dopiero na samym końcu tego wielkiego śledztwa ustalono, że jednak nie można oskarżyć obozu Trumpa o spiskowanie z Rosją w celu wykołajenia procesu wyborczego w USA.

MEDIALNE WYPIERANIE

Czy w związku z publikacją raportu „specprokuratora” Durhama mainstreamowe media, które przez lata robiły z Trumpa rosyjskiego agenta i wieszczły, że Russiagate to już niemal Watergate, posypały głowę popiołem? Nic z tych rzeczy. Fakt, raport został przez nie nagłośniony, ale pod bardzo specyficznym kątem.

„Cztery lata, wydane miliony dolarów, rekordowo długie dochodzenie i... nie ma nic do pokazania” – ogłosił Joe Scarborough w swoim popularnym programie „Morning Joe”, emitowanym przez MSNBC. Podobnie wyglądały komentarze w innych lewicowo-liberalnych stacjach telewizyjnych i gazetach. Raport Durhama ma być „jednym wielkim niczym”. Media te skupiły się bowiem niemal wyłącznie na narracji, którą obóz Trumpa powtarzał od początku śledztwa w sprawie Russiagate: był to spisek tzw. głębokiego państwa, które chciało wyeliminować republikańskiego prezydenta.

Raport Durhama niczego takiego nie potwierdził, ale to przecież tylko niewielka część tej skandalicznej historii. Brak dowodów na istnienie spisku mającego oczernić Trumpa nie przykrywa całej reszty: FBI zachowywało się skrajnie nieprofesjonalnie, prezentując uprzedzenia względem obozu Trumpa, co przez kilka

„największym polowaniem na czarownice”.

KRYTYKA BARRA

„Jeżeli to nie było polowanie na czarownice, to była to doskonała imitacja takiego polowania” – powiedział na antenie Fox News William Barr, prokurator generalny powołany przez Trumpa, który dziś jest z nim jednak w nie najlepszych relacjach (Barr odmówił w 2020 r. Trumpowi podjęcia prób podważenia legalności wyboru Joe Bidena).

„Zarówno prasa, jak i FBI porzuciły wszelkie pozory profesjonalizmu i zajęły się tą sprawą z wielkim zapałem. Z perspektywy FBI ta sprawa, to ich tzw. śledztwo, to jedno wielkie obrzydlistwo” – powiedział Barr, który w 2019 r. powołał Durhama na stanowisko „specprokuratora”.

I choć Barr ostro krytykował w Fox News FBI i bronił Trumpa w kontekście medialnych oskarżeń o knucie z Rosjanami, to jednak nie sposób zapisać go dziś do obozu 45. prezydenta. Barr wprost powiedział, że Trump nie ma już obecnie tej samej mocy jednoczenia Partii Republikańskiej, którą miał jeszcze w 2016 r., i w związku z tym dziś już nie może liczyć na jego poparcie.

„Według mnie [Trump] nie zdobędzie nominacji. Osobiście nie mam nic do niego, ale po prostu nie uważam, żeby to był lider, który poprowadzi Partię Republikańską w przyszłość” – podsumował Barr.

Były prokurator generalny nie jest jednak głosem większości wyborców Partii Republikańskiej. Ci bowiem gremialnie popierają byłego prezydenta. Od dwóch miesięcy, odkąd Trump został postawiony w stan oskarżenia przez nowojorskiego prokuratora, jego sondaże wśród prawicowych wyborców nieustannie pną się w górę. W ciemno można zakładać, że rewelacje z raportu Durhama mogą tylko wzmocnić te tendencje. Jak donosił z niepokojem w połowie maja portal CNN, „sondażowa przewaga Trumpa w prawyborach jest na historycznym poziomie”. I faktycznie, sondażowa średnia daje mu już nieco ponad połowę głosów wśród republikańskich wyborców. Z kolei jego największy rywal w wyścigu o nominację – Ron DeSantis – może liczyć na niewiele ponad 20 proc. głosów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Donald Trump od początku przekonywał, że szukanie podejrzanych powiązań między nim a Rosjanami to polityczna zagrywka

lat dawało paliwo polityczne politykom i publicystom, którzy chcieli widzieć w 45. prezydencie „ruskiego agenta”.

Trump od początku przekonywał, że doszukiwanie się podejrzanych powiązań między nim a Rosjanami to polityczna zagrywka. W maju 2017 r., w reakcji na powołania specprokuratora Muellera, Biały Dom Trumpa wydał dość powściągliwe w tonie oświadczenie: „Podkreślałem to już wiele razy. Porządnie przeprowadzone śledztwo pokaże to, co już teraz wiemy: nie było żadnej współpracy pomiędzy moim sztabem a obcym państwem. Liczę na to, że ta sprawa zostanie jak najszybciej wyjaśniona”. Jednak już dzień później Trump wypalił na Twitterze: „To jest największe polowanie na czarownice w historii amerykańskiej polityki!”. I tego porównania 45. prezydent USA trzyma się do dziś: pogoń FBI za rosyjskim tropem w otoczeniu Trumpa ma być właśnie



ZABIJANIE NA ŻYCZENIE W PORTUGALII

W Portugalii specjaliści medyczni będą pomagać w samobójstwach tym, którzy przeżywają skrajne cierpienie, są nieuleczalnie chorzy lub doświadczyli ciężkiego urazu. Konserwatywny prezydent kraju zawetował wprowadzającą eutanazję ustawę, ale w ubiegłym tygodniu parlament odrzucił jego weto. Marcelo Rebelo de Sousa musiał więc podpisać ustawę, z którą się nie zgadzał.

FOT. ADRIE STUCK

PREZYDENT UTKNAŁ NA ZJEŹDŹALNI

Gabriel Boric Font w ubiegłym roku wygrał wybory w Chile i jest najmłodszym w historii prezydentem tego kraju. Nie tak jednak młodym, by bawić się na placu zabaw. Font został nagrany przez spacerowniczkę, jak po próbie zjazdu zjeżdżałnią na placu zabaw dla dzieci utknął w rurze. Musiał wyłamać elementy, by się stamtąd wydostać. Jego walce o wolność przyglądała się rozbawiona do łez pierwsza dama.

MAŁI NIEMCY ANALFABECI

W Berlinie zaprezentowano wyniki Międzynarodowego Badania Czytelności w Szkołach Podstawowych (IGLU). Okazało się, że co czwarty uczeń czwartej klasy w Niemczech nie potrafi czytać tekstu ze zrozumieniem. Zdaniem niemieckich ekspertów to nie tylko wpływ nasilonej migracji, lecz także skutki zamknięcia szkół podczas pandemii.

BLISKO POWTÓRKI Z WYPADKU DIANY

Jak ujawnił rzecznik księcia Harry'ego, w Nowym Jorku paparazzi ścigali taksówkę, którą jechał z żoną Meghan. „Ten nieustanny pościg, trwający ponad dwie godziny, doprowadził do wielu kolizji z udziałem innych kierowców na drodze, pieszych i dwóch funkcjonariuszy nowojorskiej policji” – ujawniono. Matka księcia Harry'ego – Diana – zginęła w 1997 r. w Paryżu, gdy samochód z nią i synem egipskiego milionera podczas ucieczki przed paparazzi roztrzaskał się o betonowy filar.

OBIAD NA RZECZ AGRESJI

Komunistyczna Partia Rosji zgłosiła pomysł na to, jak wesprzeć żołnierzy, którzy biorą udział w napaści na Ukrainę. Zaproponowała projekt nowej opłaty dla klientów barów, restauracji i klubów nocnych. Wpływy z niego miałyby zasilać fundusz wsparcia rosyjskich żołnierzy. © ©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Niemcy znów pokonani

Gdyby przybyszowi z innego kontynentu trzeba było wytłumaczyć stosunki we współczesnej Europie, wystarczyłoby go zmusić do obejrzenia kilkugodzinnej szmiry zwanej Eurowizją. Pseudokontkurs od lat reprezentuje to, co najgorsze na Starym Kontynencie. Podejście jurorów do oceny wartości artystycznej piosenek jest niemal tak bezstronne jak troska zachodnich polityków o stan praworządności w Polsce.

Wyniki konkursu niemal co roku można więc przewidzieć, zanim artyści wydadzą z siebie jakikolwiek

dźwięk. Wystarczy spojrzeć na kraj pochodzenia i krótką notkę biograficzną. Baba z wąsami jest już nieco passé. Dziś najlepiej sprzedają się reprezentanci LGBTQ, z naciskiem na „Q”. Co roku w ciemno można też obstawiać, które jury da zaprzyjaźnionym sąsiadom co najmniej 10 punktów, nawet jeśli ich reprezentant zawodziłby jak pijany wuj w samej białiznie. Pozory uczciwości daje głosowanie telewizorów, ale ogromne rozbieżności w ocenach jury i publiczności są tylko dowodem na stronniczość tych pierwszych (reprezentantka Polski według widzów zajęła ósme miejsce, a po wzięciu

pod uwagę decyzji jurorów znalazła się dopiero na pozycji 19.).

Publiczność i jurorów łączy jedno: nikt nie lubi Niemców. Nasi sąsiedzi kolejną edycję zakończyli więc na szarym końcu. I ciężko na to zapracowali. W tym roku na scenę wytoczyła się banda pozbawionych wielkiego talentu obdartusów w obcisłych czerwonych kubraczkach, którzy gdyby nie to, że ich kraj hojnie finansuje całe przedsięwzięcie, nie mieliby najmniejszych szans na występ w finale europejskiego festiwalu. Pytanie jest więc proste: Czy my naprawdę musimy brać udział w Eurowizji? © ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ile kosztuje nas inflacja?

Podatek inflacyjny jest jednym z najbardziej morderczych na świecie, o czym łatwo mogą się dziś przekonać ci, którzy zapomnieli o polskiej hiperinflacji z lat 80. i 90. albo urodzili się później i nie mogą o niej pamiętać. Od podatku inflacyjnego nie ma ucieczki, nie ma odeń ulg ani zwolnień; podatek ten nie jest jak brzytwa – każdą złotówkę i każdy grosz, który się posiada, dostaje lub wydaje.

Jak w rozmowie z INN:Poland ocenił Sławomir Dudek ze Szkoły Głównej Handlowej, „nawet jeśli inflacja w 2024 r. w Polsce spadnie do poziomu 5–6 proc., to siła nabywcza pieniądza z 2016 r. spadnie o połowę”. Czyli w 2024 r. za 1 tys. zł Polak będzie mógł kupić tylko tyle towarów i usług, ile w 2016 r. mógł kupić za 500 zł. To miara katastrofy dla budżetów polskich rodzin, jaką sprowadza na nie gigantyczna inflacja, która pożera ich bieżące dochody i oszczędności. Bo przecież podwyżki pensji już dawno przestały dostrzymać kroku inflacyjnej makabrze (na szczęście nieco słabnącej), a zatem wartość płac realnych systematycznie – z każdym miesiącem i kwartałem – spada.

W liczbach bezwzględnych wygląda to jeszcze bardziej bezwzględnie. „Ten podatek inflacyjny, wynikający ze zubożenia społeczeństwa i utraty wartości oszczędności, jest – w ostrożnych szacunkach – prognozowany na 150 mld zł” – ocenia Sławomir Dudek.

Jeszcze inaczej wyliczył to jeden z ekonomistów z PKO BP, dowodząc, że gdyby w 2022 r. inflacja wyniosła tyle, ile wynosi cel NBP, czyli 2,5 proc., to Polacy zapłaciliby za kupione przez siebie towary i usługi o 175 mld zł mniej. To daje średnio ponad 4,6 tys. zł mniej na każdego statystycznego Polaka, niezależnie od jego wieku. A według szacunków dziennikarzy „Dziennika Gazety Prawnej” pod względem zasobności finansowej liczonej w relacji do polskiego PKB Polacy ostatnio zbiednieli tak bardzo, że cofnęli się pod tym względem aż o 10 lat, czyli do roku... 2013!

No i niestety niewiele wskazuje na to, żeby w tym roku podatek inflacyjny miał być znacząco niższy niż w poprzednim, a to oznacza, że każdy z nas znowu straci na jego rzecz średnio po niemal 5 tys. zł. Zresztą równie dobrze może się okazać, zważywszy na niekończące się nieumiarkowanie w szafowaniu groszem publicznym przez rząd, że ten podatek inflacyjny będzie w tym roku jeszcze większy. A i w przyszłym wcale nie musi być dużo niższy.

I na domiar złego inflacja, która trwa u nas już długich kilka lat, potrwać może jeszcze kilka – w sumie znacznie dłużej niż w krajach, w których władze dbają o to, by się nadmiernie nie przeciągała. Czyli w tych państwach, w których walkę z inflacją traktuje się tak, jak całe swoje państwo i wszystkie jego sprawy – czyli poważnie. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

„To nie ja będę dawał”

TINSTAAFL – mówi to państwu coś? Zapewne nie, również dlatego, że w polskiej polityce dominują dzisiaj socjaliści, którzy albo tego skrótu nie znają, albo chcą o nim koniecznie zapomnieć. TINSTAAFL to „there is no such thing as a free lunch”, czyli: „nie ma takiej rzeczy jak darmowy obiad”. Kto jest autorem tej frazy – nie wiadomo, ale użył jej m.in. jeden z gigantów myśli liberalnej Milton Friedman, tytułując w ten sposób zbiór swoich tekstów drukowanych w tygodniku „Newsweek”.

Jeśli władza mówi, że coś będzie „darmowe”, to znaczy, że ktoś będzie musiał na to zarobić

TINSTAAFL obrazuje prostą ekonomiczną prawdę: nic nie jest darmowe. Bogactwo bierze się wyłącznie z pracy, nigdy z transferów. Jeśli władza mówi, że coś będzie „darmowe”, to znaczy, że ktoś będzie musiał na to zarobić. I tym kimś w najmniejszym stopniu będą sami politycy. Jak roześmiany oznajmił Jarosław Kaczyński podczas konwencji programowej PiS: „Przecież to nie ja będę dawał”.

Co to znaczy, że coś jest naprawdę darmowe? Najprościej mówiąc – że nie płaci za to w żadnej formie przynajmniej ten, kto z danej rzeczy korzysta lub ją kupuje. Gdy zatem władza w swej szczydrości zapowiada rychłe zniesienie opłat dla samochodów osobowych (do 3,5 t) za odcki autostrad kontrolowane przez Generalną Dyрекcję Dróg Krajowych i Autostrad, to tak naprawdę zapowiada tyle, że zamiast przez fatalną i koszmarnie wykonaną państwową aplikację (są znacznie lepsze prywatne alternatywy) zapłacimy za drogi w podatkach.

Nie jest to koniecznie rozwiązanie złe. Pytanie brzmi: Po co w ogóle było zaledwie kilka lat temu budować nowy system, obejmujący również pojazdy osobowe, skoro można było znacznie ograniczyć jego koszty, od początku nastawiając go jedynie na pojazdy ciężarowe? Co więcej, jest to jak zwykle wylanie dziecka z kąpielą. Uważnie śledzę dyskusje wokół autostrad w Polsce. Niemal nikt nie narzekał w ich trakcie na samo istnienie opłat. Narzekania dotyczyły innych kwestii: ich horrendalnej wysokości, szczególnie na odcinkach koncesyjnych, oraz sposobu pobierania, podczas gdy gdzie indziej – np. w Czechach czy Austrii – da się sprawę załatwić wygodną winietą (często elektroniczną).

TINSTAAFL – proszę o tym pamiętać. ©©



Łukasz Warzecha

Polskie firmy wkrótce obejmie nowy unijny „standard”. Zapłacą ogromne pieniądze. Kto je zarobi?

ESG to skrót od „environmental, social, governance”, czyli „środowisko naturalne, społeczność, zarządzanie”. Czy można sobie wyobrazić coś nudniejszego i budzącego mniejsze emocje niż „raportowanie niefinansowe ESG”? Żadnej nudy tu jednak nie ma – jest unijny standard, który już za moment obejmie ogromną liczbę firm także w Polsce, a który jest kolejnym ideologicznym projektem o ogromnych skutkach. Jego konsekwencją będą nie tylko koszty idące w miliardy złotych, lecz także stworzenie swego rodzaju systemu chorego współzawodnictwa, w którym elementem szantażu będą pieniądze.

Być może niektórzy trafili już na skrót „ESG” w czasie debat o gospodarce czy biznesie. Debatujący na ogół nie podważają sensu systemu. To przejaw swoistego stuporu, podobnego do tego, który pojawia się, gdy mowa o rozwiązaniach polityki klimatycznej. Tak jakby obawiano się powiedzieć głośno, że król jest nagi. Pojawia się najwyżej określenie, że raportowanie niefinansowe będzie „wyzwaniem”. To w postępowej gospodarce nowomowie oznacza olbrzymie problemy.

SZERZEJ NIŻ CSR

O co tu właściwie chodzi? Mówiąc najprościej, firmy notowane na giełdzie, również te najmniejsze, mają tworzyć bardzo rozbudowane, sformalizowane sprawozdania dotyczące kwestii powiązanych z zakresem ESG. Dotychczas obowiązek dotyczył tylko spraw czysto finansowych, choć niektóre – zwłaszcza duże – firmy dodawały do tego elementy swojej polityki społecznej, znanej jako CSR, czyli corporate social responsibility – społeczna odpowiedzialność biznesu. ESG to znaczące poszerzenie tego obszaru.

Już jednak samo CSR było na ogół jednym wielkim teatrem i picem. Wielkie

korporacje, aby zejść z linii strzału różnego rodzaju aktywistów, na ogół lewicowych, angażują środki w różnego rodzaju akcje lub przedsięwzięcia, które z pozoru wydają się nawet ciekawe, ale ich efektywność czy znaczenie społeczne są zerowe. Katalog takich przedsięwzięć jest ograniczony tylko inwencją PR-owców: od promocji jazdy do pracy rowerem, poprzez oddawanie krwi czy sadzenie drzewek, do stworzenia sieci specjalnych świetlic w mniejszych miejscowościach (wszystko to są przykłady z życia wzięte). CSR niczego oczywiście w makroskali nie zmienia. Oddziaływanie takich przedsięwzięć na cokolwiek jest równie „doniosłe” jak zmiany nazw funkcji w firmie sprawowanych przez kobiety na formy feminatywne (to też można by zresztą podciągnąć pod CSR).

Chodzi tylko o to, żeby CSR dobrze wyglądało w prospekcie firmy.

Rzecz w tym, że na fanaberii spod znaku CSR mogą sobie pozwolić wielkie firmy, które mają na ten cel specjalne biznesy. Dla nich to mały procent budżetu, zaliczany do pracy nad wizerunkiem. Firmy średnie – a zwłaszcza małe – nie mają czasu bawić się w bzdury, bo walczą o utrzymanie się na powierzchni wobec szybkich kosztów działalności. Zamiast obmyślać, gdzie posadzić drzewka z młodzieżą z sąsiedniej szkoły albo czy postawić wiatę na 50 czy 100 rowerów, zastanawiają się raczej, jak w przyszłym roku zapłacić składki ZUS, które znów mają rekordowo wzrosnąć.

W styczniu tego roku weszła w życie nowa unijna dyrektywa CSRD (2022/2464), czyli Corporate Sustaina-

Zniszczyć





FOT. AUDREY STODOL

bility Reporting Directive, zmieniająca dotychczas obowiązującą NFRD (Non-Financial Reporting Directive – dyrektywa o raportowaniu niefinansowym). Kluczowe jest tutaj słowo „sustainability”, oznaczające „zrównoważony rozwój”. To ulubione słowo klucz w postępowych kręgach ekonomistów czy polityków oznacza szeroki zakres spraw dotyczących i polityki klimatycznej, i równouprawnienia we wszelkich aspektach, i kwestii społecznych. We wprowadzeniu do aktu jest zresztą wymieniony europejski Zielony Ład jako jeden z powodów jej stworzenia. Wspomniano też o ONZ-owskiej Agencji Zrównoważonego Rozwoju 2030.

A tu większa próbka bełkotu, którym uzasadniono wprowadzenie przepisów: „Ostatecznymi beneficjentami lepszej sprawozdawczości jednostek w zakresie

zrównoważonego rozwoju byłoby indywidualni obywatele i oszczędzający, w tym związki zawodowe i przedstawiciele pracowników, którzy byłoby odpowiednio informowani i mogliby lepiej uczestniczyć w dialogu społecznym. Oszczędzający, którzy chcą inwestować w sposób zrównoważony, będą mieli taką możliwość, wszyscy obywatele natomiast skorzystaliby na stabilnym, zrównoważonym i sprzyjającym włączeniu społecznemu systemie gospodarczym. Aby osiągnąć takie korzyści, informacje na temat zrównoważonego rozwoju ujawniane w sprawozdaniach rocznych jednostek muszą najpierw dotrzeć do dwóch głównych grup użytkowników. Pierwsza grupa użytkowników to inwestorzy, w tym podmioty zarządzające aktywami, którzy chcą lepiej zrozumieć ryzyko i możliwości związane

z kwestiami zrównoważonego rozwoju dla swoich inwestycji, a także skutki tych inwestycji dla ludzi i środowiska. Druga grupa użytkowników to podmioty społeczeństwa obywatelskiego, w tym organizacje pozarządowe i partnerzy społeczni, które chcą pociągać jednostki do większej odpowiedzialności za ich wpływ na ludzi i środowisko”.

Całość ma 66 stron, z czego znaczna część to napisane w takim właśnie tonie wprowadzenie (charakterystyczna dla europejskich aktów prawnych część).

W innym z kolei miejscu autorzy dyrektywy przyznają, że termin „niefinansowy” jest uznawany za niedokładny, więc lepiej stosować określenie „informacje na temat zrównoważonego rozwoju”. Ten niepozorny akapit sygnalizuje już, z jakim systemem mamy do czynienia. O ile dane finansowe są konkretem i wymóg ich prezentowania w przypadku spółek giełdowych jest całkowicie zrozumiały, o tyle oczekiwane informacje ze sfery „zrównoważonego rozwoju” mogą być interpretowane w dużym stopniu dowolnie.

Z dyrektywy wynika, że duże firmy giełdowe zostaną objęte obowiązkiem raportowania niefinansowego od przyszłego roku, czyli pierwsze raporty skonstruowane według opisanego w dyrektywie schematu ukażą się w roku 2025. Firmy średnie i małe zostaną objęte obowiązkiem od roku finansowego 2026 z opcją przesunięcia terminu na rok 2028. Czasu wcale nie jest dużo, zwłaszcza że wiele mniejszych firm nie ma świadomości, z czym przyjdzie im się zmierzyć i ile to będzie kosztować.

JEDNYM ZAPŁACISZ ZA RAPORTOWANIE...

System przeanalizował Damian Olko, członek Rady Towarzystwa Ekonomistów Polskich, w raporcie napisanym dla Warsaw Enterprise Institute. Z analizy wynika, że obowiązkiem składania raportów ESG zostanie objętych ostatecznie 3650 polskich firm, dyrektywa CSRD zaś zakłada raportowanie – uwaga – 1,1 tys. pozycji! Ktoś nad zbieraniem tych danych będzie musiał siedzieć, ktoś będzie je musiał spisywać, opracowywać. W wielkiej firmie stworzy się do tego specjalną komórkę. Ale co mają zrobić firmy małe? Obarczone absurdalnie rozbudowaną sprawozdawczością,

■ w której ramach będą musiały podawać np., jaki ślad węglowy emitują albo ile zużywają wody, będą zmuszone delegować tę pracę do firm zewnętrznych.

A te – jak wskazuje rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz – są już przygotowane. Abramowicz przypomina, że podobnie wyglądała sytuacja przed wejściem w życie ramowego rozporządzenia o ochronie danych osobowych, czyli RODO. Gdy przepis miał wejść w życie, okazało się, że w blokach startowych stoją już firmy, które na tym przepisie zamierzają pasyżytować, oferując przedsiębiorstwom usługi zabezpieczania danych i wdrażania procedur RODO. Nie darmo, rzecz jasna.

Jeśli spojrzeć na efekty działania RODO, to można analogię do ESG snuć dalej. Efekty te są bowiem nikłe. RODO ma skutki przede wszystkim w postaci absurdalnego skomplikowania codziennych procedur, obsesyjnej anonimizacji tam, gdzie nie ma to sensu (na szkolnych tablicach ogłoszeń dzieci osiągające sukcesy są przedstawiane pierwszą literą nazwiska), natomiast firmy nielegalnie korzystające z naszych danych i zalewające nas reklamowym spamem mają się znakomicie, podobnie jak cyfrowi giganci, wykorzystujący nasze dane na sposób pozostający całkowicie poza naszą kontrolą.

Damian Olko oszacował, jakie koszty będą musiały ponieść przedsiębiorstwa poddane reżimowi ESG. „Firmy bezpośrednio objęte dyrektywą CSRD co roku będą ponosić koszt w wysokości od 1,4 do 2,6 mld zł. Dodatkowo poniosą jednorazowy koszt dostosowania się do tej regulacji w wysokości od 0,8 do 1,1 mld zł” – czytamy w raporcie.

Ale na tym nie koniec: dyrektywa wymusza bowiem przerzucenie obowiązku raportowania niefinansowego przez firmy giełdowe także na ich kontrahentów, tworząc łańcuch zobowiązań. Małe i średnie przedsiębiorstwa mogą z tego tytułu stracić rocznie nawet 8 mld zł. Olko pisze: „Gdyby CSRD rozszerzono na wszystkie MŚP z wyłączeniem osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą o zatrudnieniu do dziewięciu osób, coroczne bezpośrednie obciążenia wyniosłyby od 9,8 do 23,6 mld zł, a koszty jednorazowe wdrożenia regulacji od 5,5 do 13,2 mld zł”. Zakres raportowania w przypadku małych i średnich firm jest nadal opracowywany.

Sankcją za niedopełnianie raportowania ESC będzie wstrzymanie finansowania, także przez komercyjne banki

Rzecznik małych i średnich przedsiębiorców wyjaśnia: „ESG obciąży nie tylko firmy bezpośrednio poddane temu reżimowi, lecz także mniejszych kooperantów, a w przyszłości może posłużyć do nakładania nowych obciążeń na poziomie unijnym”. Przed tym samym przestrzega w raporcie dla WEI Damian Olko. Zakres wymaganych danych sprawia, że bardzo łatwo będzie je w którymś momencie powiązać choćby z dostępem do unijnych dotacji. Albo uzależnić od nich jakąś formę klimatycznej daniny.

... DRUGIM ZA SPRAWDZANIE RAPORTÓW

Co ma podlegać raportowaniu? Na przykład wspomniany już ślad węglowy (proszę sobie wyobrazić, jak żmudne będzie wyciąganie go w przypadku małej firmy), przystosowanie się do zmian klimatu, równe traktowanie w miejscu pracy, poszanowanie praw człowieka, wypełnianie celów zrównoważonego rozwoju, etyka biznesu i kultura korporacyjna, jakość relacji z klientami i dostawcami. Niektórzy wyobrażają sobie dzisiaj, że będzie można zatrudnić jednego tęgiego bajkopisarza do tworzenia sążnistych epistoł wypełnionych bełkotem z grubsza odpowiadającym tym niekonkretnym kategoriom. Mylą się. System jest bowiem wyposażony w kij w postaci audytu tworzonych sprawozdań. I na tym również będą się pały kolejne firmy. Jak szacuje Damian Olko w swoim raporcie, średni koszt audytu danych ESG, i to w wariantcie ograniczonym, dla firmy spoza giełdy, nieobjętej bezpośrednio obowiązkiem sprawozdawczości, jednorazowo wynosi 48 tys. zł, a w przypadku notowanej na giełdzie firmy objętej takim obowiązkiem – aż 317 tys. zł! W przypadku wariantu kompleksowego koszt rośnie do odpowiednio 116 i 751 tys. zł.

Adam Abramowicz wyjaśnia w rozmowie z „Do Rzeczy”: – Perfidia rozwiązań

ESG polega na tym, że system nie narzuca gotowych standardów do spełnienia, ale wymusza na firmach swoją wynalazczość. Firmy same mają wymyślać kolejne sposoby na sprostanie oczekiwaniom, a sankcją, gdyby im się to nie udało, będzie wstrzymanie finansowania, także przez komercyjne banki.

Dyrektywa narzuca bowiem standardy sprawozdawczości, ale nie mówi, co należy konkretnie zrobić. Pomiędzy firmami rozpocznie się zatem wyścig, by jak najlepiej sprostać oczekiwaniom elity, tworzącej mgliste normy „zrównoważonego rozwoju” w różnych sferach. Zamiast zajmować się wymyślaniem sposobów na prowadzenie biznesu, innowacjami, zarabianiem pieniędzy i maksymalizowaniem zysku – czyli tym, czym normalnie zajmują się firmy w wolnorynkowej gospodarce – ogromną część wysiłku będzie trzeba poświęcić na wymyślanie absurdów, mających dowiedzieć „społecznej odpowiedzialności”.

Jak sygnalizuje Abramowicz, będzie się to działo pod groźbą nieotrzymania finansowania na swoją działalność od komercyjnych banków. Te rozpoczęły już opracowywanie zasad, na jakich planują oceniać tzw. ryzyko ESG u swoich klientów. Raporty firm takich jak PWC wskazują, że w większości banki w Polsce chcą nadal raczej zachęcać klientów do realizacji celów wynikających z dyrektywy CSRD niż karać za ich niewypełnienie, ale to wciąż wczesny etap. Docelowo ma się to zmienić. Czyli albo stworzysz raport, który dowiedzie, że prowadzisz postępowy i „zielony” biznes – albo pożegnaj się z kredytem.

Raportowanie ESG to na razie pozornie specjalistyczne zagadnienie dla zainteresowanych. W rzeczywistości to wstęp do kolejnej wielkiej socjotechnicznej operacji na poziomie UE, która nie ma absolutnie żadnego merytorycznego uzasadnienia, nie wpisuje się nijak w zasady wolnego rynku, nie będzie służyć ani przedsiębiorcom, ani klientom, za to jej oczywistym skutkiem będzie wzrost cen, bo przecież koszt sprostania przepisom ostatecznie poniosą klienci. Na raportowaniu ESG upadnie się grupa pasożytniczych podmiotów, a ostatecznym rezultatem nieuchronnie będzie upadek kolejnych małych i średnich firm. Na polu gry pozostaną najwięksi, którzy zdominują je jeszcze bardziej. I może o to w tym wszystkim od początku chodzi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Aż 61 proc. Amerykanów obawia się, że sztuczna inteligencja (AI) zagraża przyszłości ludzkiej cywilizacji (przeciwnie sądzi 22 proc.), a ponad dwie trzecie badanych obawiają się negatywnych skutków wykorzystania algorytmów AI – wynika z opublikowanego w ubiegłym tygodniu sondażu przeprowadzonego przez Ipsos na zlecenie Reutersa. – Nie ma sposobu, aby zamknąć tego dżina w butelce – słusznie zauważył jednak senator Cory Booker podczas debaty o tym, jakie przepisy powinien przyjąć amerykański Kongres, aby uregulować rewolucyjne zmiany wynikające z wdrażania sztucznej inteligencji.

Tegoroczny raport banku inwestycyjnego Goldman Sachs nie pozostawia złudzeń: wdrażanie sztucznej inteligencji – jeśli rzeczywiście będzie ona tak sprawna, jak obiecują jej twórcy – do przyspieszenia automatyzacji zadań umożliwi znaczącą redukcję kosztów zatrudnienia, zwiększenie produktywności i wywołała niemały wstrząs na rynku pracy. „Wykorzystując dane dotyczące zadań zawodowych zarówno w USA, jak i Europie, stwierdzamy, że ok. dwóch trzecich obecnych miejsc pracy jest w jakimś stopniu narażonych na automatyzację ze strony sztucznej inteligencji, a generatywna sztuczna inteligencja może zastąpić nawet jedną czwartą obecnych pracowników” – czytamy w raporcie Goldman Sachs, którego analitycy sugerują, że globalnie generatywna sztuczna inteligencja może umożliwić zastąpienie 300 mln pełnoetatowych pracowników.

I nie jest to wcale pieśń przyszłości. W ubiegłym tygodniu brytyjski gigant telekomunikacyjny BT Group (dawniej British Telecom), prowadzący działalność w ponad 100 krajach, zapowiedział masowe zwolnienia. W ciągu najbliższych pięciu-siedmiu lat firma, która chwali się, że złożyła więcej patentów na sztuczną inteligencję niż jakakolwiek inna w Wielkiej Brytanii, zamierza zredukować personel o 42 proc., czyli o 55 tys. pracowników. Dyrektor generalny Philip Jansen przyznał, że część planowanych zwolnień jest związana z automatyzacją i wdrażaniem do pracy sztucznej inteligencji. Według Jansena do obsługi sieci cyfrowych potrzebnych ma być o ok. 10 tys. inżynierów sieci mniej

AI zabierze CI pracę?



Jacek Przybylski

Skutki automatyzacji już odczuli kasjerzy, sprzedawcy i telemarketerzy. Kolejni na liście tych, którzy przez roboty i sztuczną inteligencję będą musieli szukać innej pracy, są magazynierzy, bibliotekarze, sekretarki i taksówkarze, a także księgowi, pośrednicy kredytowi, pracownicy działów kadr, scenarzyści, prawnicy czy kontrolerzy ruchu lotniczego. AI może wkrótce przejąć setki milionów miejsc pracy

niż dotąd, a technologie takie jak automatyzacja i sztuczna inteligencja mają zastąpić kolejne 10 tys. osób.

A BT Group to tylko jeden z wielu przykładów ostatnich dni. Na początku maja inny światowy gigant – IBM – ogłosił, że dzięki automatyzacji – a zwłaszcza dzięki sztucznej inteligencji – zamierza w ciągu najbliższych pięciu lat zastąpić tysiące pracowników. Zaawansowane algorytmy mają na początek przejąć zadania niemal 8 tys. zatrudnionych, czyli mniej więcej jednej trzeciej pracowników tych działów, które nie mają bezpośredniego kontaktu z klientami. Firma nie szukaje masowych zwolnień, ale – jak zapowiada prezes IBM Arvind Krishna – IBM podjął decyzję o wstrzymaniu rekrutacji na te stanowiska, które mogą być już zastąpione dzięki wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Cytowany przez Bloombergę Krishna podkreśla, że w grupie ponad 25 tys. pracowników

koncernu może z łatwością wskazać tych, którzy w ciągu pięciu lat zostaną zastąpieni przez automatyzację oraz AI. Chodzi np. o pracowników działu kadr, jako że wiele elementów ich pracy, jak wydawanie świadectw zatrudnienia czy przenoszenie pracowników między działami, może być w pełni zautomatyzowanych. Sztucznej inteligencji z powodzeniem można również powierzyć część procesu rekrutacji. Ludzie w sektorze HR nadal będą potrzebni, ale w dużo mniejszym wymiarze niż dzisiaj. Zmiany będą dotyczyć wielu różnych sektorów, takich jak medycyna, marketing, usługi informatyczne, prawo, media czy handel.

Ben Goertzel, amerykańsko-brazylijski badacz oraz twórca SingularityNET, powiedział w niedawnym wywiadzie dla AFP, że w ciągu kilku lat sztuczna inteligencja będzie w stanie przejąć 80 proc. miejsc pracy zajmowanych obecnie przez człowieka. „Nie sądzę, że to zagrożenie. ▀

Job interview →



■ Myślę, że to dobra rzecz. Ludzie mogą znaleźć lepsze rzeczy do zrobienia niż zarabianie na życie... Prawie każda praca związana z papierkową robotą powinna być zautomatyzowana – przekonywał Goertzel, dostrzegając jednak problem „w okresie przejściowym, gdy sztuczna inteligencja będzie wypierać jednego pracownika za drugim...”. „Nie wiem, jak rozwiązać te wszystkie problemy społeczne” – przyznał jeden z najbardziej znanych guru branży AI.

REWOLUCJA 4.0

Wykorzystanie przez kolejne firmy sztucznej inteligencji to kolejny etap zapowiadanej od lat rewolucji przemysłowej 4.0. Niekoniecznie oznaczać ona będzie, że nagle większość pracowników przestanie być już potrzebnych. Może się jednak okazać, że od tych, którzy nie zostaną zastąpieni przez maszyny i sztuczną inteligencję, szefowie zaczną wymagać, aby zaczęli pracować wydajniej niż roboty. Sondaże wśród menedżerów pokazują, że wśród liderów biznesowych przeważa chęć wykorzystania automa-

tyzacji do zwiększania produktywności niż do zmniejszenia liczby pracowników. Sztuczna inteligencja umożliwia odciążenie pracowników i uwolnienie ich od obowiązków wykonywania koniecznych, lecz powtarzalnych zadań, co umożliwi im skupienie się na ważniejszych i bardziej kreatywnych obowiązkach. Z badania Uniwersytetu Stanforda oraz MIT wynika, że narzędzia wykorzystujące sztuczną inteligencję mogą doprowadzić do znaczącego wzrostu zatrudnionych np. na stanowiskach działu obsługi klienta.

Amerykańska sieć fastów foodów Wendy's ogłosiła w tym miesiącu, że testuje oprogramowanie AI do przyjmowania zamówień, które potrafi się domyślić, o co prosi klient nawet wówczas, gdy podaje nazwę produktu, którego nie ma w menu (np. jeśli ktoś, próbując zamówić koktajl lodowy, podaje nazwę tego produktu używaną przez konkurencję). Wendy's nie jest wcale pierwsza. McDonald's ma już bowiem w USA w pełni zautomatyzowaną restaurację i wdraża sztuczną inteligencję do

przyjmowania zamówień w punktach drive-thru. Ci pracownicy, którzy utrzymają zatrudnienie, mają skupiać się na szybszym przygotowywaniu zamówień.

Z opublikowanego w maju międzynarodowego badania Microsoft Work Trend Index wynika jednak, że 70 proc. pracowników chętnie używałoby sztucznej inteligencji jako swego sojusznika i wykorzystywałoby ją m.in. do zmniejszenia liczby swoich zadań, a co za tym idzie – do redukcji ryzyka wypalenia zawodowego. Z tego samego badania wynika, że 49 proc. respondentów obawia się o bezpieczeństwo swojego miejsca pracy w czasach AI. – To fascynujące, że ludzie są bardziej podekscytowani tym, że sztuczna inteligencja uratuje ich przed wypaleniem, niż martwią się, że wyeliminuje ich pracę – zauważa prof. psychologii Adam Grant, cytowany przez portal Business Insider. A Karin Kimbrough, główna ekonomistka LinkedIn, podkreśliła, komentując wyniki badań Microsoftu, że „jesteśmy w kolejnej fazie zmian wraz z wprowadzeniem generatywnej



transformacji. W pierwszej kolejności roboty przejmą rutynowe i powtarzalne czynności, następnie te bardziej skomplikowane. To nie oznacza, że pracownicy przestaną być potrzebni, wręcz przeciwnie. Natomiast kluczowe będą inne umiejętności, których trzeba nauczyć pracujących i wykształcić w młodych, którzy dopiero się uczą – zauważa założyciel Personnel Service i ekspert rynku pracy Krzysztof Ingłot w przesłanej „Do Rzeczy” wypowiedzi.

KTO UTRZYMA PRACĘ I WYSOKIE ZAROBKI?

Powszechna automatyzacja może być złą wiadomością dla tysięcy ludzi, którzy nie tylko nagle stracą pracę, lecz także stanie się to prawdopodobnie wówczas, gdy akurat w tym samym czasie nowego zatrudnienia będzie szukać wielu im podobnych.

Eksperci radzą, że aby w czasach panoszącej się sztucznej inteligencji utrzymać dobrze płatną pracę lub znaleźć nową intratną posadę, trzeba szybko podnosić swoje kwalifikacje. Według prognoz ekspertów cenione będą umiejętność krytycznego myślenia, inteligencja emocjonalna, a także szeroko rozumiana kreatywność.

– Nie musi to oznaczać, że wszystkie zawody uważane za „kreatywne” są bezpieczne. W rzeczywistości zawody związane z projektowaniem graficznym i sztukami wizualnymi mogą być jednymi z pierwszych do zastąpienia; podstawowe algorytmy mogą skierować bota do analizy milionów obrazów, umożliwiając sztucznej inteligencji natychmiastowe opanowanie estetyki – zauważa w rozmowie z BBC Martin Ford, autor książki „Rządy robotów: jak sztuczna inteligencja zmieni wszystko”. Bezpieczni nie mogą się czuć również pisarze, scenarzyści czy muzycy, bo kreatywne maszyny bardzo dobrze radzą sobie z tworzeniem obrazów, grafik, utworów muzycznych czy tekstów literackich. Zagrożeni mogą się też czuć specjaliści od public relations czy dekoratorzy wnętrz.

Zdaniem Forda dużo bezpieczniejsi są kreatywni twórcy w nauce, medycynie czy prawie, czyli np. specjaliści, którzy potrafią opracować nową strategię prawną lub biznesową. Maszyny szybko nie będą też w stanie zastąpić dzienni-

karzy śledczych, redaktorów potrafiących sprawnie wychwycić dezinformację, a także pielęgniarek, elektryków, hydraulików etc. Stosunkowo bezpiecznie mogą czuć się też np. tancerze, kelnerzy, policjanci, strażacy, ratownicy czy rybacy. Warto też pamiętać, że nawet najbardziej zaawansowane algorytmy nie potrafią jeszcze myśleć analitycznie i nieszablono, i to też jest przewaga, którą człowiek rywalizujący o pracę z maszyną będzie mógł wykorzystywać.

Powszechne wejście sztucznej inteligencji do codziennego życia będzie wymagało wielu zmian w prawie. Nie tylko w prawie pracy (Czy pracownik musi wykonać polecenie służbowe wygenerowane przez maszynę?), lecz także w prawie autorskim (Kto odpowiada za ewentualny plagiat: sprzedawca „dzieła”, właściciel komputera, na którym „dzieło” powstało, czy może autor programu generującego treści?) czy prawie cywilnym (Kogo pozwać za automatycznie wygenerowaną poradę prawną czy lekarską, która okazała się błędna?).

W pierwszej kolejności roboty przejmą rutynowe i powtarzalne czynności, następnie te bardziej skomplikowane. To nie oznacza, że pracownicy przestaną być potrzebni

szucznej inteligencji, która już zaczyna przekształcać rynek pracy”.

A jak sztuczna inteligencja oceniana jest nad Wisłą? Z badania przeprowadzonego przez firmę Personnel Service wynika, że w Polsce 56 proc. firm jest przekonanych, że sztuczna inteligencja i automatyzacja przyczynią się do zmniejszenia poziomu zatrudnienia. Przeciwnego zdania jest 27 proc. przedsiębiorców. Zmiana nastawienia menedżerów jest widoczna, bo jeszcze w 2020 r. 61 proc. firm odpowiadało, że automatyzacja nie wpłynie na poziom zatrudnienia, a tylko 30 proc. było przeciwnego zdania. – Niedawno opublikowaliśmy listę stanowisk najbardziej narażonych przez automatyzację i sztuczną inteligencję. Znaleźli się na niej m.in. kasjerzy, robotnicy budowlani, magazynierzy, a nawet rolnicy. Jednocześnie ze względu na rozwój takich narzędzi jak Chat GPT zagrożone stają się też stanowiska specjalistyczne. Rynek pracy na naszych oczach dynamicznie się zmienia. Większość znanych nam zawodów ulegnie większej lub mniejszej

Na szczęście na rynku pracy wiele dotychczasowych prognoz nie sprawdziło się wcale tak szybko, jak przewidywali ich autorzy. Nadal nie wożą nas po mieście automatyczne taksówki, a za kierownicami ciężarówek nadal siedzą zawodowi kierowcy. Jednocześnie wydaje się, że beztrochę ignorowanie zmian wynikających z wdrażania AI powoli dobiega końca. Warto więc zdobywać nowe umiejętności, bo automatyzacja oraz zaawansowane algorytmy już przecież zmieniają nasze życie, nawet jeśli nie zawsze jesteśmy tego świadomi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł został napisany i sprawdzony przez człowieka.

Ta niewielka bałtycka wyspa ma wszelkie walory, pozwalające uznać ją za najbardziej rajskie miejsce w regionie. Tym większym zaskoczeniem był alarm, który podniosły w sobotę 13 maja media duńskie, a za nimi inne skandynawskie, a także polskie. Mieszkańcy Bornholmu odczuli tego spokojnego popołudnia coś, co można by określić „dyskomfortem sejsmicznym”.

Prasa, powołując się na opinię prof. Trine Dahl-Jensen z Geological Survey of Denmark and Greenland, podała, że przyczyną mogło być trzęsienie ziemi o sile 2,3 w skali Richtera. Wstrząsy najprawdopodobniej miały swoje źródło, jak oceniła profesor, na lądzie w północnej Polsce. Natychmiast pojawiły się również sugestie, że zjawiska te mogą mieć związek z ćwiczeniami Sił Zbrojnych RP pod kryptonimem Anakonda-23, i opinia ta z każdym dniem staje się coraz bardziej prawdopodobna.

Trzęsienia mające siłę od 2 do 3,4 stopnia są odczuwalne przez niewielu ludzi. Na całym świecie rocznie dochodzi do ok. 800 tys. trzęsień tego typu. W Polsce trzęsień o tej skali zdarza się ok. 100–150 rocznie. Ich źródłem jest niemal wyłącznie działalność górnicza. Wstrząsy na Bornholmie, opisane jako niewielkie, pojawiały się falami i powodowały wibracje okien, ścian, a nawet silosów w porcie w Nexø. „Siedzieliśmy na tarasie, kiedy poczuliśmy kilka fal, rodzaj uciążliwego dudnienia, które pojawiało się w około 30-sekundowych odstępach” – relacjonowała jedna z mieszanek tego miasta.

GEOMITOLOGIA

Doktor Andrzej Piotrowski ze szczyńskiego Zakładu Regionalnego Geologii Pomorza Państwowego Instytutu Geologicznego określiłby to zdarzenie zapewne jako przebudzenie „Morskiego Niedźwiedzia”. Tą nazwą, należącą do mitologii bałtyckiej, dawni mieszkańcy wybrzeża określali katastrofalne zjawiska związane z nagłymi uderzeniami kilkumetrowych fal morskich – takie bałtyckie tsunami, wywoływane zapewne przez podmorskie trzęsienia ziemi.

Oto opis (1479 r.) sporządzony przez mnicha z klasztoru kartuzów w Darłowie: „Zostały całkowicie zniszczone



Pomruk Morskiego Niedźwiedzia?



Adam Zubek

Mieszkańcy Bornholmu zostali zaskoczeni wstrząsami ziemi. Czy to efekt tzw. Morskiego Niedźwiedzia? Czy może to inne „zwierzę” – Anakonda?

nabrzeża portowe, paraliżując na długi czas handel [...], prawie wszystkie domy zostały rozmyte, wszystko było potone, a rzeczka (Lutowa, łącząca Wieprzę z jeziorem Kopań) została zapiaszczona. Cztery cumujące w porcie statki zostały wyrzucone na ląd”.

Podobny opis pochodzi z XVIII w. (kronika L. W. Brueggemanna, przekład C.Z. Gałczyńska, 2001 r.): „Bałtyk posiada także często swoją własną pogodę, która z pogodą lądową nie ma związku; czasami jednakże, tylko rzadko, występuje podwodna burza w tymże (Bałtyku), o czym można wnioskować z tego, że przy czystym i spokojnym niebie daje się słyszeć wzdłuż pomorskich brzegów morskich toczący się grzmot, a na ląd wyrzucane są nieżywe lub na wpół żywe ryby morskie i przybrzeżne. Tak

było np. 3 kwietnia 1757 r. ok. południa przy spokojnej i jasnej pogodzie, brzeg Bałtyku koło Trzebiatowa nad Regą stał się nagle tak wzburzony, że wysokie fale zerwały duży prom zacumowany w porcie i przeniosły daleko na ląd. Po czym, kiedy to (falowanie) się trzykrotnie powtórzyło, morze stało się znowu spokojne. Żeglujący mieszkańcy wybrzeża nazywają to znane im zjawisko »Niedźwiedź Morski«.

Przyczyna „Morskiego Niedźwiedzia” nie jest znana. Według hipotezy dr. Piotrowskiego, jak podaje portal Nauka w Polsce, mogły nią być silniejsze trzęsienia ziemi w rejonie Skandynawii, które doprowadziły do gwałtownych osuwisk na dnie morza, czego efektem była eksplozja metanu uwiecznionego w warstwach tworzących dno. To

właśnie od towarzyszących eksplozjom pomruków zjawisko nazywano „Morskim Niedźwiedziem”. Hipoteza znalazła już wstępne potwierdzenie. Na Wybrzeżu Trzebiatowskim, w okolicach Mrzeżyna, znaleziono sięgającą 1400 m w głąb lądu warstwę piasku o uziarnieniu charakterystycznym dla pozostałości po tsunami. „Warstwa ma grubość ok. 10 cm, zalega na głębokości ok. 0,5 m i jest bardzo dobrze czytelna w profilu geologicznym. Żółty piasek wyraźnie kontrastuje z czarną warstwą torfów znajdujących się pod nim i nad nim” – wyjaśnia dr Piotrowski.

Powstał projekt poszukiwań kolejnych śladów tsunami na polskim wybrzeżu Bałtyku. Wezmą w nim udział naukowcy ze Szczecina, Gdańska i Poznania, a miejsca badań wybrano na podstawie historycznych przekazów wskazujących na możliwość wystąpienia takiego zjawiska.

Co naprawdę było przyczyną zaniepokojenia mieszkańców Bornholmu, do końca nie wiadomo. Wiadomo jednak, że trzęsienia ziemi w tej części kontynentu, uchodzącej za obszar asejsmiczny, są możliwe i zdarzają się wcale nie tak rzadko.

SEJSMICZNE NIESPODZIANKI

„Katalog trzęsień ziemi w Polsce” (istnieje takie opracowanie Instytutu Geofizyki PAN) jest zdominowany przez zdarzenia w południowej Polsce, w Małopolsce, na Śląsku i w Sudetach. Pogranicza czeskie i słowackie są regionami najbardziej aktywnymi sejsmicznie. Karpaty to fragment łańcucha gór systemu alpejskiego – najmłodszych w dziejach Ziemi, które wciąż rosną i dlatego się trzęsą. Zapewne, niejako przy okazji, „potrząsany jest” leżący na przedpolu tego łańcucha tzw. Masyw Czeski, którego północne obramowanie tworzą nasze Sudety. Wszystko, co znajduje się na północ od strefy gór systemu alpejskiego (a więc i Karpat), powinno być coraz spokojniejsze, są to bowiem – jak mówią geolodzy – stare platformy, gdzie procesy górotwórcze zakończyły się setki milionów lat temu.

Ale oto w „Katalogu” pojawiają się takie miejsca jak pradolina toruńska (1572 r.), Pojezierze Wałeckie (1606), Kotlina Warszawska (1680), Dolina Dolnej Odry (1786), Równina Białogardzka (1909). Ogniska tych trzęsień układają się w strefę ciągnącą się od Koszalina przez Warszawę

do Lublina, rozpoznaną już przed 100 laty jako część gigantycznej krawędzi tektonicznej, ograniczającej od południowego zachodu najstarszą część naszego kontynentu – platformę prekambryjską Fennoskandii.

Struktura, nazwana przez geofizyków strefą Teisseyre’a-Tonquista (w skrócie T-T), budzi do dziś kontrowersje wśród badaczy. Geolodzy i geofizycy zastanawiają się, jaki jest charakter tej granicy: Czy doszło tu miliony lat temu do zderzenia kontynentów, czy istniała tu raczej strefa ryftowa (na podobieństwo współczesnego Wielkiego Rowu Afrykańskiego)? Faktem jest, że strefę tę cechuje pewna niewielka, ale zauważalna w skali historycznej sejsmiczność. A strefa ta nie kończy się bynajmniej na polskim wybrzeżu. Jej przedłużeniem w kierunku północnym jest Bornholm, a dalej – cieśniny duńskie. Tak więc, jeżeli nawet epicentrum majowego trzęsienia znajdowało się na terenie północnej Polski, to obszar Bornholmu jest jak najbardziej podatny na przenoszenie wstrząsów. Geologicznym tego śladem są na Bornholmie charakterystyczne Doliny Szczelinowe, Ekkodalen i Dondalen, powstałe w trzeciorzędzie kilkanaście milionów lat temu wskutek pęknięć tektonicznych.

Ale wydarzyło się, nie tak dawno, inne najbardziej sensacyjne w dzisiejszych czasach trzęsienie ziemi. Zatrzęsała się w 2004 r. ziemia w Polsce północno-wschodniej (tzw. trzęsienie kalininogradzkie). Do wstrząsów o sile 5,3 stopni w skali Richtera doszło nie na granicy platformy prekambryjskiej, ale – co było wielkim zaskoczeniem – w jej obrębie, w znacznej odległości od krawędzi. Inny był także ich mechanizm. Odpowiedziałny był za to... śnieg. Ten dawniejszy.

Pewnej zimy, 1,5 mln lat temu, nad Skandynawią spadło więcej śniegu, niż mogło się stopić podczas lata. To samo powtórzyło się w następnych latach. Tak po tysiącach lat powstała czapa lodowa o grubości przekraczającej nawet 3 km, a olbrzymie jezory lodowe oparły się aż o Karpaty i Sudety. Geolodzy są przekonani, że pod ciężarem lądolodu nastąpiło znaczne ugięcie skorupy ziemskiej. Jest to możliwe, gdyż na głębokości 60–120 km leży strefa, w której skały, jakkolwiek w stanie stałym, zachowują się jak ciało plastyczne. Poniżej tej warstwy

wytrzymałość skał ponownie wzrasta. Wyliczono, że lądolód o grubości 1000 m powoduje obniżenie skorupy o 300 m. Po ustąpieniu lądolodu skorupa wraca do swojego pierwotnego położenia, z początku szybko (Skandynawia ok. 15 cm/rok), potem coraz wolniej (obecnie ok. 1 cm/rok). Ślady tego procesu na powierzchni lądu, np. w rejonie Zatoki Botnickiej, są wyraźne – miejscowości położone niegdyś nad morzem dziś są z dala od brzegu.

Tego rodzaju odkształceniom – a trzeba pamiętać, że nie są one rozłożone równomiernie, jako że centrum unosi się szybciej niż obrzeża – towarzyszy wzrost naprężeń w skałach, które rozładowywane są poprzez trzęsienia ziemi. Nawiasem mówiąc, Szwedzi czujnie kontrolują te zjawiska, działają tam 72 stacje sejsmologiczne (u nas osiem). Bo oczywiście w Skandynawii ziemia trzęsie się dość często, choć słabo.

Trzęsienie w Polsce północno-wschodniej było stosunkowo słabo odczuwane w samym epicentrum, w okolicach Kaliningradu, a jego siła skierowana była głównie w kierunku południowo-wschodnim, na Suwałki (odnotowano uszkodzenia budynków), choć oczywiście odczuł je wyraźnie mieszkańcy Olsztyna, Elbląga i Gdańska aż do Koszalina. Początkowo wiązano je z reakcją na odprężenie podłoża po ustąpieniu lądolodu kilkanaście tysięcy lat temu. Jednak z analizy zebranych danych zrodziła się sensacyjna hipoteza, przedstawiona kilka miesięcy po trzęsieniu przez dr. Pawła Wiejacza w „Acta Geophysica Polonica”. Odrzucał on raczej związek kaliningradzkiego trzęsienia z procesem polodowcowego dźwignia się Skandynawii i zasugerował, że mamy do czynienia z tworzącym się nowym uskokiem tektonicznym właśnie na linii Kaliningrad – Suwałki.

Jak widać, strefa uznawana za asejsmiczną jest zdolna do różnych niespodzianek (dlatego sejsmolodzy nazywają ją strefą pensejsmiczną, a więc charakteryzującą się możliwością występowania rzadkich i słabych wstrząsów). Bornholmski epizod będzie zapewne z ciekawością analizowany także przez polskich geofizyków. Nie ma bowiem gwarancji, że „Morski Niedźwiedź”, jeżeli to jego sprawka, zapadł w sen na dłużej.

VOLVO XC60 B4

Wieloletni król segmentu premium od kilku lat nie przechodził rewolucyjnych zmian, ale wciąż się nie zestarzał i w pierwszym kwartale 2023 r. nadal był liderem sprzedaży w Polsce, wyraźnie wyprzedzając Lexusa NX, Audi Q5 czy BMW X3. Rodzinny SUV szwedzkiej marki charakteryzuje się nie tylko ponadczasową, elegancką stylistyką z przyciągającymi uwagę reflektorami w kształcie młota Thora. Ma również nadal pod maską silnik... wysokoprężny (w ofercie jest też np. benzyna i oczywiście hybryda Recharge) o pojemności 2 l. W erze zielonej motoryzacji testowany model nie mógłby być wyłącznie dieslem. Jest więc tzw. miękka hybryda, czyli pod maską ma ukryty akumulator 48 V, magazynujący energię odzyskiwaną podczas hamowania, która wykorzystywana jest podczas przyspieszania czy jazdy z małą prędkością na krótkich odcinkach. Tak skonfigurowane auto skrywa pod maską 197 + 14 KM.

Testowane auto jest dzięki temu wystarczająco dynamiczne. Od zera do 100 km/h przyspiesza w 8,3 s, co jak na rodzinnego SUV-a jest zupełnie wystarczające. Model XC60 z dieslem pod maską bardzo przyjemnie współpracuje również z ośmio-



biegową automatyczną skrzynią biegów. Ma także tę zaletę, że w środku w ogóle nie słychać, iż to silnik wysokoprężny. A spalanie? Tu na szczęście widać, że to diesel. XC60 w wersji B4 podczas testu średnio spalało 7 l/100 km przy zachowaniu typowego dla użytkowników tej marki spokojnego stylu jazdy. Na jednym tankowaniu można więc spokojnie przejechać ponad tysiąc kilometrów. Prędkość maksymalna – jak w każdym nowym Volvo – to 180 km/h. I bardzo dobrze! A ponieważ Volvo to w motoryzacji symbol bezpieczeństwa XC60, jest też wyposażone w wiele systemów, które mają zapobiegać wypadkom, a jeśli to się nie uda, to może minimalizować ich skutki.

Wnętrze – jak na rodzinny samochód przystało – jest przestronne, wypełnione licznymi praktycznymi schowkami i bardzo przyjemnie wykończone. Niby po skandynawsku, czyli minimalistycznie, ale z wygodnymi skórzanymi

fotelami, drewnianymi wstawkami i ozdobnikami z aluminium i kryształu. Również kufer jest w tym modelu w miarę duży (483 l) i ustawny, choć niektórzy konkurenci mogą pochwalić się bardziej pojemnymi bagażnikami.

Duży ekran – system infotainment – ma wysoką rozdzielczość, ale wymaga od użytkownika przyzwyczajenia, a od inżynierów Volvo lepszego dopracowania, aby chcąc odnaleźć potrzebną funkcję, kierowca nie musiał na zbyt długo odrywać wzroku od drogi.

Ceny modelu XC60 B4 mild hybrid z napędem na przednią oś zaczynają się od 230 tys. zł, a z napędem na wszystkie koła – od 240 tys. zł. W najwyższej wersji wyposażenia z panoramicznym oknem dachowym, nastrojowym oświetleniem wnętrza, elektrycznie sterowanymi drzwiami bagażnika etc. cena na fakturze rośnie do ok. 290 tys. zł. ☺☺



TELEWIZOR SAMSUNG NEO QLED QN85C

Znakomita jakość obrazu, częstotliwość odświeżania na poziomie 120 Hz oraz stosunkowo przystępna cena jak na Mini LED – to największe zalety uniwersalnego modelu telewizora z serii Neo QLED 4K, który ma szansę stać się jednym z najlepszych tegorocznych modeli przeznaczonych dla użytkowników, którzy chcą nowej technologii, ale w sejfie nie trzymają zbyt wielu złotych monet.

Minimalistyczne wzornictwo i wysoka jakość wykonania to już standard w tej półce cenowej. Konstrukcja nie jest może aż tak smukła jak w przypadku telewizorów wykonanych technologii QD-OLED, ale jest na tyle odchudzona, że i tak dobrze przylega do ściany.

Największą zaletą testowanego telewizora jest technologia Quantum Mini LED, umożliwiająca precyzyjne sterowanie podświetleniem ekranu. To zaś bezpośrednio przekłada się na doznania podczas oglądania filmów w rozdzielczości 4K – widzom łatwiej jest dostrzec więcej detali, które są lepiej widoczne zarówno w jasnych, jak i w ciemnych scenach.

Na pochwałę zasługują pełne głębi, żywe kolory, wysoki kontrast, wysoka jasność maksymalna i szerokie kąty widzenia. Nawet czerń jest tu na tyle dobra, że wręcz można zapomnieć, iż to jednak nie jest OLED. Testowany telewizor wyposażony jest również w inteligentne skalowanie treści do 4K i udoskonalony procesor, który powinien jeszcze lepiej niż rok temu radzić sobie z udoskonalaniem jakości wyświetlanych treści. Rzeczywiście jest nieźle. W tym modelu znajdziemy również HDR10+. Szkoda jednak, że Dolby Vision nadal nie ma...

Testowany model powinien dobrze się sprawdzić nie tylko w domach kinomaniaków i fanów seriali (system Tizen 7.0 działa bez zarzutu), lecz także miłośników rozgrywek sportowych i zapalonych graczy. Jest on bowiem uzbrojony m.in. w automatyczny tryb gry oraz w funkcję zaawansowanego upłynniania ruchu, pozwalającą na grę bez lagów czy rozmyć obrazu. Po stronie plusów trzeba zapisać też dobre brzmienie z funkcją dźwięku podążającego za obiektem (jeśli bohater porusza się np. w górę/dół ekranu, to dźwięk będzie za nim podążał. Fajnie!). Jakość dźwięku jest na tyle dobra, że dialogi da się zrozumieć nawet w nowych polskich filmach. Testowany model umożliwia również (po podłączeniu osobno kupionej kamery) prowadzenie wideorozmów.

Model o przekątnej 55 cali – to najchętniej wybierana wielkość przez Polaków – kosztuje 7799 zł, 65 cali – 10 199 zł, 75 cali – 15 399 zł, a 85 cali – 20 999 zł. ☺☺

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Piławce – hańba... murewiecka



JACEK KOMUDA

Porażka pod Piławcami 23 września 1648 r. okazała się dla Rzeczypospolitej tragiczna. Złe dowodzona i skłócona armia uciekała, sprawiając, że od tej pory Chmielnicki zaczął myśleć o utworzeniu niezależnego państwa. Jak zwykle też wokół bitwy narosły grube tomy legend i mitów. Największe stworzył Sienkiewicz, podając w „Ogniem i mieczem”, że uczestniczyło w niej polskie ruszenie, a jedynym dzielnym wojownikiem był książę Jeremi Wiśniowiecki.

Prawda zaś jest taka, że po klęsce pod Korsuniem Rzeczpospolita stanęła przed problemem odtworzenia armii koronnej. Ponieważ zmarł król, hetmani dostali się do niewoli, a najlepsi żołnierze polegli, postanowiono, że wojska zaciągają będą województwa i powiaty, z których każdy uchwalał

pobory podatków. Wbrew temu, co można sądzić, zaciągi przeprowadzone zostały szybko i sprawnie, bo w skarbcach wojewódzkich znajdowały się fundusze zebrane na obronę. Powołano ponad 10 tys. jazdy i piechoty, do których doszło ok. 9 tys. prywatnych wojsk magnatów. Natomiast polskiego ruszenia w ogóle nie było pod Piławcami! Nadciągnęli jedynie liczni uciekinierzy z Ukrainy, którzy przyjeżdżali jako ochotnicy, chcąc walczyć o odzyskanie majątków zagarniętych przez Kozaków.

Armia koronna składała się zatem z wojsk powiatowych, prywatnych i wolontariuszy. Jak pisze Damian Płowcy, autor monografii bitwy, mieszanka taka okazała się po prostu wybuchowa. Powiatowi rotnistrzowie nie chcieli słuchać



FOT. DOMENA PUBLICZNA

regimentarzy, bo składali przysięgę przed sejmikami swych ziem, a nie przed nimi. Zawodowych żołnierzy nie było; nie było też hetmanów, aby zaprowadzić porządek. I tutaj pojawiał się dodatkowy problem: sejm wyznaczył na dowódców nie jednego regimentarza, ale trzech.

Regimentarzy przyjęto nazywać dziś „pierzyną, łaciną, dzieciną”, gdyż rzekomo nie mieli – w przeciwieństwie do Wiśniowieckiego – doświadczenia bojowego. To kolejny mit. Najstarszy z nich – Mikołaj Ostroróg – od 1626 r. był rotmistrzem, a więc miał prawie 22-letnie doświadczenie. Aleksander Koniecpolski został rotmistrzem w 1643 r., miał tylko pięć lat służby, ale był synem hetmana Stanisława Koniecpolskiego, który dbał o nauki wojskowe syna. Ostatni – Dominik Zasławski-Ostrogski zwany „pierzyną” – był słabym żołnierzem, ale pochodził z najbogatszego rodu w Rzeczypospolitej, co sprawiało, że wystawił silne oddziały prywatne. Natomiast fatalna okazała się działalność Wiśniowieckiego, który długo nie chciał uznać władzy regimentarzy i ściągnął do swego obozu część chorągwi, dając przykład warcholstwa. Z kolei sam doświadczenie miał mniejsze od Ostroroga – pierwszy raz wziął udział w wyprawie w 1633 r.

Z klęską iławiecką wiąże się jeszcze jedna historia – o bogactwach przywiezionych przez szlachtę na wyprawę. Mało kto wie jednak, że

byli wśród nich całe zastępy murew, czyli ładacznic. Kiedy nakazano usunąć je z obozu, panowie przebiegali je dla niepoznaki po męsku.

20 września armia koronna przybyła do Piławiec, gdzie Chmielnicki przygotowywał się do bitwy. Dzień później zaczęły się chaotyczne walki o groble przegradzające stawy. Ostatecznie Kozacy zostali wyparci, a oddziały gwardii królewskiej przeszły na drugi brzeg rzeki, usypując szańce. 22 września regimentarze pogodzili się z Wiśniowieckim i oddali wojsko pod jego komendę. Wówczas jednak chorągwie powiatowe i wolontarze odmówili pójścia w bój, twierdząc, że... nie chcą mordować chłopów, bo nie będzie miał kto pracować w majątkach. Co pokazuje, że wbrew legendzie książę nie cieszył się tak wielkim poważaniem, jakie przypisywali mu Sienkiewicz i późniejsi jego apologety.

23 września doszło do walk z Kozakami, w których wyniku jazda bez planu przeprowadziła się na drugą stronę Ikwy. Doszło też do starć ze wzbudzającymi strach Tatarami. Po południu odbyła się rada na koniach, na której wojewoda bracki Adam Kisiel doradzał albo zostać i zginąć, albo wycofać się pod Konstantynów i tam okopać kraj. Ostateczną decyzję podjął Zasławski, jednak kiedy piechota rozpoczęła odwrót, w obozie wybuchła panika. Praktycznie przez noc z 23 na 24 września cała armia uciekała, pozostawiając obóz, a w nim fantastyczne łupy, broń, namioty i skarby. Jak pisał jeden z pamiętnikarzy: „Na rynsztunkach i dostatkach jest szkody więcej niż 7 milionów, a hańby na tysiąc milionów, bo przy rządzie dobrym, a przy wodzach Boga się bojących, szczęśliwa mogła to być victoria”. ©



RIS. MART



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Majowy duet

Maj otwiera sezon na nasze ulubione owoce, warzywa, kwiaty – ich smaki i zapachy. Przyroda, która już w pełni się obudziła do życia, emanuje pełnią kolorów i odcieni. To najprzyjemniejszy czas, w którym obchodzimy najpiękniejsze święta – urodziny współautorki tekstu, czyli Magdy, Dzień Matki, pierwsze komunie święte.

Wszyscy urodzeni w maju to prawdziwi szczęściarze, bo zgodnie ze starodawnym przysłowiem: „Kto się w maju urodzi, dobrze mu się powodzi”. Majowe kobiety to prawdziwe boginie i porządne gospodynie. A inspiracji do tego, by błysnąć gospodarskim talentem, jest w maju sporo. Po pierwsze, są już dostępne nasze polskie truskawki – bardzo smaczne i słodkie, są szparagi, o których już pisałyśmy, i oczywiście rabarbar. Truskawki idealnie sprawdzą się jako dodatek do najlepszego deseru świata, który kojarzy nam się z majem – to wyśmienita i lekka jak piórko beza pavlova. Wykorzystujemy truskawki od maja do października, zarówno w słodkich ciastach, deserach, koktajlach, jak i w świeżych salatkach. Ulubionym daniem naszych dzieci jest od zawsze makaron z truskawkami, ze śmietaną i z cukrem. Bez tego nie ma sezonu letniego.

Ponieważ w maju jest wiele okazji do spotkań rodzinnych, polecamy, aby spróbować zrobić ten najślodszy deser świata, bo wbrew pozorom wcale nie jest to takie skomplikowane

i trudne, jak może się wydawać. Beza pavlova wychodzi zawsze, choć nie zawsze idealnie, jest kapryśna, ale warta trudu.

Beza pavlova

- 6 białek, tj. ok. 250 ml • 250 g cukru pudru lub drobnego cukru
- 1 łyżeczka mąki ziemniaczanej
- 1 łyżeczka octu lub soku z cytryny
- szczypta soli

Krem

- 1 opakowanie sera mascarpone 250 g • 1 mała śmietanka kremówka 200 ml • 1/2 szklanki cukru pudru
- 1/2 kg świeżych truskawek i kilka gałązek mięty • 1/2 kieliszka spirytusu • 1 łyżeczka ekstraktu z wanilii

Piekarnik nagrzewamy do 140 st. C. Białka ubijamy w schłodzonej misie ze szczyptą soli, aż będą sztywne, dodajemy po łyżce cukru i nadal ubijamy. Na końcu dodajemy sok z cytryny lub ocet i skrobimy ziemniaczaną. Sztynną i lśniąca pianę przekładamy na blaszkę, kształtujemy okrąg i formujemy dość wysokie brzegi. Wkładamy do nagrzanego piekarnika na 10 min, a następnie zmniejszamy temperaturę do 100 st. C i suszymy ok. 2,5–3 godzin. Po tym czasie piekarnik wyłączamy i pozostawiamy bezę w środku do całkowitego wystudzenia.

Masa kremowa

W osobnej misie ubijamy mascarpone ze śmietaną i powoli dodajemy cukier, aż krem będzie sztywny i podwoi objętość, na koniec dodajemy spirytus i ekstrakt waniliowy. Wszystko razem mieszamy szpatułką, schładzamy w lodówce. Krem układamy na schłodzonej bezę tuż przed podaniem i dekorujemy świeżymi truskawkami i miętą. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Weekend na wyspie

Pasażerowie wysiadają ze statku obładowani rzeczami. Niosą przenośne łodówki, torby, walizki. Ktoś ma grabie i widły, kto inny doniczki z rozsadami pomidorów. Dziadkowie prowadzą dzieci, które też niosą swoje rzeczy.

Wszystko tu trzeba przystarzać łódką ze Sztokholmu, bo na wyspie Norröra nie ma ani sklepu, ani bitych dróg, no i naturalnie nie ma samochodów. Na przystani, tuż po wyjściu na brzeg, podróżni mogą zabrać czekające tam na nich (własne) taczki i wózki na czterech kołach z dyszlem. Do nich załadują swój ekwipunek i zawiozą go do jednego z kilkuset domków letnich, pomalowanych – jakżeby inaczej – na czerwono. A raczej na słynny szwedzki kolor Falu Rödfärg. To więcej niż kolor, to szwedzka kultura – farba pochodzi z XVI w. i jest całkowicie naturalna, drewno oddycha, nie pleśnieje, nie gnije. Można kłaść wiele warstw, a tu przecież morski klimat.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu na Norrörze pasły się owce, farmerzy sprzedawali ryby, polowali. Gdy rolnictwo przestało się opłacać, zaczęli ziemię dzielić i sprzedawać jako działki. Stodoły i owczarnie przerobiono na domki letniskowe. W takim czerwonym domku przyjaciółki spędziłam majowy weekend. Domków jest tu całkiem sporo, stoją nawet dość blisko siebie, ale nikt nikomu nie przeszkadza. Przy domkach stoją rowery niczym nieprzypięte, narzędzia ogrod-



nicze, stoły, krzesła. Ścieżki ostatnio trochę rozkopano, bo właśnie ciągnięto światłowod.

Płaski i woda są. Jednak studnie nie mogą być zbyt głębokie, bo można by dokopać się do słonej wody. Co parę miesięcy spółdzielnia mieszkańców wydaje komunikat, czy woda jest dobra. My przystarzałyśmy wodę w kanistrach z niezbyt odległej pompy (pompa to dla mnie wspomnienie domu dzieciństwa w Milanówku). Dla wygodnickiego mieszczaucha, którym jest wyżej podpisana, największym problemem była toaleta. W łazience jest coś w rodzaju sedesu, co trzeba wyłożyć odpowiednim papierem, a po użyciu zalać wodą... Trochę łatwiej korzystać ze sławki na zewnątrz, ale tamta też wymaga obsługi. Mniejszą sprawę zalać wodą, większą czymś posypać... Państwo wybaczą szczegóły, starałam się być ogólna.

Morze, kwitnące drzewa i cudownie śpiewające ptaki – takie wrażenie wyniosłam z tych krótkich i jasnych dni. Całkowite odłączenie od świata. Ale najpiękniejsze ze wszystkiego były słowicze trele, które żegnały nas, gdy opuszczając wyspę, szliśmy w stronę przystani. Dają słowo, słowiki istnieją naprawdę, nie tylko w poezji. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Nieoczekiwany koniec pandemii

Wielu przedstawicieli koronarealistów popada w pychę. Kiedy maoista z WHO odwołał pandemię, pojawiły się triumfalne zaśpiewy, że pandemia skończyła się sezonową grypą i nikt nie powiedział „sorry”. To nie jest tak, a spróbuję powiedzieć jak.

Takie podejście do końca pandemii wróży porażkę triumfatorom. Każda pandemia się jakoś kończy. A jak się miała skończyć ta, skoro i tak nigdy nie wyszła poza ramy sezonowej grypy? Taka też była cały czas, minus fałszywie pozytywne testy. Na zgonach nic wielkiego się nie działo dopóty, dopóki nie zaczęliśmy walczyć z wirusem, odchodząc od ustalonych praktyk leczenia wirusowego zapalenia dróg oddechowych i mieszania w służbie zdrowia zakończonych dziesiątkami karetek prawdziwie ostrych pacjentów, czekających godzinami, co im wylosuje test PCR.

Teraz tezy o „przyłapaniu” sanitarystów tak osadzone łatwo jest zdyskredytować. To proste – powiedzą wam, sceptykom, że wszystko właśnie poszło dobrze. Dało się szczepionkami zredukować wirusa do poziomu sezonowej grypy i w związku z tym trzeba zamknąć covidową budę.

Ale przecież nie chodzi o to, czy coś spada czy rośnie. Chodzi o humbug podstawowy – o testy. To one wznosiły fale zakażeń, które wzmacniały przez media dorastały do wymiarów Himalajów, dodając, paniki. Czyli ogłupienia.

Fale panikarskich zakażeń zawsze poprzedzały wzmożenia testowe. Dziś fala covidowa opada, bo... przestaliśmy testować. Tak, tak. Gdy się popatrzy na kwestię wzrostu zakażeń, to działamy na zasadzie Lejzorka Rojtszwańca: jak zwalniają, to znaczy, że będą przyjmować. I tak było u nas. Dziś, kiedy odwołujemy pandemię, mamy podobne wyniki epidemiologiczne jak wtedy, gdy zamykaliśmy wszystkich po domach. Nawet w czasach lockdownu było to jeszcze bardziej nachalne – jak zamykaliśmy, to zakażeń przyrastało, jak otwieraliśmy, to spadało.

A więc, mili moi triumfatorzy, że skończyliśmy na grypie – to jest droga donikąd. Taka postawa przyjmuje za obiektywny czynnik testowy, a ten został naukowo dowiedziony, również przez jego twórców, jako chybiony w diagnostyce. Doktor Pieniążek, za prof. Zielińskim, uważa, że wszelkie prace naukowe po 2019 r. powinny być wyrzucone na śmietnik, jak neołysenkizm. Dla niewtajemniczonych: chodzi o przykład nauki totalnie oddanej ideologii.

A więc nie ma się co cieszyć, że koronawirus kończy jak każda grypa. Bo to przyjmuje jako aksjomat fałszywe przekonanie, że mierzyliśmy tę pandemię sprawdzonym termometrem. Wystarczyło go stłuc, jak teraz, przestając testować, co się rusza, i pandemia (testów) zniknęła jak za dotknięciem różdżki Harry’ego Testera. © ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Cenzura wsteczna w TVP

W Internecie nic nie ginie. Czyżby? Przyznam, że nie chciałem upubliczniać tej sprawy, uznając, że dotyczy ona przede wszystkim redakcji „Warto rozmawiać”, jednak gdy wczoraj zgłosiła się do mnie kolejna osoba z pytaniem, co się stało z dostępem do archiwalnych odcinków, miałem potwierdzenie, że zniknięcie z platformy TVP VOD całego dorobku nie jest wyłącznie sprawą naszej redakcji.

Programy – jak widać – ciągle są komuś potrzebne. Ostatnie pytania miały związek z toczącym się procesem sądowym między przedstawicielem samorządu a działaczami społecznymi w Żywcu. Sprawa dotyczy lokalizacji na terenie gminy potężnej spalarni śmieci, która w planach ma nie tylko obsługiwać mieszkańców, lecz także utylizować odpady przywożone nawet spoza Polski. Reporterzy „Warto rozmawiać” byli z kamerą w Żywcu i dziś okazuje się, że materiały wyemitowane w tym odcinku mają rangę istotnego procesowego dowodu.

Innym przykładem są zgłoszenia o udostępnienie nagrań pochodzące od bliskich osób, które występowały w naszym programie, a które już nie żyją. „Warto rozmawiać”, od 2004 r. przez 17 lat funkcjonowania, miało szansę zarejestrować lub gościć w studiu imponujące grono rozmówców. Na przykład tydzień przed 10 kwietnia 2010 r. gościli-

śmy w studiu gen. Franciszka Gągora; ministrów: Stanisława Komorowskiego, Władysława Stasiaka i Aleksandra Szczygłę. Wszyscy zginęli pod Smoleńskiem. W archiwum programu znajdowały się wypowiedzi znaczących przedstawicieli życia publicznego – prof. Szwacha Weisa, Macieja Rybińskiego, Jerzego Targalskiego, ministra Jana Szyszki, ministra Władysława Bartoszewskiego.

Wśród rozmówców „Warto...” bywali goście niezapraszani przez inne redakcje. Do nich niewątpliwie należeli Maria Fieldorf Czarska i prof. Stanisław Grygiel. Redakcja, skupiając dziennikarzy o pewnej szczególnej wrażliwości, zajmowała się chętnie tematami omijanymi przez innych twórców szerokim łukiem. Rejestrowaliśmy, rok po roku, postępujące zmagania na froncie kulturowej wojny.

Choćby tylko te dwa aspekty – utrwalenie wypowiedzi niezwiązanych osób i dokumentacja cywilizacyjnego procesu – sprawiają, że archiwum „Warto rozmawiać” ma istotną kulturową wartość. Mimo że wszystkie powody związane z COVID-19, dla których program został zdjęty z anteny, okazały się naukowo niezasadne, nie mam pretensji, że obecne władze TVP kreują politykę programową, jak chcą. Natomiast zablokowanie (likwidacja?) archiwum nie tylko jest działaniem na szkodę spółki, lecz także jest przede wszystkim szkodliwe społecznie. © ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Jarosław przebity

Zrobił to! Stop. Donald nasz Tusk to uczynił! Stop. Wziął i przebił Jarosława Kaczyńskiego na wiecu Platformy w hali Wisły w Krakowie, a widziała to setki tysięcy ludzi oraz słyszały. Stop. Jarosław zaproponował „800+” od przyszłego roku, a Tusk wyszedł i się normalnie wystawił, że on żąda teraz od czerwca tej kwoty. Stop. Lecz to nie wszystko, ciosem ostatecznym w Jarosława było zażądanie 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku i tego publicznie zechciał nasz zuch! Stop. Brawo! Malkontenci zwani mlaskaczami zaczęli coś tam memtać, że za Tuska „500+” to nawet było niższe niż teraz, a tak dokładniej to wynosiło 0 zł, ale za to na każde dziecko nawet pełnoletnie! Stop. Dawali niesłuchani przez ogół, że i kwota od podatku za PO nie wynosiła 60 tys. zł, a wynosiła 3089 zł, przy czym przez lata rządów Platforma podniosła ją o café i równe 2 zł. Stop. Czy Tuskuwio wystarczy odwagi, żeby każdemu obiecać ferrari albo chociaż maserati? Stop. Trzymamy, Donaldzie, kciuki!

Straszne hece mają miejsce w TVN-owskim „Szkle kontaktowym”, z naciskiem na straszne. Stop. Śmieszek Sianecki ze śmieszkiem Daukszewiczem tak sobie śmieszkowali, że Daukszewicz trochę się ponabijał z osób transseksualnych przy dziennikarzu, który ma transseksualne dziecko. Stop. Następnie chyba się kapnął Daukszewicz, co powiedział, ale się nie kapnął, że jak szły

litery, to wciąż był na foniowizji, i rzekł, a był słyszany: „Ja chyba coś pierd...ąłem”. Stop. Zaiste, Krzysiu, dolnąłeś, i to jak, ano tak, że przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Maciej Świrski zwrócił się do TVN o rzeczony materiał i odniesienie się do zarzutów o „poniżanie, dyskryminowanie i wyśmiewanie osób transseksualnych i ich bliskich oraz o używanie wulgaryzmów”. Stop. Ten Świrski musi mieć zgoła inne poczucie humoru niż w TVN. Stop.

Anne Applebaum powiedziała „Polityce”: „Každy polski rząd, od czasu uzyskania przez Ukrainę niepodległości w 1991 r., był niezwykle proukraiński. Jedynym wyjątkiem jest rząd PiS z lat 2015–2022, oni nie byli specjalnie blisko Ukrainy”. Stop. Oczywiście teraz chcą państwo ode mnie komentarza w tej sprawie. Stop. Dobrze, oto komentarz: Radek, mężem Anne jest Radek, to wystarczy za komentarz, a może nawet i za dużo. Stop.

Dawno, dawno temu było sobie, proszę państwa, LGBT. Stop. To już haniebna przeszłość. Stop. Teraz obowiązuje 2SLGBTQIA+. Stop. Nie żartuję, to teraz obowiązuje nie tylko w USA. Stop. Mógłbym oczywiście rozszyfrować dla państwa ten akronim, gdyż jestem przygotowany na utarczki z losem, ale moim zdaniem to kompletnie bez sensu. Stop. Za tydzień coś wymyślą i skrót będzie inny. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Prezes widzi dalej!

Wielkie czasy potrzebują wielkich ludzi – napisał przed 100 laty klasyk literatury. Ci jednak nie rodzą się na kamieniu. Wielki człowiek nie wyrasta ponad swoich współczesnych. On ich przerasta. Swoimi słowami, a nawet swoim milczeniem sprawią, że naznaczone powszednimi kalkulacjami spory tracą nie tylko znaczenie, lecz także jakąkolwiek wagę.

Zjawisko to nie objawia się śmiertelnikom codziennie. Bywają epoki miałkie, które do duchowych gigantów nie mają po prostu szczęścia. Zdarzają się czasy ciemne, gdy ludzie tknięci geniuszem skazani są na dyskusję z otoczeniem TYLKO ludzkiego formatu. Są też rzadkie w dziejach momenty, gdy człowiek prawdziwie wielki zajmuje należne mu miejsce u steru państwowej nawy. Otacza go tam grono zaufanych współpracowników. Choć pełni najlepszych intencji, to dostrzegają oni jedynie cienie zjawisk, przemyskające po ministerialnych gabinetach jak po ścianach platońskiej jaskini. Rzeczy, dla innych zakryte, przekazuje im ON.

Taki właśnie fenomen mieliśmy okazję zaobserwować w trakcie niedawnej dyskusji o rewitalizacji programu „500+”. Cóż z tego, że doświadczeni mężowie stanu, członkowie kierownictwa partii rządzącej, zapewniali nas jak najszczerzej, że „w kierownictwie PiS temat ten nie pojawia się, nie jest dyskutowany. Nie ma tematu

waloryzacji »500+«”. Twierdził tak sam sekretarz generalny PiS, Krzysztof Sobolewski. Wtórował mu minister finansów Artur Soboń, głosząc publicznie, że „nie ma planów podniesienia »500+«”.

Dziś, po zapowiedziach Jarosława Kaczyńskiego dotyczących programu „800+”, plany sekretarzy i ministrów raz jeszcze, w podmuchu Historii, obróciły się w pył.

– Mówiłem o tym, że w kierownictwie partii nie ma tematu waloryzacji „500+”. Natomiast pan prezes Kaczyński, patrząc dalej, widząc dalej, myśląc już do przodu, po przeanalizowaniu możliwości [...] ogłosił jako jedno z założeń na przyszłość m.in. waloryzację „500+”, czyli podniesienie tej kwoty do 800 zł, ale od nowego roku – powiedział Krzysztof Sobolewski zaraz po deklaracjach prezesa.

Przywódca „patrząc dalej, widząc dalej, myślący już do przodu” – jest dla swoich współczesnych fenomenem trudnym do ogarnięcia. Bywa, że docenić go mogą jedynie potomni. Wiedzą o tym poeci, zacytujmy więc słowa jednego z nich:

*Ludzi wielkich – nic nie uchroni
Przed poezją historii: legendą.
Już za życia zapowiedź im
dzwoni
O tej pieśni, co śpiewać im
będą.*

Wszystko nam mówi, że pieśń ta rodzi się w sercach współpracowników już dziś!
©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Jak długo trwa **wybudzanie?**WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Spaliśmy. My, Zachód, mieliśmy głowy zaprzątnięte czymś innym. Nie licząc przyjaciół z Europy Środkowej, Bałtów i paru ekspertów, byliśmy naiwni, zaślepieni, cyniczni lub po prostu byliśmy ignorantami. Uwierzyliśmy, że sowiecki neototalitarny smok został pokonany, a on tymczasem odrodził się z ruin ZSRS. Nasi stratedzy, schowani pod amerykańskim parasolem – marząc wszakże, żeby się spod niego uwolnić – wmówili sobie, że na zawsze pozbyliśmy się wojny”. Ten rachunek sumienia francuskiej dziennikarki Laure Mandeville można znaleźć we wstępie do jej wywiadu z Konstantinem Sigowem, wybitnym ukraińskim intelektualistą pochodzenia żydowskiego, opublikowanego w niezwyklej tempie przez wydawnictwo Wszystko Co Najważniejsze.

Jak większość wypowiedzi francuskich ostatniej doby, wywiad zapowiada wiele. Rozmówca jest na miejscu, w Kijowie, wie doskonale, jaką wagę mają wydarzenia na Ukrainie, a dziennikarka wydaje się naprawdę przekonana, że nareszcie obudzi drzemiący Zachód. Mało tego, sądzi, że już zaczął się on budzić, gdyż opublikowała na ten temat wiele tekstów, w tym także fragmenty rozmowy z Sigowem na łamach „Le Figaro”. Trudno wątpić w dobrą wolę Mandeville, bo pisze ona z pełnym przekonaniem. Dzięki opinii Sigowa przybliży czytelnikowi francuskiemu straszną rzeczywistość wojny rozpętanej przez Putina i świadczącej o imperialnym i ludobójczym nastawieniu Kremla do rzeczywistości.

Jeden z pierwszych fragmentów wywiadu zatytułowała

Mandeville „Na naszych oczach na Ukrainie załamuje się paradygmat imperialny”. Sigow potwierdził tę diagnozę, wskazując na imperialną arogancję Rosjan, nie tylko tych rządzących z Kremla, lecz także zwykłych Rosjan i większości ich elit intelektualnych. Sigow przytomnie podkreślił jednak, że rosyjskie imperium upadnie dopiero wtedy, gdy Rosjanie naprawdę zainteresują się innymi nacjami. To prawda, ale jest to warunek minimum i chyba niewystarczający. Oni się innymi interesują, ale w bardzo specyficzny sposób, mianowicie z punktu widzenia sposobu, w jaki tych innych mogą osłabić i sobie podporządkować.

Mandeville i Sigow zauważyli kluczowe znaczenie prawdy w życiu publicznym.

Zdaniem Sigowa Putin odrzucił prawdę, ponieważ chce „funkcjonować w uznaniowości”. Co więcej, podobne dążenie zauważył wśród europejskich „realistów”. „Nie da się – powiedział – dłużej utrzymać sytuacji, w której Europejczycy mają świadomość, że Stany Zjednoczone są gwarantem bezpieczeństwa kontynentu i jednocześnie nienawidzą ich za to”. Problem w tym, że sytuacja ta jest skutkiem nie tylko „naiwności” elit zachodnich, lecz także ich zakłamania, a nawet zatracenia poczucia realizmu. Piętnując imperializm rosyjski, nie zajdzie się daleko, jeśli ignoruje się interes, a nawet istnienie narodów położonych między Rosją i Zachodem. Taka jest jednak tradycyjna optyka wielkich mocarstw zachodnich, z których niektóre przestały już być wielkie. Mandeville uderzyła się w zachodnie piersi, przyznając, że w stolicach europejskich ignorowano istnienie narodu ukraińskiego, ale nadal

nie docenia się kluczowej roli wschodniej flanki NATO. Nową „architekturę bezpieczeństwa” w Europie chciałaby oprzeć na osi Paryż – Europa Środkowa – Kijów, ale nie bardzo potrafi pokazać, co Francja wniesie do tej konstrukcji. Słowa?

Niestety, lektura wywiadu Mandeville z Sigowem, opatrzonego polskim tytułem „Narodziny nowej Europy” i podtytułem „Ukraina nas obudziła”, nasuwa pewne wątpliwości.

Po pierwsze, oryginalny tytuł brzmiał „Quand l'Ukraine se lève”, czyli „Kiedy Ukraina się budzi”. Nie są to sformułowania tak optymistyczne, jak by sugerował polski tytuł. Wydawcy chwala za szybkie wydanie tego testu po polsku, ale czytamy ten wywiad z uwagą. Obok przenikliwości Sigowa pobrzmiewa w nim nuta „francuskiej wielkości” opartej na słowach, a nie czynach. Obok jasności analizy zachowań rosyjskich mamy tu sporo niejasności co do możliwości „przebudzenia” Francji. Przecież jej obywatele zajęci są obecnie głównie zwalczaniem wyjątkowo nieudanego prezydenta Macrona, przecież nie bardzo widać dla niego konstruktywną alternatywę, przecież Francuzi mają ogromny problem z obroną wątlejającej wraz z napływem imigrantów tożsamości, a Stanów Zjednoczonych rzeczywiście często nienawidzą. Jak więc ma Paryż stać się filarem nowej „architektury” europejskiego bezpieczeństwa? O Polsce i jej roli w konstrukcji owej Europy nie dowiemy się z wywiadu wiele. Dobrze i to, że rozmówcy nie zajmują się rzekomymi naruszeniami praworządności w Polsce. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Koleżanka nanosi poprawki do wznowienia mojej książki „Rio Anaconda” i napisała mi tak: „Doszedłem do rozdziału SYSTEM. Czytam i oczom nie wierzę. Przecież to jest wypisz wymaluj obecnie panujący SYSTEM w kraju nad Wisłą! Jakim cudem przewidziałeś to 17 lat temu? :))) No dobra – tu nie trzeba nic przewidywać, bo jak świat światem, pewne systemy tak działają, niezależnie od szerokości geograficznej. Tylko że 17 lat temu to była ciekawostka z Kolumbii. A teraz...”

System jest prosty; powszechnie znany i społecznie akceptowany w całej Ameryce Łacińskiej: politycy w stolicy zabiegają o pieniądze na rozwój przygranicznej prowincji. Trzeba zasiedlić pustkowia! – argumentują. – Wzmocnić gospodarczo. Tam jest wielki potencjał, trzeba go tylko uruchomić.

W wyniku takiej gadki przeznaczają się publiczne pieniądze na most, na drogę, na budowę szkoły... Znaczna część tych pieniędzy trafia wkrótce do prywatnych kieszeni polityków, bo wszystkie firmy, które prowadzą jakiegokolwiek prace na zlecenie władz, należą do żon i braci polityków. Oczywiście nieoficjalnie. A oficjalnie: politycy opowiadają (a nawet pokazują raporty), jak to wielkim wysiłkiem zbudowano drogę, most, szkołę... To prawda – wysiłek był wielki, bo trzeba się sporo namęczyć, by wymurować szkołę bez używania cementu. I cóż z tego, że deszcze wkrótce zniszczą zbyt słabo umocnione drogi, że zawalą się źle zbudowane mosty, że szkoły wybudowane



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOSAW / SHUTTERSTOCK

z piasku legną w gruzach? Cóż z tego? Przecież polityk zarobi wtedy drugi raz za to samo – zażąda w stolicy kolejnych kwot na niezbędne poprawki, remonty, reperacje... i na utrzymanie placówki przyczółkowej, w którą zainwestowaliśmy już przecież tyle publicznych środków i społecznego wysiłku.

Firmy rodzinne z zasady budują na pozór – tylko po to, by przy tej okazji rozkradać, co się da. Przecież i tak nikt nie sprawdzi, ile cementu ostatecznie zużyto. Można jedynie sprawdzić, ile go dostarczono. I można się przy tej okazji dziwować, co to za cud gospodarczy na tym naszym zadupiu, że nagle tyle bogatych firm powstało i tylu lokalnych bogaczy. Dziwować się można, owszem, ale lepiej tego nie robić. Poza tym nikt z miejscowych się niczemu nie dziwuje, bo wszyscy doskonale wiedzą, jak działa system. Wielu się cieszy, bo dostali robotę u nowych bogaczy.

System nie istniałby, gdyby nie uboga ludność. Chłopi bez ziemi, bez butów, bez wykształcenia, bez szans na poprawę losu, ale za to bogaci w dzieci. To oni stanowią uzasadnienie systemu. Dla nich buduje się te wszystkie szkoły, drogi oraz mosty i do nich trafia też pewien procent publicznych pieniędzy wypłacanych jako zapomogi.

Biedni chętnie przyjmują każdą pomoc i honorowo odpłacają się darczyńcy tą drobną przysługą, o którą darczyńca poprosił, a która

przecież nic nie kosztuje – wystarczy wrzucić kartkę wyborczą do skrzyni owiniętej flagą. Tak to działa.

Prowincjonalna biedota to minimaliści i jeśli nie burczy im w brzuchu, to nie pracują; jeśli nie leje im się na głowę, to nie reperują dachu; a kiedy kiwa się stół, nie naprawiają go, tylko podkładają pod nogę zwinięty papiererek. Są ludzkiem odpowiednikiem leśnego drapieżnika, który całe dni odpoczywa na gałęzi. Nie wydaturkuje energii na niepotrzebne zabiegi – ogania się tylko od much i czeka, aż mu zaburczy w brzuchu. Dopiero wtedy zrywa się do aktywności – poluje – ale nie czyni dodatkowych wysiłków, żeby jego pożywienie było mniej monotonne lub bardziej smaczne. Drapieżnik zje, co mu się akurat trafi. I raczej nie odkłada na potem, bo przecież najlepszym schowkiem na jedzenie jest własny brzuch. Nawet w sytuacji, gdy grozi to chwilowym przepełnieniem.

Biedni na prowincji doskonale rozumieją ideę obżarstwa (fiesta, wesele), ale coś takiego jak praca na zapas jest obce ich naturze. Bo po co komu zapasy, gdy zawsze można sobie pójść do lasu lub nad rzekę, lub do urzędu gminy?

Pieniądzy z rządowej pomocy wystarcza na vegetację (tak jest zresztą skalkulowana – żeby na vegetację starczyło). Dopóki brzozy pełne, dopóty ludzie na prowincji nie mają potrzeby się uaktywniać (i tak jest najlepiej, bo po co komu chłopskie ruchawki?). Aktywność gospodarza to, z ich punktu widzenia,

bezsensowny wysiłek. Co by to dało? Stać by nas było na jedzenie większej ilości tego samego. Albo moglibyśmy sprzedać nadwyżki? Gdzie? I co potem? Mielibyśmy pieniądze, żeby kupić trochę więcej jedzenia. Toż to bez sensu!

Oczywiście zamiast jedzenia można sobie kupić lepszą koszulę. Tylko na co komu lepsza koszula, gdy nie ma w niej dokąd chodzić? Marzenia o posiadaniu coraz lepszych rzeczy albo o jedzeniu coraz smaczniejszych posiłków to koncepcje miastowe – obce metyskim wieśniakom.

Tak opisałem wtedy system. Jest prosty, powszechnie znany i akceptowany w całej Ameryce Łacińskiej. Przy czym akceptacja nie oznacza entuzjastycznej zgody, chodzi raczej o ten rodzaj rezygnacji i pogodzenia się z losem, który towarzyszy nieuleczalnemu chorobom – z tym „jakoś trzeba żyć”. Podobnie jest dziś w Polsce.

W latach 90. mieliśmy IMPET – ludzie parli do przodu, korzystali z pojawienia się kapitalizmu, chcieli więcej, lepiej.

Po wejściu do Unii impet opadł – 2 mln ludzi wyjechało na Wyspy w poszukiwaniu lepszego życia. To był DOWÓD, że bycie w Unii wcale nie poprawia naszej sytuacji, wbrew temu, co opowiadają politycy. Ludzie wiedzieli lepiej i zagłosowali butami – poszli żyć za granicę, a Polska stopniowo stała się prowincjonalną kolonią.

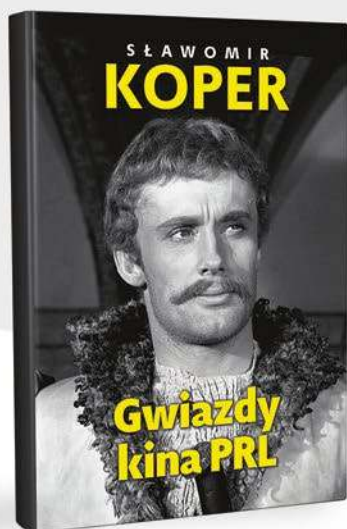
Uważam, że nasza obecna sytuacja w ramach Unii przypomina życie w zaborze austro-węgierskim (tam też mieliśmy trochę autonomii). Mocarstwa prą do wojny i wciągają nas do niej. Po wojnie będzie kolejna szansa na niepodległość. Każde pokolenie musi wywalczyć własną – darmo nie dają. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„GWIAZDY KINA PRL”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~599~~zł

232,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 367zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

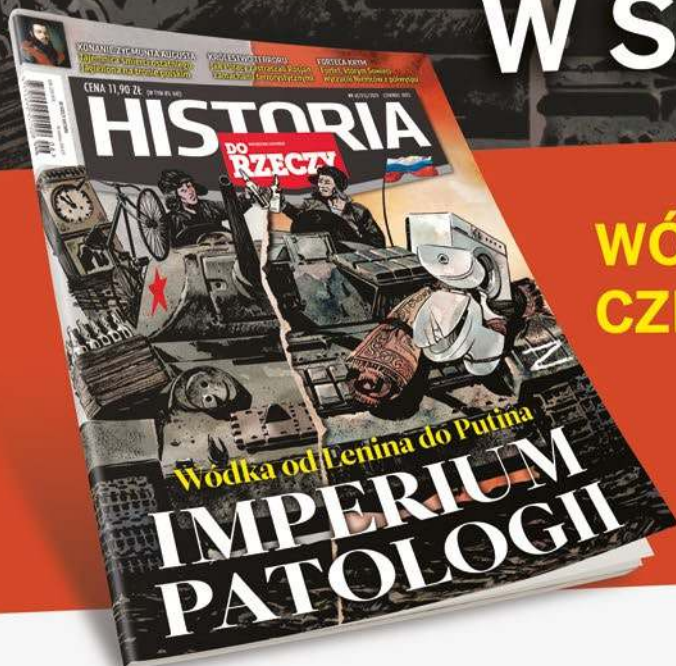
TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl b596d6a6ea

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



WÓDKA I INNE PATOLOGIE CZERWONEGO IMPERIUM

Jak system komunistyczny
zniszczył rosyjskie społeczeństwo

Produkt strategiczny z procentami – Stalin budował potęgę ZSRS m.in. dzięki alkoholowi

Konanie Zygmunta Augusta – Czy król Polski rzeczywiście umierał „otoczony tylko złowrogimi sokołami”?

Bicz Boży z Florencji – Savonarola zawładnął sercami i umysłami mieszkańców miasta i za pomocą bezwzględnych metod zaczął wprowadzać moralną rewolucję

Największe zwycięstwo Ukraińców – W Konotopie stoi pomnik, na którym trzy szable – ukraińska, tatarska i polska – przybijają do ziemi szablę moskiewską

Oberszpicel i sutenerzy – Istnieją przesłanki, że niezwykle brutalny pogrom warszawskich domów publicznych był prowokacją rosyjskich władz

Cesarscy lokaje Hitlera – Następca tronu Wilhelm Hohenzollern i jego młodszy brat August Wilhelm dali się owinąć nazistom wokół palca

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**